



Jeden z największych  
bestsellerów New Adult

Seria  
**Beautifully Broken**  
Tom 4

# AŻ MIŁOŚĆ nas uniesie

COURTNEY COLE



AŻ MIŁOŚĆ  
nas uniesie

COURTNEY COLE

Przekład  
Agnieszka Bill



*Dla serc, które bolą, dla dusz, które cierpią.*

*Fluctuat nec mergitur.*

(Rzucana jest przez fale, lecz nie tonie).

Ty też nie zaton.

## **Prolog**

Śnię o pociskach i krwi. Jak zawsze.

Są i krzyki. Jasne! Zawsze są krzyki. Przerażliwe i przeszywające, niskie i ostre. Są pełne bólu, pełne cierpienia, pełne udręki. Ten dźwięk jest jak tortura. Wykręcam się i przewracam, próbując od niego uciec.

To wtedy coś sobie uświadamiam.

Poza moim snem. Na zewnątrz, w gęstej i ciężkiej ciszy rozlega się dźwięk.

Prawdziwy dźwięk.

Dzwonek telefonu rozrywa ciszę, roztrzaskując noc na milion kawałków. Otwieram gwałtownie oczy, wpatrując się niewyraźnie w zegarek.

Trzecia nad ranem.

Telefon o tej porze nigdy nie wróży nic dobrego.

Odzywa się stara szkoła i moje zmysły nieruchomieją, oddzielając mnie od całej sytuacji. Sięgam po telefon. Cokolwiek się stało, będę spokojny i opanowany. Taki właśnie jestem i tak mnie wytrenowano.

Wciskając guzik, przykładam telefon do ucha. Czekam, spodziewam się, że usłyszę swojego najlepszego kumpla, Gabe'a,

jego siostrę, Jacey, albo któregoś z naszych przyjaciół. Zawsze byłem tym, kto wyciągał ludzi z problemów, przeważnie dlatego, że jestem opanowany i nie daję się skołować. Nie osądzam ludzi na podstawie gówna, w jakie się wpakowali. Dlatego właśnie przywykłem już do takich telefonów.

Ale nie przywykłem do głosu, który odzywa się w ciemności. Cienki, kruchy głos, którego nie słyszałem od lat.

– Brand?

Ten głos jest jak cios w brzuch. Natychmiast nieruchomieję, czuję, jak zamarza mój każdy nerw.

– Mamo – wymawiam słowo obce moim ustom.

Nie zwraca nawet uwagi na to, że coś powiedziałem.

Wzdycha. Roztrzęsiony dźwięk w ciemności.

– Chodzi o ojca. Miał zawał dziś w nocy.

Przerywa, a ja nic nie mówię, mimo że moje serce zaczyna walić, napełniając mi uszy coraz szybszymi dźwiękami. Krew zamieniła się w lód, który przepływa przez żyły, mrozi palce u rąk i nóg. Uniemożliwia mi jakikolwiek ruch.

Nie odpowiadam jej.

Mija uderzenie ciszy.

I następne.

Kiedy znowu się odzywa, jej głos jest zmęczony i szorstki.

– On nie żyje, Brand.

Nadal się nie odzywam. Jestem jak zamarznięty. Nie mogę się ruszyć, mimo że moje dłonie natychmiast zaczynają się pocić, a oddech przyspiesza w gardle. Boję się, że jeśli coś powiem, to to wszystko okaże się nieprawdą. Będzie jak część mojego snu, która zniknie, kiedy się obudzę.

Więc nie wypowiadam ani słowa.

Niech to się dzieje naprawdę.

– Przyjedź do domu – dodaje moja matka.

Jej wezwanie uwalnia mnie i znowu mogę się poruszyć.

Kiwam głową. Raz, dokładnie.

– Przyjadę.

Bo to się dzieje naprawdę.

Rozłączam się, nie mówiąc już nic więcej. Moje ręce się trzęsą.

Wpatruję się w moją lewą dłoń. W cienkie i długie palce. Jestem dorosłym mężczyzną, a jednak sama myśl o moim ojcu sprawia, że ręce drżą mi instynktownie, jak wystraszonemu chłopcu, którym kiedyś byłem. Pozwalam sobie czuć się bezsilnie tylko przez chwilę, zanim zamienię strach w gniew. Oślepiający, rozpalony gniew, do którego mam pełne prawo.

Mój ojciec nie żyje.

Powinienem być smutny, a nawet zdruzgotany. Normalny człowiek by był.

Ale oprócz gniewu jest jeszcze tylko jedna rzecz, jaką czuję. Ulga.

## Rozdział 1

### NORA

Nora, słuchasz mnie?

Nie.

Odwróciłam uwagę od samochodów jadących powoli główną ulicą małego miasteczka i spojrzałam na ojca. Przeszywające spojrzenie Maxwella Greene'a było skupione na mnie. Jego siwe włosy błyszczały w słońcu. Przełknęłam ślinę.

– Tak, oczywiście – skłamałam.

Skinął głową, złagodzony.

– To dobrze. Wiem, że ten ostatni rok studiów prawniczych był dla ciebie trudny, ale już po wszystkim. Chcę, żebyś odpoczęła w lato tu, w Angel Bay, z matką, a jesienią przejmiesz nasz zespół w Green Corp zgodnie z planem.

Oczywiście jest zachwycony, bo właśnie tego zawsze chciał. Wszystko było zaplanowane od momentu, kiedy poszłam do szkoły podstawowej. A właściwie to prawdopodobnie jeszcze zanim się urodziłam.

– A co z Peterem? – zapytałam go z wahaniem, widząc w myślach naszego prawnika w średnim wieku, który był wiceprezesem do spraw prawnych w naszej firmie. Zawsze był dla mnie miły. Pokazywał mi zdjęcia swojej pięknej żony i czterech córek.

Ojciec przewrócił oczami.

– Usamodzielni się. Jestem pewien, że się tego spodziewał. Wszyscy wiedzieli, że studiujesz prawo na Stanford. Skojarzą fakty, Nora.

Jest taki zblazowany, rujnując czyjeś życie. Przełykam ciężko ślinę, bawiąc się słomką w szklance z lemoniadą. Parasol, rozłożony nad naszym małym stolikiem, przy którym siedzimy na szerokim chodniku, rzuca cień na moje ramiona. Prawie drzę. Nie jestem pewna, czy to przez chłodny wiatr znad jeziora, czy ze względu na oziębłe podejście mojego ojca.

Wpatruje się we mnie teraz surowo.

– Nora, musisz w końcu mieć jaja. W korporacji nie ma miejsca na miganie się. Musisz zabijać albo zabiją ciebie. Chcę, żebyś była jak prawdziwy Greene i robiła, co do ciebie należy. Bądź tym, kim ja chcę, żebyś była.

Jego głos jest chłodniejszy nawet bardziej niż spojrzenie. Kulę się przy nim z przyzwyczajenia.

– Okej – szepczę.

W końcu z przeciwnej strony stolika odzywa się moja mama, obdarzając mnie wspaniałym uśmiechem. Z całej naszej rodziny ona zawsze była najmiłsza. Najśladza. I wie, że potrzebuję teraz pomocy. Widzę to w jej delikatnych, niebieskich oczach.

– *Ma belle fille* – wyśpiewuje, sięgając ponad stołem i łapiąc mnie za rękę. – Przed nami fantastyczne lato. Będziesz jeździć na Rebelu i odpoczywać na plaży. Będziemy robiły manicure i pedicure... piły herbatę i jadły croissanty. Będzie cudownie. Potrzebujesz odpoczynku.

„Moja piękna córeczko”. Mama nadal mówi z silnym francuskim akcentem, mimo że mieszka w Stanach, odkąd wyszła za mojego ojca dwadzieścia pięć lat temu. Oczarowuje tym każdego, kto jej słucha.

Uśmiecham się do niej. Tym razem prawdziwie.

– Dziękuję, *maman*. Nie mogę się doczekać naszych wspólnych wakacji. Tęskniłam za tobą.

To nie jest kłamstwo.

Nie tęskniłam za ojcem i jego ciągłymi wykładami na temat bycia „dobrym Greene’em” i tego, co muszę zrobić dla jeszcze większego dobra naszej rodziny i firmy.

Bez względu na koszt osobisty.

A ja robiłam to ogromnym kosztem.

Nie to, żeby ktoś się tym przejmował.

Ale czuję, jak znowu wzbiera we mnie gorycz, która, jeśli jej nie zatamuję, mnie przytłoczy. A to w niczym nie pomoże.

Ona nie wie, staram się pamiętać.

– Jak się ma Rebel? – pytam mamę, celowo kierując

rozmowę na temat mojego konia. Nie widziałam go od zeszłego lata. Mama rozgaduje się o nim, mówiąc, jak przytył, a ja znowu się odwracam.

Ona nie wie.

Ale mój ojciec tak. Spoglądam na niego i widzę, jak na jego twarzy znowu wzbiera złość. O tak, on wie. Rób, co trzeba, Nora.

Zaciskam zęby. Teraz jest już po wszystkim. To już minęło. I tak nikt nie może tego naprawić. Wszystko, co mogę teraz zrobić, to być dobrą Greene.

Znowu skupiam swoje ciężkie spojrzenie na skrzyżowaniu, szukając czegoś, co przykułoby moją uwagę.

Czegokolwiek innego.

Czerwony samochód zatrzymuje się i zaraz odjeżdża. Angel Bay jest tak małe, że znajduje się tu tylko jedno duże skrzyżowanie. Właśnie to przed kawiarnią. Nie ma nawet sygnalizacji świetlnej.

Jeśli chcesz poobserwować ludzi, to tu jest właśnie najlepsze miejsce.

Mama nadal mówi swoim czarującym głosem, a ja nieobecny wzrokiem przyglądam się, jak biały autobus podmiejski skręca w lewo. Przepuszcza młodą mamę pchającą wózek przez ulicę, a potem rusza. Macha, kiedy przejeżdża. Przyjazny nieznajomy.

Uśmiecham się. W Angel Bay pełno jest uprzejmych nieznajomych. Są przyzwyczajeni do turystów i przyjacielsko odnoszą się do każdego z nich, szczęśliwi dzięki ich dolarom. Szczęśliwi, że mogą dzielić się swoim małym miasteczkiem przy jeziorze Michigan.

Wyblakły biały autobus przejeżdża wzdłuż drogi. Po bokach ma umieszczone znaki. Dostrzegam, co jest napisane na jednym z nich.

„Zatrąb dla 52 Oddziału Dorocznej Wyprawy Campingowej”.

Uśmiecham się ponownie do małych, szczeniackich skautów, którzy jadą z twarzami przyciśniętymi do szyb. Pewnie zmierzają



do Parku Krajobrazowego Warren Dunes... więc prawie już docierają i, jak to często bywa z małymi chłopcami, robią się nerwowi.

Za busem podąża ogromny granatowy pikap, zachowując odpowiednią odległość. Szyby są przyciemnione, ale dostrzegam mignięcie blond włosów. Wpatruję się jeszcze bardziej, tak z czystej ciekawości. Zawsze lubiłam obserwować ludzi. Oglądanie życia innych sprawiało, że zapominałam o swoim własnym.

To żalosne, ale prawdziwe.

Kiedy ciężarówka podjeżdża bliżej i mam lepszy widok na twarz kierowcy, omal nie wzdycham na głos.

Niemożliwe.

Przyglądam się uważniej, mrużąc oczy za okularami słonecznymi. Kierowca też ma na sobie okulary, które sprawiają, że trudno go dokładnie zobaczyć.

Ale te blond włosy... miodowy blond, który wygląda jak pocałunek słońca. Wyraźne kości policzkowe, wgłębienie w podbródku, mocna szczęka i orli nos. Wszędzie rozpoznałabym ten profil, nawet przez zaciemnioną przednią szybę. Nawet jeśli ostatni raz widziałam go dziesięć lat temu.

Brand Killien.

Nie ma mowy.

Uświadamiam sobie, że wstrzymuję oddech, więc wciągam powietrze, ciągle się na niego gapiąc.

Nadal wygląda jak nordycki bóg. Jest tym samym chłopakiem, w którym zakochałam się wiele lat temu. Nie wiedział o tym, oczywiście, bo jestem od niego cztery lata młodsza. Nie byłam w jego zasięgu. Ale on zawsze był w moim... z kilku powodów.

Po pierwsze dlatego, że nigdy nie widziałam nikogo piękniejszego od niego.

Po drugie, i co nawet ważniejsze, zawsze sprawiało, że czułam się dobrze. Bezpiecznie i pewnie. To tak, jakby będąc z nim, nic złego nie mogło mi się stać.

Fantazjowałam o nim każdego lata, aż w końcu pewnego

roku, kiedy wróciłam tu po długiej zimie, dowiedziałam się, że Brand wyjechał. Poszedł na studia, a potem wstąpił do wojska.

Odtąd wypatrywałam go każdego lata.

Nigdy się nie pojawiał.

Ludzie gadali. Oczywiście. Mieszkańcy tak małych miasteczek jak Angel Bay zawsze gadają. W pewnym sklepiku dowiedziałam się, że stał się gnojkiem i że jest na misji w Afganistanie jako żołnierz Rangers do zadań specjalnych. W kawiarni usłyszałam, że stało mu się tam coś strasznego i że miał wrócić do domu.

Ale ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu nigdy nie przyjechał do Angel Bay.

Aż do teraz.

Motyle wzbierają w moim brzuchu, łaskocząc skrzydłami o żebra. Wijąc się, napierają na moją przeponę, co sprawia, że ciężko mi oddychać. To tak, jakby nawet one czuły wagę tej chwili, absolutny cud, jakim jest ten moment.

Brand Killien jest tutaj.

Nagle na skrzyżowanie wjeżdża gwałtownie ciągnik z przyczepą, momentalnie przysłaniając mi widok. Pochyliłam się do przodu, próbując z powrotem dyskretnie dostrzec Branda, żeby się upewnić, że tam jest i że nie była to tylko moja wyobraźnia.

To wtedy zauważam problem. I nawet jeśli wszystko dzieje się zbyt szybko, żebym chociaż zdążyła krzyknąć, to wydaje mi się, że całe zdarzenie odbywa się w zwolnionym tempie.

Z drugiej strony skrzyżowania wywrotka wtacza się na drogę, wjeżdżając z hukiem w zbiornik z amoniakiem, który znajdował się na przyczepie ciągnika.

Wybuch jest natychmiastowy i ostry.

Czuję intensywne uderzenie gorąca na chwilę przed hukiem, który rozrywa niebo. Jest tak głośny, że odbija się echem w mojej piersi, wstrząsając każdym z moich żeber i uwalniając motyle. Nagle znajduję się w powietrzu. Moje nogi wiszą jak u nędznej szmacianej lalki i otacza mnie bryza. Jestem w wietrze. Jestem wiatrem.

Kiedy lecę, wszystkie rzeczy dookoła mnie są jak ekspresywne skrawki.

Gorąco.

Hałas.

Krzyki.

Trzaski.

Szkło.

Mój lot trwa chwilę, po czym uderzam z trzaskiem o coś twardego, rozbijając głowę o podłogę. Podłogę?

Czerń.

Gorąco.

Nie jestem pewna, ile czasu minęło, kiedy otwieram oczy. Czuję tylko, że moja głowa jest ciężka i rozdziera ją ból promieniujący z tyłu. Dotykam jej drżącymi palcami, na których zostaje krew.

Spoglądam w górę.

Gorąco dochodzi od ognia. A ogień jest wszędzie.

Jestem w stercie rumowiska, które jeszcze przed chwilą było kawiarnią. Lady, sufit i stoły piętrzą się dookoła mnie, a na podłodze leżą ludzie. Ledwo mogę dostrzec cokolwiek w kurzu, który jest wszędzie. Ale widzę ogień.

I widzę Branda.

Idzie zamaszystym krokiem przez ciemny dym jak jakiś wspaniały i surowy anioł. Widzę, jak wyważa drzwi szkolnego autobusu. Wskakuje do środka i chwilę później wychodzi z dzieckiem w muskularnych ramionach. Oddaje komuś dziecko i wraca do dymiącego, zwęglonego autobusu. I widzę, jak robi to jeszcze wiele razy.

Niektóre z dzieci, które wynosi, są zakrwawione, niektóre bezładne. Ale on kontynuuje przejścia.

W końcu wychodzi z pustymi rękoma.

Przez moment stoi bez ruchu i widzę, że jego koszula jest rozdarta z przodu. Dostrzegam za tym rozdarcie wyrzeźbione mięśnie. Na twarzy ma rozmazaną sadzę, która również sprawia, że jego włosy są czarne.

Widzę, jak bierze głęboki oddech, widzę, jak rozgląda się dookoła po ulicznej masakrze, szukając ludzi do ocalenia.

I wtedy spostrzega mnie.

Naprawdę potrzebuję ocalenia. Bardziej niż kiedykolwiek mógłby przypuszczać.

Niebieski kolor jego oczu jest tak jasny, że nie potrafię go nazwać. Szafirowy? Błyszczą w sadzy i płomieniach. Skupia się na mnie i podchodzi długimi krokami. Prosto do mnie. Przez chaos i spustoszenie.

– Wszystko w porządku, panienko? – Jego głos jest szorstki. Prawdopodobnie od dymu. Nie mogę się ruszać.

– Utknęłam – udaje mi się odpowiedzieć. – Moje nogi.

Moje nogi znajdują się pod roztrzaskanymi deskami, które były ścianą kawiarni. Kiedy spoglądam w górę na Branda, zauważam na ulicy moich rodziców, stojących przy sanitariuszu pogotowia. Widzę, jak mama gorączkowo wymachuje rękoma i odczytuję z jej ust, co mówi.

Moja córka.

Biorę oddech, ale ona nie mogłaby mnie usłyszeć, nawet gdybym ją zawołała. Będzie musiała poczekać.

Brand ponownie przyciąga moją uwagę, mówiąc coś. Z powrotem do jego lśniących, niebieskich oczu.

– Ściągnę to z ciebie. Postaram się cię nie zranić – mówi spokojnie.

Podnosi swoimi muskularnymi rękoma wyszczerbione deski, jedną po drugiej. I tak jak mówił, nie rani mnie.

Kiedy skończył i kiedy jestem już wolna, nie pomaga mi wstać.

Zamiast tego pochyla się i bierze mnie na rękę.

Moja głowa spoczywa na jego piersi i słyszę jego serce, kiedy niesie mnie bez wysiłku przez cały ten chaos.

Bum-bum.

Bum-bum.

Jego serce jest tak silne jak on.

Zamiast patrzeć na ludzi na podłodze, skupiam się właśnie na

tym, na mocnych uderzeniach. Nie spoglądam na krew, nie wdycham dymu, nie panikuję.

– W porządku? – pyta mnie Brand, spoglądając na mnie w dół. Jego twarz jest pewna siebie, a głos spokojny. – Nic ci nie będzie.

Kiwam głową, bo wierzę mu. Jak mogłabym nie zaufać głosowi, w którym jest tyle pewności.

Ale teraz to się nie liczy.

Bo znikąd słyszę obrzydliwy, głośny trzask i nagle ściana koło nas zawala się wśród masowych pisków i jęków.

Odłamki zadrapują mi ramię. Czuję krew.

Brand wypuszcza mnie ze swojego bezpiecznego uścisku. Wyrwana z jego ramion spadam. Spadam, spadam, spadam.

A potem wszystko robi się czarne i tak już zostaje.

## Rozdział 2

### BRAND

Pieprzony sukinsyn.

Rozrywa mnie palący ból, od biodra aż po kostkę. Krzywię się, próbując wydostać się z gruzów, ale bez skutku. Teraz to ja jestem tym, który utknął, poważnie i boleśnie, pod górą roztrzaskanego drewna i żaru.

Dym, który mnie otacza, natychmiast przywraca wspomnienia z Afganistanu. Bomby i krew. Ale otrząsam się z tych obrazów. Nie ma mnie tam. Jestem tutaj. I muszę myśleć trzeźwo.

Dziewczyna.

Dziewczyna, którą niosłem, dziewczyna z ciemnorudymi włosami i dużymi niebieskimi oczami. Zaufała mi. Widziałem to w jej twarzy.

Skręcam się, żeby ją odnaleźć, uważnie rozglądając się dookoła. I wtedy widzę jej szczupłe ramię wystające ze sterty gruzów. Wiem, że to ona, bo ma turkusową bransoletkę na swoim małym nadgarstku.

– Pomocy! – wołam do sanitariuszy, którzy znajdują się na miejscu wydarzenia. Jeden z nich słyszy mnie i biegnie w moją stronę, ale ja macham w kierunku dziewczyny. – Ją wyciągnijcie pierwszą! – mówię mu. – Jest pod tym gównem. Ją pierwszą. To ją przygniata.

Robi to, o co go proszę. Potrzeba jeszcze jednego, żeby ją odkopać. Patrzę na jej nadal zamknięte oczy. Widzę, jak rozciągają jej bezwładne ciało na łóżku szpitalnym i wracają po mnie.

Cholera.

– Dziękuję – mówię mu szczerze.

Ostrożnie usuwają drewno i płytę gipsową, i skrecony metal, który mnie przypiera, zanim przetoczą moje ciało na nosze.

– Nic mi nie jest – próbuję im powiedzieć, kiedy usiłuję wstać.

Ale nie mogę się podnieść. Moja lewa noga jest skręcona, a stopa obrócona w nienaturalny sposób. Wpatruję się w nią przerażony i zdumiony, spostrzegając, że moje kolano jest wykręcone na zewnątrz, a kostka do środka.

Kurwa.

Nie czuję bólu, stąd wiem, że jestem w szoku. Opadam w tył na nosze, gdy sanitariusze jadą ze mną w kierunku czekającej karetki.

Moja noga była uszkodzona w Afganistanie. Przeszedłem przez wiele operacji i miesiące rehabilitacji i właśnie zaczynałem chodzić bez utykania. I na co to? Żeby to wszystko znowu zostało zniweczone? Tu, w tym pieprzonym Angel Bay?

Pieprzone piekło.

Ładują mnie do karetki i zamykają drzwi, a ja przez sekundę wpatruję się w biały metal, zanim zamknę oczy. To się nie dzieje. Nie naprawdę.

Ale to prawda.

Mówią mi o tym głośno i zawodzące syreny.

Czekam, otepiały. Nagle coś do mnie dociera. Dlaczego włączyli syrenę, skoro to tylko złamana noga?

Ledwo mogę myśleć, zanim moje palce robią się zimne, a myśli niewyraźne i zmieszane.

Co, do cholery?

Ale to już nieważne, bo jestem tak cholernie zmęczony. Nic się nie liczy. Ani ból, ani jego brak. Ani nawet dziewczyna.

Czuję, jak moje ręce i nogi robią się coraz cięższe i zamykam oczy. Westchnięcie wstrząsa moją pierś.

Dziewczyna. Jej niebieskie oczy są ostatnią rzeczą, jaką widzę, zanim zamykam swoje.

Wydaje się, jakby minęły ledwie minuty, zanim karetka zatrzymuje się z piskiem i wyciągają mnie z niej w biegu.

Chwytam za rękę jednego z sanitariuszy, którzy pędem wiozą mnie do szpitala.

– Co się dzieje?

Patrzy na mnie w dół, biegnąc.

– Nie martw się. Zoperują to.

Opadam w tył na łóżko. Mogę tylko patrzeć, jak to wszystko dzieje się dookoła mnie. Przechodzą przeze mnie fale całkowitego wycieńczenia i senności. Chcę tylko zamknąć oczy.

Więc robię to. Ale nie mogę spać, bo jakaś cholerna osoba, której twarzy nie widzę, ciągle zadaje mi pytania. A wszystko to podczas gdy inni ludzie bez twarzy kłują mnie w nogę i rozcinają spodnie.

Jak masz na imię?

– Branden Killien – mamroczę.

Ile masz lat?

– Dwadzieścia siedem.

Masz na coś alergię?

– Nie.

Możemy do kogoś zadzwonić?

– Nie.

Otwieram oczy, kiedy sanitariusze wkłuwają mi kroplówkę w rękę. Światła są jasne, a lek, który mi podali, wszystko zamazuje.

Twarz pielęgniarki nade mną jest niewyraźna.

– Będziesz miał operację, skarbie – mówi mi.

Nie widzę jej twarzy, mimo że oczy mam szeroko otwarte.

– Masz rozciętą tętnicę. Muszą ją zoperować.

Moja cholerna tętnica jest rozcięta?

Chyba żartujecie. Przeżyłem na krwawych wzgórzach Afganistanu. Nie mam zamiaru wykrwawić się tu na śmierć. Nie ma pieprzonej mowy! Cholera. Dlaczego nie powiedziałem im, żeby zadzwonili do Gabe'a albo Jacey... tak na wszelki wypadek?

Próbuję wymamrotać, żeby zadzwonili do Gabe'a, ale nie rozumieją mnie.

Kolejna twarz rozmazuje się przede mną. Ktoś z czarnymi włosami.

– Wszystko będzie dobrze, proszę pana. Proszę liczyć w tył od stu.

Światło wiruje.

Dziewięćdziesiąt dziewięć.



Dziewięćdziesiąt osiem.  
Dziewięćdziesiąt siedem.

Nic.

Nic.

Słyszę ciężkie kroki ojca wychodzącego z pokoju mojej siostry. Zamyka drzwi ze stuknięciem i opiera się ciężko o poręcz, gdy schodzi ze schodów.

Siedemnaście skrzypnięć.

Szesnaście skrzypnięć.

Każdy z siedemnastu stopni wydaje jęk i znowu jest cisza. Wpatrując się do góry w sufit, czekam, dopóki nie usłyszę odpalanego tłumika w jego ciężarówce, żebym mógł ponownie odetchnąć.

Odjechał.

Ulga obejmuje mnie gwałtownie. Czuję się głupio. Mam sześć lat. Nie powinienem się tak bać.

Ale się boję.

Wstaję, żeby pójść do łazienki. Nigdy tego nie robię, kiedy on jest w domu. Nie zaryzykowałbym. Idę do kuchni na palcach i sięgam po garść ciasteczek. Ostrożnie, żeby nie zrzucić słoika, w którym są, na podłogę. Wracam do pokoju, przebiegając przez cienie. Wskakuję do łóżka.

Przewracam się na bok i wpatruję w okno, przeżuając czekoladowe ciasteczko. Moja mama zrobiła je wieczorem. Specjalnie na kolację. Tylko że ojciec nie pozwolił mi ich zjeść.

– Chłopcy, którzy nie pilnują swoich małych siostrzyczek, nie dostają ciasteczek – powiedział stanowczo, mierząc mnie swoimi zimnymi, niebieskimi oczami.

Przełykam ślinę i spoglądam przez rzęsy na Alison, która z radością przeżuwa ciasteczko. Okruchy lecą jej na koszulę. Porwała brudnymi palcami swój słodki skarb, nieświadoma kłopotów, jakie przez nią mam.

– Ale ja jej pilnowałem – mówię ojcu. – Próbowałem ją nakłonić, żeby przyszła do domu i umyła się przed obiadem. Nie chciała mnie słuchać.

Ojciec pozostawał obojętny.

– Ma tylko cztery lata. Musisz na nią uważać. Jesteś większy od niej. Chcesz mi powiedzieć, że nie potrafisz złapać jej za rękę i przyprowadzić? Jesteś taki słaby, Brand?

Przełykam ślinę, potrząsając głową.

– Nie.

Kiwa głową, przeszywając mnie surowym wzrokiem.

– Nie jestem pewien. Jeśli to się znowu powtórzy, to będę musiał dać ci lekcję. Dokładnie ci pokażę, jak możesz sprawić, żeby ktoś mniejszy i słabszy od ciebie robił to, co chcesz.

Wezbrała we mnie panika. I wzbiera do tej pory na samo wspomnienie tych słów.

Nie chcę dostać takiej lekcji.

Spoglądam za okno na jezioro, patrząc na wodę, która rozbija się falami na plaży. W nocy piasek jest srebrny. Mewy śpią. Wszystko jest ciche oprócz pluskającej wody.

Pojawia się biała kula dryfująca na fali w przód i tył.

Oglądam ją przez chwilę, patrząc, jak się unosi, a potem znika.

Chciałbym być tą kulą i odpłynąć daleko stąd.

Otwieram oczy nagle i z przestraszeniem. Oślepiające światło sprawia, że zezuję w jego kierunku, próbując dojść do tego, gdzie jestem. Zapach lekarstw, sterylne ściany.

Szpital.

Jęczę szorstkim głosem. Poznaję to uczucie. Założyli mi rurkę do oddychania. Operacja. Rozpoznaję też to zamglenie, które jest efektem narkozy.

Co, do cholery?

Pielęgniarka wpada przez drzwi, a jej oczy rozszerzają się, kiedy zauważa, że się obudziłem. Szuka mojego pulsu swoimi chłodnymi palcami i liczy uderzenia.

– Panie Killien. – Uśmiecha się. – Tak się cieszę, że się pan obudził. Jak się pan czuje?

Znowu przełykam ślinę, próbując przepchnąć ją przez ochryple gardło.

– Nie wiem – przyznaję. – Co się stało?

Jej oczy są pełne współczucia.

– Ocalił pan autobus pełen dzieciaków – mówi mi. – Był wypadek. Ciężarówka przejechała znak stopu i uderzyła w zbiornik z amoniakiem, który wybuchł. Pamięta pan?

Zastanawiam się na tym i, faktycznie, pamiętam. Pamiętam dym, krew i dzieci.

I wtedy przypominam sobie rudą dziewczynę.

– Była tam dziewczyna – mówię pielęgniarce. – To znaczy kobieta. Rudowłosa. Niosłem ją, kiedy budynek się na nas zawalił. Co z nią? Żyje?

Boże, musiała żyć. Zaufała mi. Widziałem to w jej oczach, dużych i niebieskich. Liczyła na to, że ją wyniosę, a ja zawiodłem.

Ściska mnie w żołądku i krzywię się z bólu.

Ale pielęgniarka właśnie przytakuje.

– Wszyscy przeżyli, panie Killien. Chyba ma pan na myśli panią Greene. Jest tutaj i pyta o pana. Mogę jej powiedzieć, że się pan obudził? Bardzo się martwiła.

Pani Greene?

Kiwam głową, a pielęgniarka się uśmiecha.

– Przekażę jej. Czeka tu od kilku godzin. Miała szczęście. Ona i jej rodzice odnieśli tylko niewielkie obrażenia. Nie chciała iść, dopóki pan się nie obudzi.

Wzdycham z ulgą. Mimo że nie mogłem jej wynieść, nic jej się nie stało.

Dzięki Bogu.

Zamykam oczy. Mój umysł jest jeszcze zamglony po narkozie. Pokój wiruje poza moimi powiekami, ale pod nimi jest ciemny i nieruchomy.

I wtedy ktoś delikatnie chrząka.

Otwieram oczy.

Natychmiast napotyka ją niebieskookie spojrzenie dziewczyny.

Pani Greene.

Przez sekundę jest w niej coś znajomego, coś, co nie daje mi spokoju. Czy ja ją znam?

Ale przebiegam po niej wzrokiem... długie ciemnorude włosy, które opadają do połowy pleców, smukłe ciało, wydatne piersi i bujne biodra. Nawet przez zamglenie po lekarstwach moje krocze reaguje na jej oczywiste piękno.

Wydaje mi się, że ją znam.

Uśmiecha się cudownie i jasno. Sposrzegam brud na jej policzkach i czole.

– W porządku? – pyta głosem delikatnym jak jedwab.

Przytakuję.

– Taaa. Mam nadzieję, że wydobrzeję.

Patrzy na moją nogę ze współczuciem. Jej wzrok jest przymglony.

– Tak mi przykro. Nie wszedłbyś nawet do kawiarni, gdyby nie ja. To moja wina, że tu leżysz.

Potrząsam głową. Nie ma mowy. Wiem, jak to jest brać odpowiedzialność za coś, co nie było twoją winą. Nie pozwolę na to tej dziewczynie.

– Nie – mówię stanowczo. – Chciałem pomóc. Gdybym nie zobaczył ciebie, to na pewno dostrzegłbym kogoś innego, więc i tak bym tam był.

Prawdopodobnie.

Lekko potrząsa głową, zaokrąglając w górę kąciki ust.

– Taki gentleman – szepcze.

Osuwa się na krzesło przy łóżku z gracją i elegancją.

– Nie poznajesz mnie, prawda, Brand?

Podnoszę gwałtownie głowę, kiedy wymawia moje imię.

Ona mnie naprawdę zna.

Patrzę na nią badawczo jeszcze raz. Jej twarz. Jej włosy. Jej oczy.

Pani Greene.

Ci Greene'anie.

Dobry Boże.

Powstrzymuję się od jęku. Za długo mnie tu nie było. Zbyt wiele rzeczy zapomniałem. W tym przypadku rodzina Greene'ów jest jak podstawa Angel Bay. Posiadają olbrzymią rezydencję nad

jeziorem, w której mieszkają tylko latem, i są członkami tutejszego elitarnego klubu, w którym kiedyś pracowałem.

Przecież ją znam. Albo raczej pamiętam dziewczynę, którą była. Z pewnością teraz dorosła.

– Parkowałem samochód twojego ojca w klubie – mówię powoli.

Nora uśmiecha się.

– I raz podniosłeś mnie z ziemi. Pamiętasz?

Pamiętam.

Nora była wtedy młodsza. Była nastolatką. I jej koź ją zrzucił. Szedłem do klubu po sodę podczas przerwy i wszystko widziałem. Wygrzebała się z brudu i pierwsze, co zrobiła, to dyskretne rozejrzenie się dookoła i sprawdzenie, czy nikt jej nie widział.

To był jednak okropny upadek i musiałem podejść, żeby sprawdzić, czy nic jej się nie stało. Ręce jej się trzęsły i nie chciałem zostawiać jej samej, mimo że obsłudze nie wolno było zadawać się z członkami klubu.

– Czy mój ojciec to widział? – spytała szybko, zagryzając usta.

Na kłamrach miała krople krwi, które jej wytarłem. Nie przejmowała się jednak rozciętą wargą. Była przerażona tym, że jej ojciec mógł zobaczyć upadek.

– Nie – zapewniłem ją. – Jestem jedyny w pobliżu.

– Dzięki Bogu – odetchnęła.

– Chcesz, żebym po niego poszedł? – spytałem szybko, sądząc, że może będzie mógł jej pomóc się uspokoić.

Ścisnęła mnie mocno za rękę, wbijając paznokcie.

– Proszę, nie – błagała, a jej oczy nagle napełniły się łzami. – Proszę.

Zaszokowało mnie to. Jej natychmiastowa i stanowcza odmowa. Wyglądało to tak, jakby się go bała. Zapewniłem ją, że nie pójdę po niego, i zabrałem ją do środka, żeby się uspokoiła. Zostałem z nią przez pół godziny.

– Dostałem za to upomnienie – powoli sobie przypominam.

Twarz Nory zachmurza się.

– Naprawdę? – pyta zmieszana. – Jak to możliwe?

Sądząc po jej zdumionej minie, prawie wierzę, że o niczym nie wiedziała.

– Twój ojciec złożył skargę – mówię jej jasno. – Ktoś mu o tym powiedział i doniósł na mnie. Wiesz, że pracownicy nie mogli zadawać się z członkami klubu.

– Ale ty tylko mi pomagałeś – zauważa.

Wzruszam ramionami.

– To było dawno temu.

Ale jej spojrzenie jest nadal zmieszane. Pewna część mnie czerpie z tego satysfakcję. Może nie jest taką zimną suką, za jaką mógłbym ją brać. Ale mając takiego ojca to prawie niemożliwe.

– Chciałam tylko sprawdzić, co u ciebie – mówi niepewnie Nora. – Czuję się za to odpowiedzialna i chcę pomóc, więc powiedziałam w szpitalu, żeby może zadzwonili do twojej matki. Nie miałaś żadnych kontaktów w portfelu, a telefon jest na hasło.

Mojej matki? Przestałem jej słuchać, jak tylko wspomniała o mojej matce.

– Dlaczego zadzwoniłaś do mojej matki? – pytam głupio. Nora potrząsa głową z zakłopotaniem.

– Bo byłeś tu sam. Nie wiedziałam, do kogo innego zadzwonić. Myślałam, że chciałbyś kogoś z rodziny... – mówi zanikającym głosem, wpatrując się w moją twarz. – Widzę teraz, że się myliłam. Przepraszam. Chciałam tylko pomóc.

Chciała. Jestem tego pewien.

Ale telefon do mojej matki był czymś najdalszym od pomocy.

– Czy w ogóle pofatygowała się, żeby przyjść? – pytam ze zmęczeniem.

Jechałem tu dwanaście godzin na jej wezwanie, ale wątpię, żeby chociaż rozważyła przyjście do szpitala.

Nora potrząsa głową z wahaniem.

– Powiedziała pielęgniарce, że przyjedzie po ciebie, kiedy już cię wypuszczą.

Operowali mi przeciętą tętnicę. Jak ją znam, to mogłem tu umrzeć, a ona nadal by nie przyszła.

Dlaczego to mnie dziwi? Nie dzwoniła do mnie nawet wtedy, gdy walczyłem w Afganistanie.

Czuję mdłości w żołądku i ciężko przetykam ślinę.

– Cóż, to żadna niespodzianka. Dziękuję, że próbowała mi pani pomóc, pani Greene. Doceniam to. Na pewno jest pani zmęczona. Nie musi pani być tu ze mną.

Podnosi na mnie swoje niebieskookie spojrzenie.

– Mów mi Nora.

Przytakuję.

– Okej. Dzięki za troskę, Nora. Cieszę się, że nic ci nie jest.

Jej spojrzenie robi się delikatniejsze. W oczach ma błysk, którego nie potrafię nazwać.

– To dzięki tobie nic mi nie jest. Wyciągnąłeś mnie, Brand. Gdyby nie ty...

Przerywam.

– Jeśli to nie ja bym cię wyciągnął, to na pewno ktoś inny.

Wzrusza ramionami.

– Możliwe. Ale tak czy siak, dzięki. Jutro znowu wpadnę.

Coś delikatnego jest w jej oczach, ale ukrywa to.

Powinienem jej powiedzieć, żeby nie przychodziła. Żeby się nawet nie martwiła. Ale to delikatne spojrzenie, ten ulatujący wyraz... zabijają słowa, które mam na języku. Wygląda na kogoś, kto nie pozwala tej delikatności zbyt często przez siebie przemówić.

Zamiast tego kiwam głową.

– Na pewno jeszcze tu będę.

Spoglądam w dół na moją nogę i ciężko wzdycham. Nora prawie się wzdryga.

– Mam nadzieję, że trochę odpoczniesz – mówi, wychodząc.

– Do zobaczenia jutro.

Podchodzi do otwartych drzwi. Patrzą, jak jej biodra kołyszą się lekko, kiedy nagle zatrzymuje się gwałtownie w wejściu.

Obraca się i patrzy na mnie, napotyka wzrokiem na moje spojrzenie. Przebiega między nami dreszcz. Między jej miękkim

spojrzeniem i moim.

W jej oczach jest obietnica.

„Wróć”.

Podoba mi się to z jakiegoś powodu. Może dlatego, że pochodzę ze świata, w którym nigdy nie było żadnych obietnic, gdzie nikt nie oczekiwał następnego dnia ani nie miał nadziei, że nadejdzie, gdzie rodzice nawet nie pojawiają się w szpitalu.

Wszystko jedno.

Nie powinienem jej zachęcać. Nie zostanę tu długo.

Więc odwracam wzrok, przerywając nasze spojrzenie.

Wiem, że odchodzi, bo nie czuję już jej wzroku. Spoglądam z powrotem i upewniam się, że wyszła.

Czuję się teraz dziwnie samotnie.

Nawet jej nie znam, ale kiedy poszła, jestem samotny.

Po kilku minutach do mojego pokoju wchodzi lekarz.

– Panie Killien – mówi, przeglądając wykres – miał pan dzisiaj dużo szczęścia. Pana tętno było przecięte, ale naprawiliśmy to. Pana noga jednak... – ścisza głos i ponownie się skupia. – Pana noga była z pewnością wcześniej poważnie uszkodzona. Ma pan kilka metalowych wkładów i śrub od stopy aż po biodro. Bardzo nadwerżył pan dzisiaj kolano, ale też ponownie uszkodził tkankę miękką przy kostce. Wiem, że pewnie ma pan dość rehabilitacji, ale musi pan pilnie zostać poddany ćwiczeniom, żeby wzmocnić to miejsce. Przykro mi.

Zarówno jego głos, jak i spojrzenie są naprawdę współczujące, ale to nie sprawia, że to, co mówi, staje się mniej ponure.

– Pana udo koniecznie musi odpoczywać. Nie chcę, żeby zerwał pan szwy. A pańskie kolano... Nie może pan go obciążać. Ale z czasem będzie pan mógł go używać. Uszkodził pan nogę za granicą? – pyta.

Spoglądam na niego pytająco, a on patrzy w dół.

– Pańskie tatuaże. Zakładam, że jest pan żołnierzem. Albo był.

Kiwam głową raz.



– Tak. Mój wojskowy pojazd wybuchł i roztrzaskało mi nogę. Rehabilitacja trwała miesiące, zanim zacząłem chodzić.

Doktor przytakuje smutno.

– O tym myślałem. Nie wiem, jaka będzie prognoza tym razem. Ponieważ pana poprzedni uraz był bardzo poważny, wyjście z obecnego może być jeszcze trudniejsze. Nie wątpię, że pan wydobrzeje, ale musi pan być bardzo dokładny w terapii.

Oszczędzać nogę, przykładać lód i nie stawać na niej.

Mówi to, żeby podnieść mnie na duchu, ale mu się nie udaje.

Zamykam oczy.

– Wyślemy do pana domu terapeutę. Gdzie się pan zatrzyma?

Dobre pytanie.

– Pewnie wrócę do siebie – odpowiadam mu szybko.

Potrząsa głową.

– Nie chcę, żeby jechał pan gdziekolwiek przez tydzień albo dwa. Po pierwsze, nie chcę, żeby naruszał pan tętnicę. Zszyliśmy ją, ale jak pewnie pan wie, nie można igrać z uszkodzeniami tętnicy w udzie. Nie chcę, żeby nadweręzał ją pan podróżą. Nie może pan jej także obciążać. Na pana prawie jazdy jest adres z Connecticut. Tam pan mieszka?

Przytakuję.

– Mój ojciec właśnie zmarł. Przyjechałem tylko po to, żeby się tym zająć. Niedługo wracam do siebie.

Doktor już potrząsa głową.

– Odpoczywałbym tutaj przez kilka tygodni. Jeśli to możliwe to powinien pan zostać tu dłużej, żeby wyleczyć kolano. A jeśli pan nie może, to powinien pan poczekać z podróżą, przynajmniej do czasu aż tętnica wydobrzeje. Na razie jednak musi pan pozostać na miejscu.

Omawia ze mną jeszcze kilka innych, mniej istotnych spraw i opuszcza pokój. Robię jedyną rzecz, która przychodzi mi do głowy.

Dzwonię do Gabe'a.

Jest moim najlepszym przyjacielem i współnikiem w interesach. Przeszliśmy razem najgorsze piekło. Każde lato

spędzaliśmy razem, kiedy zostawał tu u swoich dziadków. Chodziliśmy razem do West Point i byliśmy w Rangers. Obaj byliśmy w wozie, kiedy został zbombardowany przez talibskich buntowników.

Odbiera po pierwszym sygnale.

– Co tam, bracie?

Szybko mówię mu, co się stało.

– Jezu – wzdycha Gabe – tak mi przykro, Brand. Nie miałem pojęcia. Przylatuję najbliższym samolotem.

– Nie – odpowiadam szybko. – Nie trzeba. To tylko noga, a nie operacja na sercu. Nie sprawisz, że szybciej się wyleczy. Ale czy mogę zamieszkać w twoim domku?

Gabe i jego siostra Jacey odziedziczyli po dziadkach chatkę nad jeziorem. Spędziłem w niej tyle czasu, kiedy dorastałem, że czuję się tam jak w domu.

Gabe się nie waha. Nie pyta o moją matkę. W ogóle nie zadaje pytań. Po prostu się zgadza.

– Oczywiście – mówi. – Mój dom jest twoim domem. Wiesz, gdzie trzymamy klucz. Ale kiedy powiem Jacey, to zwariuje. Poleciała do Europy z Dominikiem na kilka tygodni, ale założę się, że wsiądzie w pierwszy samolot, kiedy jej powiem.

Siostra Gabe'a. Piękna, zadziorna, blond Jacey. Była dla mnie jak mała siostrzyczka, aż nagle przestała nią być. Hormony i sex appeal wszystko spieprzyły.

Waham się. Gabe wie dlaczego. Zakochałem się w Jacey, a ona poślubiła innego mężczyznę. To była gorzka pigułka do przełknięcia.

– Stary – mówi Gabe – ona cię kocha. Będzie chciała przyjechać, żeby się tobą zająć.

Stary. Nie kocha mnie wystarczająco.

Ale nie mówię tego. Nie mówię mu też, że nie zniósłbym, gdyby przyjechała tu i przytłaczała mnie swoją troską... Troską kogoś, kto traktuje mnie tylko jak brata. Nie zniósłbym tego, do cholery.

– W takim razie nie mówmy jej przez tydzień albo dwa –

proponuję. – Jest w Europie, na litość boską. Nie psujmy jej wycieczki.

Gabe wzdycha.

– W porządku. Ale to ty jej wytłumaczysz, dlaczego nie zadzwoniliśmy od razu.

– Okej – mówię pod nosem.

– Nie martw się o interesy – mówi Gabe. – Wiesz, że praktycznie nie trzeba się niczym teraz zajmować. Mam przysłać ci kogoś do opieki? Nie będziesz w stanie podróżować przez jakiś czas, stary.

Wzdycham.

– Wiem.

Znieczulenie przestaje działać. Czuję, jak gorące palce bólu oplatają moje kolano i kostkę. Do jutro będzie cholernie bolało.

– Nie, nie chcę opieki domowej. Ale dzięki.

– Daj znać, jak zmienisz zdanie – mówi Gabe. – I jeśli zdecydujesz, że mnie potrzebujesz, to zadzwoń. Przylecę najbliższym samolotem.

– Zostań w domu z żoną – odpowiadam. – Poradzę sobie.

– Wiem, że dasz radę.

Gabe rozłącza się, a ja wpatruję się w ścianę.

Pieprzyć to. Przede wszystkim nie chciałem tu być, a teraz utknąłem.

Nie mogę przewrócić się na bok. Nie mogę nawet wstać, żeby się wysikać.

Warcząc, zaciskam pomarszczoną poduszkę nad głową, żeby stłumić szpitalne dźwięki.

To się dzieje naprawdę.

Muszę przywyknąć.

## Rozdział 3

### NORA

Wpatruję się w niewielką gazetę, która leży na kuchennej wyspie.

Na pierwszej stronie widnieje zdjęcie Branda z dużym nagłówkiem.

„Miejscowy bohater nie wyszedł z wprawy”.

Artykuł mówi o tym, jak Brand był podpułkownikiem siedemdziesiątego piątego pułku Rangers, odbył chwalebłą służbę w Afganistanie i zdobył odznaczenie Purpurowego Serca. Jego ojciec zmarł w zeszłym tygodniu i Brand przyjechał do domu tylko po to, żeby ocalić autobus małych skautów.

Zdjęcie zostało zrobione przez świadka i przedstawia Branda wynoszącego dziecko z dymiącego autobusu. Otacza go ogień, ale on wygląda, jakby nawet tego nie zauważał. Jest natomiast wysoki i silny i powstaje z gruzów, jak na bohatera przystało.

„Jest tutaj, ponieważ zmarł jego ojciec”.

Nie zauważam nawet, że dostaję gęziej skórki, dopóki mama nie siada obok mnie i nie pociera mojego ramienia.

– To było coś, prawda? – mówi cicho, kiedy patrzy na zdjęcie Branda, podając mi szklankę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego.

– To było coś – przytakuję. – Ocalił mnie, *maman*. Podniósł mnie i wyniósł z tego budynku.

– Cóż, prawie – uśmiecha się mama. – Ale z pewnością był niesamowity i ja, na przykład, jestem mu dłużna za to, że cię uratował. Czy to nie ten chłopiec, który pracował w klubie? Wydaje mi się, że pamiętam, jak zawsze cię zatykało, kiedy się pojawiał.

Przewracam oczami.

– Jestem już dorosła – oznajmiam. – Nikt nie zawiązuje mi języka w supeł.

Cóż, prawie nikt. Ale to nie sprawa na teraz.

– Jadę dzisiaj do szpitala jeszcze raz – mówię jej. –  
Potrzebujesz czegoś z miasta? Kiedy tata wraca do Chicago?

Mama odwraca wzrok.

– Wyjechał dziś wcześniej rano, kochanie.

Bez zaprzątania sobie głowy pożegnaniem i upewnieniem się, że wszystko ze mną w porządku. Potrząsam głową. To nawet lepiej. I tak nie chciałam go zobaczyć.

Odpycham się od lady i całuję mamę w policzek, chwytając gazetę.

– Będę w domu później.

Mama podnosi głowę i uśmiecha się do mnie.

– Rebel czeka na ciebie – mówi radośnie. – Lepiej weź dla niego trochę marchewek, jak będziesz wychodzić.

Oczywiście, że wezmę. Sama myśl o moim starym koniu mnie rozwesela. Mam go, odkąd byłam dzieckiem, i mimo że się starzeje, nadal można brać go na przejażdżki po plaży. Idę prosto do stajni, zatrzymując się tylko po to, żeby przywitać się z Julianem. To nasz ogrodnik, który towarzyszył naszej rodzinie, jeszcze zanim się urodziłam. Zajmuje się tym domem każdą zimą, kiedy nas nie ma.

– Panienska Nora. – Promienieje, wyciągając swoje opalone ramiona. Zanurzam się w nie i wciągam powietrze. Julian zawsze pachnie słońcem i szczęściem. – Czekałem na ciebie. Rebel też. Jest inny, kiedy ciebie tu nie ma.

Śmieję się, robiąc krok w tył.

– Powinien się do tego przyzwyczaić. Przez sześć lat studiowałam poza domem.

Julian uśmiecha się do mnie szeroko.

– Tak, ale wracasz każdego lata. On czeka na to cały rok.

To smutne, ale prawdziwe. Gdy dorastałam, Rebel był moim najlepszym przyjacielem. Mój ojciec nigdy nie akceptował żadnego z moich przyjaciół, których przyprawdzałam do domu, więc nie miałam Najlepszej Przyjaciółki Na Zawsze. Rebel był słabym zamiennikiem, ale starał się, jak mógł.

– To dlatego, że przynoszę mu marchewki – oznajmiam,

wyciągając warzywa. – Głodzisz go, kiedy mnie nie ma.

Julian tłumy śmiech, przewracając swoimi ciemnymi oczami.

– No tak, zaniedbuję go. Myślę, że jest na tyle gruby, że mógłby wyturlać się ze stajni.

Chichoczę i idę dalej, bo bardzo chcę już zobaczyć mojego konia.

Rebel rzy na mój widok, wyciągając swoją długą kasztanową szyję, żeby trącić moje palce nosem.

– Wiesz, że mam prezent, prawda, chłopczyku? – mruczę, głaszcząc jego jedwabistą sierść. Głośno przeżuwa marchewki, trącąc moją rękę po więcej. – Nie, wystarczy. Julian nie żartował – mówię mu, mierząc wzrokiem jego brzuch rozmiaru beczki. – Robisz się gruby.

Rebel trzepie uchem, przyjmując mój komentarz z pogardą. A ja chichoczę.

– Przyjdę później i pojedziemy na przejażdżkę.

Prycha, a ja wychodzę ze stajni i idę w dół krętą dróżką na plażę. Obejmują mnie tutejsze zapachy... piasek, słońce, woda. Natychmiast przywołują wspomnienia moich zabaw ze starszym bratem, Nate'em. Zabawne, oszałamiające wspomnienia.

Obrazy mojego brata, który śmieje się i biega, sprawiają, że uśmiecham się, dopóki nie zastąpią ich bardziej aktualne wspomnienia... poważnego, przygaszonego Nate'a. Nate'a, który był przygotowywany, żeby przejąć biznes po moim ojcu. Dystyngowany i nienaganny, zdyscyplinowany i ostry.

Dobry Greene.

Przełykam ciężko ślinę, stojąc na plaży i wpatrując się w wodę. Moje stopy zanurzają się w wilgotnym piasku. Ściągam sandały i zawieszam na palcach.

Przekrzywiając twarz do słońca, wchłaniam je, zanurzając się w nim. Słońce oznacza zdrowie i szczęście, i ciepło. Przyjmuję to wszystko, co dostaję.

Co, jeśli nie chcę być „dobrym Greene'em”? Nie jestem pewna, czy po tym wszystkim, co stało się w ciągu ostatniego roku, chcę czegoś takiego.

Ale to już się stało.

Zaczynam pracę jesienią.

Nie można nic z tym zrobić.

Ignoruję mdłości w żołądku, walcząc z falami niepokoju, które zatapiają moje ciało od wewnątrz. Żeby zmienić kierunek myśli, skupiam się na czymś innym, czymkolwiek, co może odwrócić moją uwagę od nieuchronnie zbliżającego się przeznaczenia.

Pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi na myśl, sprawia, że uśmiecham się, panikując jednocześnie.

Złotowłosy wojownik przypominający nordyckiego boga.

Brand.

Zawsze chodziło o Branda, mimo że on nigdy się o tym nie dowiedział.

Przez całe liceum, nawet jeśli się z kimś spotykałam, to nikt nie równał się z wyobrażeniem perfekcyjnego mężczyzny, które miałam w głowie, wspomnieniem, które było bliskie mojemu sercu, wspomnieniem, które pozwalało mi przetrwać okropne rzeczy.

Brand.

Ciepło przepływa przeze mnie i nie ma to nic wspólnego ze słońcem.

Muszę go zobaczyć.

Nie dlatego, że zawdzięczam mu życie, ale dlatego, że potrzebuję. To potrzeba, której nie potrafię wyjaśnić, uczucie, które przywraca mi moje młodzińcze lata i które nie wyblakło przez cały ten czas. Jeśli to możliwe, to od wczoraj wzmogło się nawet jeszcze bardziej.

Wspomnienie jego spokojnej twarzy, gdy spoglądał na mnie w dół, niosąc mnie w swoich ramionach, sprawia, że czuję drganie skrzydeł motyli w brzuchu.

Boże, przy nim czuję się bezpiecznie.

Czuję się bezpiecznie w świecie, który jest niebezpieczny i brzydki, w świecie, który jedynie mnie ranił.

Wszystko sprowadza się właśnie do tego. Nieważne, jaka

obrzydliwość przytrafiła mi się w ostatnim roku, bo jest zawsze jedna rzecz, jedna osoba, która może ją przysłonić. On zawsze uosabiał w moich myślach wszystko, co dobre na świecie.

Brand może zabrać szpetotę i sprawić, że będę się czuła znowu dobra, nawet jeśli to tylko złudzenie...

Jeśli uda mi się sprawić, żeby Brand mnie chciał, to znaczy, że musi być we mnie coś dobrego, coś, co odkupi i zrównoważy całą tę brzydotę.

Wiem, że moje myślenie jest śmieszne, ale nie mogę poradzić nic na to, co czuję. I szczerze, przywieram do każdej myśli, która daje mi nadzieję.

A tą myślą jest Brand.

Zostaję tu tylko na lato i wątpię, żeby Brand był tu długo, tak że okno możliwości może zamknąć się w każdej minucie. On jest tu tylko dlatego, że umarł jego ojciec. To może być moja ostatnia szansa.

Wiem, co muszę robić.

Zaciskając gazetę pod pachą, wpadam do samochodu i jadę do szpitala.

Przybywam, akurat kiedy pielęgniarka udziela mu instrukcji dotyczących zwolnienia do domu.

– Żadnego ciężaru. Rany muszą być czyste i suche. Tabletki przeciwbólowe co cztery lub sześć godzin. Nie zapominaj o nich.

Ociągam się w wejściu z wahaniem, ale wtedy żywiłowo wpada na mnie pielęgniarka.

Uśmiecha się.

– Cieszę się, że ktoś tu przyszedł – mówi do mnie. – Może wyjść dzisiaj do domu, ale nie może prowadzić samochodu. I... jeszcze... nie ma żadnych spodni.

Rumienię się na tę myśl.

– Żadnych spodni?

Pielęgniarka potrząsa głową.

– Nie. Musieli je rozciąć, kiedy go tu przywieźli.

Wychodzi z sali, a ja patrzę na Branda. Jest opalony. W szpitalnym łóżku wygląda na zdrowego i silnego. Zupełnie nie



pasuje do tego miejsca pełnego chorób.

Ale nadal jest taki samotny.

Nie mogę pojąć, dlaczego jego matka jeszcze nie przyszła. Z tego powodu gotuję się cała ze złości i jest mi okropnie przykro, że do niej zadzwoniłam. Mogę sobie tylko wyobrazić, że opłakuje męża, ale jestem pewna, że Brand też jest w żałobie. Nie zasługuje na to, żeby być sam.

Brand spogląda na mnie tak, jakby słyszał moje myśli.

Uśmiecha się, kiedy mnie widzi. Ten uśmiech ujawnia dołeczek w jego policzku, ale nie całkiem dociera do oczu. Jego oczy zbijają mnie z tropu. Są piękne, to prawda. Są niebieskie jak oceany. Ale coś się w nich czai. Wykrzykują jego demony każdemu, kto się im bliżej przyjrzy.

– Hej – wita mnie. – Nie musiałaś wracać.

Nie na takie powitanie liczyłam. Wolałabym, żeby było chociaż odrobinę szczęśliwszy, że mnie widzi. Ale przyklejam na twarz uśmiech i udaję, że to nieistotnie. Jestem w tym dobra.

Rzucam mu na kolano gazetę.

– Czyżby? Musiałam przyjść jeszcze raz, żeby zobaczyć lokalnego bohatera.

Brand krzywi twarz zmieszany, a następnie przegląda artykuł.

– O matko – mamrocze – doskonale.

To właśnie myślę, gdy się w niego wpatruję. Doskonały. Ale nie wspominam o tym.

– Słyszałam, że nie masz żadnych spodni – mówię mu zamiast tego.

Staram się nie wyobrażać sobie, jak wygląda bez spodni, ponieważ, Boże, Nora... Jest ranny. Weź się w garść.

Krzywi się.

– Na to wygląda.

– I nie możesz prowadzić auta – dodaję.

Znowu się krzywi.

– No nie.

– I jestem ci dłużna, więc pozwól mi się zawieźć,

dokądkolwiek chcesz. Potem skombinuje się jakieś spodnie – dodaję szybko, czując czerwone plamy na policzkach.

Szeroki uśmiech powoli pojawia się na jego twarzy.

– Nie chcesz wyjść stąd ze mną nagim? – pyta oschle.

Bardziej niż mógłbyś przypuszczać.

– Ech, nie – mówię. – Nie będziemy przyprawiać małych starszych pań o zawał serca.

Albo mnie.

– Jaki rozmiar nosisz? – pytam, starając się pozbyć wyobrażenia nagiego Branda.

– 36x34 – odpowiada. – Ale będzie ciężko włożyć mi spodnie, bo mam szynę na kolanie. Lepsze chyba będą szorty, ale nie musisz ich przywozić. Mogę... – milknie z wahaniem. – Cóż, chyba naprawdę muszę cię o nie poprosić. Nie wiem, co jeszcze miałbym zrobić. Moja torba jest w ciężarówce, ale nie wiem, gdzie ją zaparkowali.

Brzmi, jakby był tym zirytowany, a ja się śmieję.

– Widzę, że nie lubisz być zależny od innych ludzi – mówię mu. – Zajmę się tym. Zaufaj mi, jestem ci dłużna. Mogłabym ci kupić milion szortów, a i tak nie odpłaciłabym się. I dojdziemy do tego, gdzie jest twoja ciężarówka.

Wychodzę, podczas gdy on protestuje.

Wracam pół godziny później z parą sportowych spodenek.

Rzucam mu je.

– Są elastyczne. Pomyślałam, że będzie łatwiej je wciągnąć.

– Idealnie – mówi do mnie. – Nie jestem wybredny.

Czuję się niezręcznie i niepewnie, bo nie wiem, co teraz robić. Teraz, kiedy Brand trzyma w dłoni szorty, które musi jakoś założyć. Będzie pewnie potrzebował pomocy, żeby wstać. Jego kolano jest w szynie stabilizującej, jego kostka pewnie boli i nie może jej w ogóle obciążać. A waży ode mnie więcej o kilkadziesiąt kilogramów.

– Jak to zrobimy? – pytam głupio.

Krzywi się.

– Nie cierpię tego, ale muszę cię poprosić o pomoc. Albo

mogę zawołać pielęgniarkę.

Natychmiast potrząsam głową, spiesząc, żeby chwycić spodenki.

– Absolutnie. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Nie wiem, dlaczego trzęsą mi się ręce, kiedy Brand ściąga koszulę. Nie wiem, dlaczego waham się, żeby spojrzeć na jego nogi, które prowadzą do miednicy, która prowadzi do... Ach. Nic dziwnego, że ręce mi drżą.

Zaciskam zęby i wsuwam jedną nogawkę nad szyną na kolanie tak ostrożnie, jak potrafię. Widzę, jak zaciska zęby, kiedy wsuwam spodenki wyżej nad jego zabandażowanym udem. Robię to najostrożniej, jak mogę, ale wiem, że nadal go boli.

Ocieram się palcami o gorącą skórę w jego pasie. Jej delikatność jest elektryzująca. Jest gładka i aksamitna, a jednocześnie mocna jak skała.

Wsysam powietrze, gdy jego palce uderzają o moje, a on podciąga spodenki do pasa.

– No cóż, to był olimpijski manewr – mówi cierpko. –  
Dzięki.

Przytakuję.

– Gdzie jest twoja koszula?

Wskazuje na krzesło. Chwytam za czarną rzecz i mu rzucam. Robię krok i rozwiązuję jego szpitalny szlafrok, wpatrując się przy tym w jego umięśnione plecy.

Upierzony orzeł przelatuje mu między łopatkami. Z dzikim wyrazem w oczach wystawia ostre pazury gotowe do ataku. Góruje nad nim odważny napis. „Stoję przy murze, żeby chronić, co moje”.

Na myśl o tym surowym mężczyźnie broniącym tego, co należy do niego, znowu ogarnia mnie ciepło, które dosięga najbardziej skrytych części mojego ciała.

Nie mogłam przestać się zastanawiać, jakie to uczucie. Być jego. Stać objętą tymi silnymi ramionami, całować te pełne i mocne usta. Wiem, że gdybym była jego, to chroniłby mnie do ostatniego tchu. Mogłabym przesywać każdą noc bez strachu i bez

zwątpienia. On trzymałby potwory z daleka.

Strząsam z siebie te śmieszne myśli i robię krok w tył.

On nie jest mój.

Brand zrzuca z siebie szpitalny szlafrok, a ja gwałtownie zaczerpuję powietrze.

Słodki Boże i wszyscy święci.

Boże, chciałabym, żeby był mój.

Przysłowiowy kaloryfer nie oddaje tego, co ukryte jest pod koszulą Branda. Jego pierś i brzuch wyglądają, jakby były wyrzeźbione w brązowym marmurze. Ile godzin to zajmuje na siłowni?

Na piersi ma jeszcze jeden tatuaż, jakiś symbol plemienny. Wygląda prawie jak japońska gwiazda – miecz.

Jego biceps uwypukla się, kiedy Brand wykonuje ruch. Rozprasza mnie, gdy wkłada T-shirt przez głowę. Ma też tatuaż na napiętym mięśni. Czaszka w berecie na tle dwóch skrzyżowanych mieczy. „Śmierć zamiast hańby”.

Przełykam głośno ślinę.

Czy jest na świecie coś bardziej seksownego niż ten mężczyzna? Honorowy, odważny, silny. Trzy atrybuty idealnego mężczyzny.

Wzdycham, gdy sam odłącza się od kroplówki, przewieszając ją na poręcz łóżka.

– Jasna cholera – biorę oddech, przemierzając wzrokiem dyndającą rurkę. – Mogłam zawołać pielęgniarkę.

Przewraca oczami.

– I mogliśmy czekać godzinę. To tylko wyciągnięcie igły. Żadna filozofia.

Zaciska miejsce, w którym pojawia się mała plamka krwi, a ja wyłapuję jeszcze jeden tatuaż. Pamiętam, że widziałam go, gdy odkopywał mnie z gruzu z kawiarni. Ale nie byłam w stanie wtedy nic powiedzieć. Nie w dymie i zamgleniu wywołanym przez wstrząs. Bez namysłu podnoszę jego rękę i odwracam przodem.

Czarne, niestaranne słowa przebiegają od nadgarstka do łokcia.

„Chociaż idę przez dolinę śmierci, nie boję się zła”.

Czuję dreszcz między nogami.

Ten mężczyzna jest jak lep dla mojej waginy.

Przełykam ślinę.

– Fajne tatuaże.

Brand spogląda do góry.

– Tak, miałem szczęście. Zaraz po tym, jak odszedłem z wojska, wprowadzili nowe zasady. Oficerowie nie mogli mieć tatuaży od łokci do nadgarstków. Wylaliby mnie.

– Podobają mi się – mówię mu delikatnie, co jest największym uproszczeniem w historii świata. Mam fioła na ich punkcie. Mówią tyle o tym mężczyźnie. Założę się, że więcej niż on sam chciałby, żeby ludzie wiedzieli.

Honor. Odwaga. Siła. Lojalność.

Boże. Dolna część mojego ciała znowu drży.

– Dzięki – odpowiada Brand. Odkręca się, żeby zebrać swoje rzeczy ze stolika przy łóżku, a ja uświadamiam sobie, że nadal trzymam go za rękę i rozmyślam nad tym, jaki jest seksowny.

Żenujące.

Przychodzi pielęgniarka, żeby pomóc przenieść Branda na wózek. Obserwuję ją, jak przygotowuje łóżko na następnego pacjenta. Wyjaśnia mu też jeszcze raz, jak ma myć ranę na udzie, i poucza, żeby go nie nadwierała.

– Nie przenoś ciężaru na tę nogę – mówi do niego stanowczo. – Nie chcę powtórki z ostatniej nocy.

Unoszę brew.

– Ostatniej nocy?

Potrzęsa głową.

– Pan Killien jest uparty. Sam wstał w nocy z łóżka, żeby iść do łazienki. Widocznie nie chciał skorzystać z basenu.

Brand prychnął.

– Nikt nie chce tego używać.

Patrzy na niego gniewnie.

– Żadnego ciężaru na tej nodze. Przez jakiś czas. Nie możesz znowu uszkodzić tętnicy. Nie obciążaj kolana ani kostki. – Patrzy

na mnie. – Zadbasz o to?

Przytakuję szybko. Szczerze, to trochę się boję surowej starszej pani.

Zawozi go w dół na pierwsze piętro, a ja podążam za nim, niosąc torbę z jego rzeczami. Spoglądając do środka, widzę tylko spodnie, które mu rozcięli, portfel i telefon.

Ciekawe, czy ktoś do niego dzwonił. Czy ktokolwiek pomyślał, żeby się nim zaopiekować i sprawdzić, jak się czuje?

Bo wydaje się taki samotny.

To wzbudza we mnie instynkt macierzyński. Instynkt, który sprawia, że chcę się nim zaopiekować. Z pewnością widział już tyle gówna, tyle straszego gówna. A to wszystko „stojąc przy murze”, żeby chronić mnie i cały ten kraj. Opieka nad nim będzie jedynym, co mogę teraz zrobić.

I, Boże, chcę być blisko niego.

Chcę wdychać jego zapach.

Chcę, żeby uleczyła mnie jego dobroć.

Boże, proszę.

Wysuwamy siedzenie w moim samochodzie do tyłu i razem z pielęgniarką wsadzamy Branda. Jego długa noga z szyną na kolanie ledwo się mieści.

Kiedy już wsiadam, spoglądam na niego.

– Powiedz po prostu, gdzie jedziemy.

Przytakuje.

– Jasne. Jedziemy do domku moich przyjaciół nad jeziorem. Powiem ci, gdzie skręcić.

– Okej. – Jadę do wyjścia, a Brand przebiega palcem wzdłuż skórzanej deski rozdzielczej.

– Fajne auto – mówi zwyczajnie, gdy skręcam na autostradę.

Przewracam oczami.

– Dzięki. Chciałam kabriolet, ale mój ojciec twierdzi, że to zbyt kiczowate.

– Jaguarem XJ też nie można pogardzić – odpowiada. –

Mimo że pod względem technicznym to gówno.

Prycham śmiechem.

– Powiedz to mojemu ojcu. Dał mi ten samochód na prezent z okazji ukończenia szkoły. Wiem, że to staruszek.

– Jest trochę... stary. – Brand szeroko się uśmiecha. – Ale nadal w porządku.

Tak właśnie wygląda moje życie. Ja chcę czegoś, a mój ojciec chce czegoś innego. Zgadnijmy, kto wygrywa tę bitwę.

– Skręć tutaj – mówi Brand po kilku minutach. Ulica Wiciokrzewowa.

– Co za urocza nazwa – rozmyślam na głos.

Droga jest tak samo czarująca, jak wskazuje na to nazwa. Wjeżdżam powoli na ścieżkę ukrytą w cieniu drzew, na końcu której znajduje się mała chatka położona nad jeziorem. Słodka i urocza z winoroślami na ścianach, gankiem z dwoma bujanymi fotelami i doniczkami z kwiatami.

– Tu jest cudownie – zauważam, zanim wysiądę i wyciągnę wózek z bagażnika.

Rozkładałam go i pcham w kierunku Branda, ale on patrzy na niego groźnie.

– Nie potrzebuję tego.

Odwzajemniam surowe spojrzenie.

– No cóż, z pewnością nie wolno ci obciążać nogi, a nie mamy jeszcze kul. Więc siadaj na niego, Killien.

Brand odrzuca głowę zaskoczony, a potem wybucha śmiechem.

– Trochę apodyktyczna, co nie? – Iskierki w jego oczach pozbawiają mnie oddechu. – To dobrze. Do twarzy ci z tym.

Uśmiecham się ironicznie i trzymam wózek. Brand wysiada, skręcając się, i opada na niego. Robi to wszystko, starając się nie oprzeć ciężaru na nodze. Nie jest to bezbolesne. Widzę, że jego twarz robi się trochę blada.

– W domu dostaniesz tabletkę przeciwbólową – mówię do niego. – Pielęgniarka powiedziała, że musisz wziąć jedną niedługo.

Zawożę go do drzwi.

– Klucz jest na parapecie – mówi do mnie. – Dosięgniesz?

Ledwo.

Ale udaje mi się, bo wyciągam się, stając na czubkach palców przez chwilę. Kiedy się odwracam, Brand przygląda mi się i czuję, jak gorąco napływa mi do policzków. Wzrok miał utkwiony na moim tyłku i na tym, co było mi widać spod koszulki, która podwinęła mi się, kiedy się wyciągałam.

Chcę, żeby patrzył na mnie, oglądał mnie, a jednak kiedy to robi, to czuję się zagubiona tak samo, jak kiedy miałam trzynaście lat. Ach.

Otwieram drzwi i wwożę go do środka.

W środku domek jest tak samo uroczy, jak na zewnątrz, ale unosi się w nim dławiący, stęchły zapach i jest przytłaczająco gorąco.

– Otworzę okna – mówię do Branda. – Potrzebujemy przepływu powietrza. I zmienię ci pościel na łóżku. Przypuszczam, że nikt nie otwierał tego domku na wakacje.

– Nie – przytakuje Brand.

Popycham go do okna, przez które może oglądać jezioro, i zaraz przechodzę cały domek, otwierając okna, odkręcając wszystkie krany, żeby mieć świeżą wodę, i szukając pościeli.

Kiedy to robię, mój telefon dzwoni w kieszeni. Wyciągam go i patrzę na ekran, spodziewając się zobaczyć mojego ojca, mamę albo nawet Nate'a.

Ale to żadne z nich.

Serce podchodzi mi do gardła, zatykając je, gdy widzę jedno imię. Na minutę zamarzam. Nie mogę się ruszyć. Idiotka z ciebie. To tylko głupi telefon. On nie może cię tu skrzywdzić.

Zmuszam się siłą woli do poruszenia i w końcu wkładam telefon z powrotem do kieszeni bez odbierania. Ale czuję go. Jest jak palący kawałek węgla, który mnie dręczy.

Zmrużam mocno oczy.

– Możesz odebrać – mówi Brand, wpatrując się we mnie z ciekawością. – Nie mam nic przeciwko.

Potrząsam głową.

– To nikt ważny.

Tylko sam diabeł.



Brand nadal wpatruje się we mnie.

– Wszystko w porządku?

Nie.

– Tak – kłamię. – Po prostu jest tu strasznie gorąco. Trzeba otworzyć okna.

Starając się zignorować moje walące serce, przynoszę Brandowi szklankę wody i tabletkę.

– Pójdę do apteki i wykupię twoją receptę – mówię do niego.  
– Ze szpitala dali tylko dziesięć tabletek. Odbiorę też stamtąd twoje kule.

Brand właśnie potrząsa głową.

– Nie, już i tak dużo zrobiłaś. Zacisnę zęby i zadzwonię po matkę. Nie jesteś za mnie odpowiedzialna, Noro. Jestem pewny, że masz lepsze rzeczy do robienia.

Ale wyraz jego twarzy... Czuję ukłucie w sercu, bo znam ten wyraz. Pewnie sama mam taki za każdym razem, gdy rozmawiam z ojcem.

Jego matka wiedziała, że mógł umrzeć podczas operacji, ale nawet nie pofatygowała się, żeby przyjść do szpitala. Jestem na nią za to wściekła na tyle, że nie wiem, czy zasługuje na to, żeby być teraz przy nim. On jest uosobieniem całego dobra na tym świecie, a jeśli ona tego nie widzi, to jej strata.

– Nie – nalegam. – To żaden kłopot. Pomagam też sobie w ten sposób, zaufaj mi. Im więcej czasu jestem tutaj, tym mniej muszę go spędzić w domu z rodzicami.

Mam zamiar przebywać tu długo, tylko ty jeszcze o tym nie wiesz.

Brand szykuje się do odpowiedzi, ale zamyka buzię, przytakując. W jego oczach pojawia się wyraz zaciekawienia. Rozumiem to doskonale. Ludzie zawsze zakładają, że moje życie jest usłane różami. W końcu jestem bogata, czyż nie?

Cóż, za pieniądze nie kupisz szczęścia.

Ani szczęśliwego dzieciństwa.

Ani dobrych ojców.

– Cieszę się, że to już ustaliliśmy – mówię do niego

stanowczo, po czym zabieram mu szklankę i odnoszę do kuchni.

Mój telefon znowu bzyczy. Tym razem jest to SMS.

Nie chcę na to patrzeć. Nie chcę patrzeć. Nie chcę patrzeć.

Ale nie mam na tyle silnej woli, żeby nie spojrzeć.

Patrzę z zaciśniętymi zębami.

„Odbierz telefon”.

Wzruszam ramionami i wkładam telefon z powrotem do kieszeni.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? – pyta Brand.

Nawet nie wiedziałam, że patrzy na mnie.

– Taaa.

Nie.

Nie jest w porządku, bo sam diabeł może mnie wszędzie dopaść.

Nie jestem bezpieczna.

Nie jestem bezpieczna.

Ale przy Brandzie nic mi nie grozi... Ponieważ on stoi przy murze, żeby chronić to, co jego.

Obracam się wokół siebie, obejmując spojrzeniem chatkę. Wszystko znajduje się na podłodze, więc Brandowi będzie łatwiej, ale naprawdę nie powinien zostawać sam. Nie może nawet prowadzić.

Nagle przychodzi mi do głowy, co zrobić, żebym dostała, czego chcę.

– Zostanę tu z tobą – oznajmiam, prostując się, gdy patrzę na seksownego mężczyznę przed sobą.

Jego oczy rozszerzają się i zanim zdąży się sprzeciwić, mówię dalej.

– Nalegam. Nie możesz gotować, nie możesz chodzić, nie możesz prowadzić samochodu. Nie chcesz rozmawiać ze swoją matką i rozumiem to. Też bym nie rozmawiała ze swoim ojcem, gdyby to było możliwe. Zgódź się. Chcę tego. Jestem ci dłużna. I jeśli zostanę tutaj, to nie będę musiała widzieć się z ojcem. W zasadzie to wyświadczysz mi przysługę. A do tego obiecałam pielęgniarce, że będę pilnować, żebyś nie obciążał nogi.

Chcę być tu z tobą.

Wyczytał to chyba z moich oczu. Wpatruje się w nie, badając mnie w najdrobniejszych szczegółach. Czuję, jakby zaglądał w głąb mnie, starając się poukładać moje rozbite wnętrze.

Ale ja też go badam. I widzę, że mimo że jest duży, silny i odważny, to kryje się w nim coś bolesnego.

W końcu przytakuje powoli.

– Jeśli naprawdę chcesz.

– Chcę – mówię mu stanowczo i czuję, jak moje serce bije z prędkością skrzydeł helikoptera. – I jeśli przyjdzie tu ktoś inny, twoja dziewczyna albo ktokolwiek, to po prostu wrócę do domu. Pełen luz.

Tak, to żalosna i jawna próba zarzucania przynęty z mojej strony.

Ale Brand nie daje się złapać.

Mierzy mnie wzrokiem i zaczyna coś mówić, ale w końcu milknie.

– Nie oczekuj, że ktoś tu się zjawi przez jakiś czas – ostrzega mnie w końcu.

To próba powiedzenia, że mogę zostać tu na długo, ale nadal na tyle niejasna, że nie mówi mi nic więcej o Brandzie.

W porządku. Bo będę w domku z moją nastoletnią fantazją. Tyle tylko, że on nie jest już fantazją i nie jest nastolatkiem. Jest żywy, oddycha i jest seksowny jak cholera.

I dopóki nie powie mi, że ma dziewczynę, to będę zachowywać się tak, jakby żadnej nie było.

Przez następnych kilka tygodni Brand Killien jest mój.

To dużo czasu, żeby odkryć wszystkie jego sekrety.

## Rozdział 4

### BRAND

Z fotela przy oknach patrzę, jak Nora rozpakowuje swojego Jaguara. Najpierw przynosi kule i opiera je o moje krzesło. Następnie wyciąga niewielką torbę podróżną, a potem kolejne siatki pełne zakupów spożywczych, aż w końcu zamyka bagażnik.

Nie cierpię tak siedzieć tutaj jak jakiś unieruchomiony idiota, podczas gdy kobieta wnosi ciężkie zakupy.

Jezu.

Majstruję przy kulach, żeby ustawić je do mojego wzrostu i opieram je z powrotem o krzesło.

Nora wchodzi i spogląda na mnie.

– Okej, nie wiedziałam, co lubisz, więc kupiłam różne rzeczy. Wzięłam ci też sodę i piwo. Starłam się zgadnąć, jakie pijesz.

Przytakuję.

– Każde będzie pasować. Nie jestem wybredny.

Patrzy na mnie surowo.

– Ale nie możesz pić piwa, dopóki bierzesz tabletki przeciwbólowe.

Unoszę brew w odpowiedzi na jej apodyktyczność.

– Tak, proszę pani.

Twarz ma czerwoną od gorąca na zewnątrz, a jej rude włosy opadają luźno z upiętego koka. Wpatruję się w zakupy, które właśnie rozpakowała, a potem znowu patrzę na nią.

– Okej, kilka pytań. Pierwsze. Zostawiłaś coś w sklepie?

Przewraca oczami.

– Tak.

– I drugie. Umiesz gotować?

Znowu przewraca oczami.

– Nie. Nie za bardzo. Ale to nie może być trudne.

Prycham.

– Cóż, ja potrafię ugotować jajka i odgrzać pizzę z mrożonki.

Kupiłaś jakieś pizze?

Potrząsa głową i wygląda teraz, jakby się wahała.

– Nie. Nie pomyślałam o tym.

Uśmiecham się, widząc wyraz jej twarzy. Mogę powiedzieć, że nie jest przyzwyczajona do gotowania czegokolwiek. I widocznie nie umie się sobą zająć.

– Więc ani ja, ani ty nie potrafimy gotować. I ja nie mogę chodzić – zauważam z uśmiechem.

Pociąga nosem i wychodzi.

– Kupiłam też książkę kucharską.

Słyszy, jak się śmieję, bo wyciąga się prosto jak struna, znikając w kuchni. A ja nadal chichoczę, oglądając moją nogę w słońcu.

Kolano boli jak cholera. Oczywiście. Najwyraźniej skręciło się w tył i wykręciło w przeciwną stronę.

Również moja kostka pulsuje z bólu. Jest spuchnięta do rozmiarów piłki nożnej.

Tabletka przeciwbólowa jest w kuchni, gdzie Nora sama wykłada te wszystkie zakupy. Wydaje mi się, że kuchnia jest oddalona ode mnie o setki mil.

Przebolejesz to.

Chwytam z jękiem kule i dźwigam się ostrożnie, żeby nie obciążyć nogi.

Kurwa mać!

Wycieczka do kuchni zajmuje mi pięć minut. Kiedy jestem już przy rogu, Nora wyciąga się na palcach i wkłada jedzenie do szafek. Spod podwiniętej koszulki widać jej płaski brzuch.

– Hej. – Poprawia się, obciążając gwałtownie koszulkę. – Nie powinieneś wstawać.

– To tylko noga. Nie jestem inwalidą – mówię jej zrzędliwie, bo niezależnie, czy nim jestem, czy nie, ból rozsadza mi nogę. Namierzam tabletki, które drwią ze mnie znad zlewu, dwadzieścia bolesnych kroków stąd.

– Potrzebowałeś czegoś? Mogłam ci to przynieść – mówi szybko, stawiając słoik z sosem spaghetti i zmierzając w moim

kierunku.

Właśnie potrząsam głową.

– Nie jesteś moją służącą – mówię jej. – Nie wiem, dlaczego tak bardzo chciałaś tu zostać, ale nie będziesz skakać nade mną. – Moje słowa są ostrzejsze, niż zamierzałem, ale, cholera, moja pieprzona noga boli.

Nora otwiera gwałtownie buzię i wygląda przy tym, jakbym ją spoliczkował. Czuję się winny, bo wiem, że chciała mi tylko pomóc, ale nic nie mówię. Jestem zmęczony. Wszystko mnie boli. Jestem wściekły na cały świat. Najlepiej zrobię, jeśli nie będę się odzywał.

Nie mówiąc nic więcej, sięgam po tabletkę. Niestety, nie przywykłem jeszcze do kul i lewa mi wypada.

Tracę równowagę i starając się nie oprzeć na nodze, opadam ciężko na Norę i przypieram ją do lady.

Spogląda na mnie w górę szerokimi oczami.

Jest taka mała w porównaniu ze mną. Góruję nad nią. Jakoś dziwnie zmieniam ciężar tak, żeby jej nie zmiażdżyć, ale nie odsuwam się od niej.

Bo jest mi przyjemnie, kiedy moja miednica jest wepchnięta w jej.

Czuję, jak przenika mnie jej ciepło, a ona spogląda mi w oczy.

– Nie chcesz mnie tutaj? – pyta lekko ochryple, trzymając się palcami kurczowo lady. Jej nadgarstki są białe.

– Nie powiedziałem tego – odpowiadam cicho, nadal się nie poruszając.

Bo w tym momencie, czując jej miękkie kształty wciśnięte we mnie, naprawdę chcę, żeby tu była.

I, niestety, mój kutas również wybiera ten moment, żeby potwierdzić moje pragnienie.

Twardnieje przy niej i jej oczy robią się coraz większe.

– Rozumiem – mówi szeptem.

Odwracam się, wyprostowuję i znowu staję o kulach.

– Przepraszam za to – mówię do niej. – Mam nadzieję, że cię

nie zmiądzylem.

Swoim wzwodem.

Jej usta drgają.

– Nie ma sprawy. Chodźmy z powrotem na twoje krzesło i potem przyniosę ci tabletkę.

Nie sprzeczam się. Po prostu się odwracam i zaczynam powoli utykać w kierunku krzesła.

Nora prowadzi mnie za łokieć i kiedy skręcam się, żeby opaść na krzesło, wzdycha.

– Jasna cholera, Brand – bierze oddech. – Twoja noga.

Spoglądam w dół i zauważam dużą plamę krwi sączącej się z wewnętrznej strony mojego uda.

Cholera. Musiałem rozerwać szwy w kuchni.

Bez ani jednego słowa Nora schyla się ku mnie, dociągając moje elastyczne szorty w dół. Podnoszę biodra, żeby ułatwić jej ruch. Zimne opuszki palców Nory docierają do wewnętrznej strony uda.

Zaciskam zęby.

Nie z powodu bólu, bo go nie czuję. Ale dlatego, że palce Nory są dosłownie o kilka centymetrów od mojego kutasa.

Opanuj się. Opanuj się. Opanuj się.

Opanuj.

Kurwa.

Się.

– Rozerwałeś szwy – mówi spanikowanym głosem.

Zdejmuje przemoczony krwią bandaż, badając ranę. Znowu przykładą gazę, przyciskając ją mocno, zanim spojrzy w to miejsce ponownie.

– Okej. Myślę, że jest dobrze. To tylko małe pęknięcie i przestało krwawić. – Spogląda na mnie w górę ze spokojniejszym wyrazem twarzy. – Ale musisz być bardziej ostrożny, szczególnie przez pierwsze kilka dni. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, to mnie zawołaj. Nie próbuj robić niczego sam.

Przytakuję krótko, ale pewnie zgodziłbym się w tym momencie na wszystko. Jej palce są przyciśnięto do mojego

krocza, a ona klęczy przede mną. Na pewno nie myślę o mojej pieprzonej ranie.

W zasadzie, to moje myśli są daleko od tej pieprzonej rany, ale na szczęście zostaję ocalony przez kogoś, kto chrząka w wejściu.

Obracamy się z Norą w tym samym czasie.

W drzwiach stoi moja matka, sztywno wyprostowana, z miną wyrażającą dezaprobatę.

– Przeszkadzam w czymś? – pyta lodowato.

Patrzę się na nią intensywnie, bo nie widziałem jej od dziewięciu lat, ponieważ nikt jej tu nie zapraszał i ponieważ nawet nie zapukała.

Bethany Killien jest mniejsza, bardziej krucha i jeszcze bardziej siwa, niż była dziewięć lat temu.

Swoje cienkie ręce trzyma przy sobie. Nie podchodzi do mnie, nie wyciąga ramion. Po prostu stoi tak wiotka i cicha. Jej twarz jest zmęczona, a włosy zaczesane w kok. Wygląda jak ktoś, kto przeżył tysiące żyć.

– Nie, nie przeszkadzasz – mówię jej chłodno, gdy Nora wspina się, żeby wstać. Nie biorę pod uwagę faktu, że Nora klęczała przede mną ani że jestem w bieliźnie. Wiem, jak to mogło wyglądać.

Ale to nie jest sprawa mojej matki.

– Cóż, widzę, że jesteś w ciężkiej żałobie – mówi szorstko – więc nie zostanę długo. Przywiozłam twój samochód. Major podrzucił go do mojego domu po wybuchu. Jest trochę uszkodzony od ognia z jednej strony, ale nadal jeździ.

Matka patrzy ostentacyjnie na Norę, a Nora na mnie.

– Dać ci kilka minut? – pyta cicho, wpatrując się tylko we mnie. Zachowuje się tak, jakby moja matka nie istniała. Mógłbym ją za to przytulić.

Przytakuję.

– Tak, w porządku.

Przechodzi dostojnie obok mojej matki bez ani jednego słowa ani spojrzenia.



I za to też mógłbym ją przytulić.

Wpatruję się w matkę, która nie poruszyła się nawet o cal w moim kierunku. Nie zawracam sobie głowy pytaniem jej, skąd wiedziała, gdzie mnie znaleźć. Po prostu przechodzę do sedna.

– No cóż, masz zamiar wejść i powiedzieć mi, czego ode mnie chcesz? Bo zakładam, że chcesz czegoś. Inaczej byś nie przyjechała.

Nienawidzę brzmieć tak gorzko i nienawistnie. Nie cierpię tego, co mi zrobiła. Nie mogę znieść myśli, że pozwoliłem jej to sobie zrobić.

Próbuję i przełykam nienawiść.

To nie będzie bolało nikogo poza mną.

Matka wchodzi do pokoju i siada na krześle naprzeciwko mnie, nadal trzymając się sztywno. Nie ma w niej żadnej troski. Nie pyta nawet, jak się czuję.

Dopiero teraz zauważam, że coś trzyma. Kładzie drewniane pudełko na kolanie i patrzy na mnie.

– Testament twojego ojca – mówi prosto. – Jesteś jedynym spadkobiercą.

Szok uderza we mnie jak ciężarówka i patrzę na nią zmieszany. Jej twarz jest jak maska z żelaza, nieugięta i bez emocji.

– Nie ma mowy – udaje mi się powiedzieć. – Dlaczego miałby to zrobić?

Wzrusza ramionami.

– Jestem tak samo zaskoczona jak ty. Po tym wszystkim, co zrobiłeś. Też tego nie rozumiem.

Wszystkim, co zrobiłeś.

Słowa utrzymują się w powietrzu między nami. Przełykam ciężko ślinę, próbując powstrzymać nienawiść. Nie staram się siebie bronić. To już nie ma żadnego sensu. Mój ojciec zmarł, więc jaka to różnica? Nie ma sensu.

Ale to nie znaczy, że zasługuję na jej gniew.

– Nie chcę żadnej jego rzeczy – mówię jej chłodno. – Ani sklepu, ani ciężarówki, ani niczego.

Wpatruje się we mnie swoimi brązowymi oczami.

– Więc chcesz mi powiedzieć, że wszystko, co ci zostawił... sklep, ciężarówkę, rower i nawet dom... nie chcesz tego?

Podnoszę na nią wzrok.

– Dokładnie tak.

Przerywam, myśląc o jego rowerze. Błyszczący, agresywny Triumph 1964. Należał do dziadka, zanim dostał go ojciec, a dziadek chciał, żebym odziedziczył go ja.

– Chcę rower – poprawiam się. – Niczego więcej. Możesz to sobie wziąć albo spalić. Nie obchodzi mnie.

Matka patrzy na mnie z satysfakcją. Oczywiście właśnie po to tu przyszła.

Wyciąga pudełko.

Wpatruję się w nie. To sześcian zrobiony z hebanowego drewna z inkrustacją z kości słoniowej. Jest na nim wygrawerowane moje imię.

– Twój ojciec zrobił to dla ciebie w swoim warsztacie – mówi matka. – Zostawił to adwokatowi od nieruchomości razem z testamentem.

Nie poruszam się, żeby zabrać od niej pudełko.

– Nie chcę tego – mówię stanowczo.

Odwraca wzrok w zniesmaczeniu.

– Twój ojciec musiał pracować nad tym godzinami. Nie wiem dlaczego. Ale chciał, żebyś to miał i dostaniesz to. – Kładzie pudełko na podłodze przy stopach, zanim znowu na mnie spogląda. – Nie wiem, dlaczego zdecydował się ci wybaczyć. Ja nigdy tego nie zrobię.

Czuję smak żółci i krew zamazuje mi wzrok, gdy nienawiść wzbiera w mojej piersi i przepływa przez żyły.

– Nie wiesz, co myślisz, że wiesz – mówię z silnym akcentem, każde słowo jest jak lód. – A teraz wynoś się.

Przechodzi nad pudełkiem i sztywno idzie do drzwi, przy których jeszcze raz się obraca.

– Przyślę ci papiery do podpisania, kiedy będą gotowe.

Odwracam się od niej i patrzę przez okna.

Słyszę, jak zamykają się drzwi.

Czuję gorycz w buzi. Słyszę, jak moje serce bije, pompując nienawiść przez moje członki, dopóki nie wróci do niego, zatruwając je.

Ale nie czuję nic więcej. Jestem sparaliżowany.

– Wszystko w porządku? – pyta delikatnie Nora stojąca przy drzwiach. – Nie słyszałam, co się dzieje, ale nie wyglądasz dobrze.

– Podchodzi do mnie i podnosi pudełko. – Piękne – zauważa łagodnie. – Co jest w środku?

Wzruszam ramionami tak, jakby mnie to nie obchodziło.

– Nie wiem.

Zaczyna zdejmować pokrywkę, ale powstrzymuję ją.

– Nie, proszę – mówię delikatnie, ale stanowczo.

Nora zatrzymuje się zaskoczona z palcami w trakcie ruchu na pokrywce.

– Okej. – Kładzie pudełko na stoliku przy sofie, po drugiej stronie pokoju naprzeciwko mnie.

Wygląda, jakby się ze mnie śmiało. Odwracam zwrok.

Nie chcę jeszcze wiedzieć, co mój ojciec miał do powiedzenia. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę chciał.

– Dzięki – mówię do niej.

Spogląda na mnie w dół, a w jej oczach jest zrozumienie. Nie wiem jak, ale wydaje mi się, że wie, o co chodzi.

Mimo że nie może. Nikt nie może.

– Nie ma sprawy – mówi delikatnie. – A teraz przejdźmy do bardziej naglących spraw. Co chciałbyś, żebyśmy zrobiła na obiad?

Chichoczę na widok całkowitego strachu na jej twarzy.

– Czy kiedykolwiek musiałaś coś sobie ugotować?

Potrząsa głową.

– W domu rodziców mamy gospozię. Kiedy byłam w liceum, jadłam w akademikach, a po przeprowadzce do mieszkania na studiach brałam jedzenie na wynos.

– Jestem więc skazany. Czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć? – pytam, starając się rozweselić atmosferę. Nora się śmieje.

– Spróbuję czegoś prostego. Pieczeń. Gdy będzie w piekarniku, to pójdę się szybko wykąpać w jeziorze, żeby się ochłodzić. Potrzebujesz czegoś, zanim wyjdę?

Potrząsam głową.

– Nie, w porządku. Chyba że mogłabyś mi dać książkę.

Chwyta za jedną z półek na dalszej ścianie i podaje mi, zanim znikną w kuchni. Skupiam się raczej na czytaniu niż na bólu, który rozrywa moją nogę, albo pieprzonym drewnianym pudełku drwiącym ze mnie z drugiego końca pokoju.

Nora pojawia się pół godziny później, wyglądając na trochę wyczerpaną, ale z drugiej strony zmęczenie nie wpływa na jej zachowanie.

– Okej – oznajmia triumfująco. – Mamy pieczeń. Nie wiem, czy da się to zjeść, ale piecze się. Wychodzę nad jezioro. Mam nadzieję, że woda zmyje zapach hamburgerów z moich palców. Bo inaczej zostanie tam na zawsze.

Uśmiecham się.

– Baw się dobrze.

Spogląda na mnie, zanim idzie do sypialni, żeby się przebrać.

– Kiedy twoje udo się wyleczy, to może uda mi się cię tam wyciągnąć? To mógłby być dobry sposób na ćwiczenia, skoro nie możesz obciążać nogi.

Zalewa mnie stan gotowości, szybki i rozżarzony. Natychmiast potrząsam głową.

– Ja nie pływam.

Nora patrzy na mnie zaskoczona.

– Nie umiesz czy nie pływasz?

– Nie pływam.

Jest wyraźnie zaintrygowana, ale nie draży.

– Okej, to tylko taki pomysł.

– Wiem – mówię do niej, czując, jak mój puls nadal wali mi w gardle. – Dziękuję.

Przytakuje i wychodzi. Ja znowu wyglądam przez okno, uspakajając się.

Przestań być mięczakiem.

Ale, Boże, to takie ciężkie. Jedna rzecz, której nie mogę zapomnieć. Poradziłem sobie z kulami i wybuchami w Afganistanie, na miłość boską.

Ale nie z tym.

Na samą myśl serce wali mi w piersi, grożąc, że mi z niej wyskoczy.

Biorąc głęboki oddech, patrzę na wodę pluskającą spokojnie o brzeg w płynnym, odwiecznym ruchu. Nieszkodliwym, niezmaconym ruchu.

Jest nieszkodliwa, ty pieprzona cioto.

Ale wiem, że nie zawsze jest tak.

Patrząc na znajomy krajobraz, czuję, jak wzbiera we mnie niepokój.

Nie lubię być w domu. Przebywanie tutaj przywołuje złe wspomnienia i niewygodne uczucia... Rzeczy, które jak najszybciej chciałbym pochować.

Dom. Większość ludzi czuje się dobrze w domu. Dla nich to miejsce, w którym zawsze czują się bezpieczni, pewni i kochani.

Jaka szkoda, że nie należę do tej większości.

Czułem się bezpieczniej na polach walki w Afganistanie niż tu.

Przestań być taką pieprzoną dziewczynką.

Robiąc wdech, zwracam uwagę ku książce, przebiegając wzrokiem po stronach, dopóki nie rozprasza mnie ruch z zewnątrz mniej więcej godzinę później.

Nora wychodzi z jeziora na plażę. Wygląda jak nimfa morska albo syrena, kiedy odgarnia długie, wilgotne włosy z twarzy. Słońce spowija jej ciało, błyszcząc na każdej jego wilgotnej części.

Jej uda są długie, cycki pełne i żywo się prężą. Jest teraz praktycznie naga i cała wilgotna, bo woda spływa po jej ciele strumieniami.

Mój kutas twardnieje. Wciągam powietrze.

Wzrok Nory spotyka się z moim przez okno. Nie jestem pewien, co kryje się w jej oczach. Myślę, że determinacja.

Ale co dokładnie ona jest zdeterminowana zrobić?

Gdy patrzę, jak schyla się po ręcznik, nie jestem pewien, czy chcę się dowiedzieć, mimo że mój penis zdaje się mówić inaczej.

On jest zainteresowany najmniejszą rzeczą w Norze.

On nie wie, w co się pakuje.

A tak szczerze, to ja też nie.

## Rozdział 5

NORA

Gdy przebieram się z kostiumu kąpielowego w letnią sukienkę na ramiączkach, to zastanawiam się nad wyrazem twarzy Branda.

Niepewny.

Niechętny.

Ale dlaczego? Widziałam, jak na mnie patrzy. I wiem, że przynajmniej jego część mnie chce.

Na myśl o tym czuję motyle w brzuchu. Brand Killien mnie chce.

Ale sam nie chce mnie chcieć.

To równie oczywiste. Motyle uspokajają się. Wpatruję się ponuro w lustro, czesząc wilgotne włosy. Musi być jakiś powód. Najbardziej prawdopodobne jest to, że chodzi o kobietę. Brand jest lojalny, to jasne jak słońce. Więc musi być jakaś dziewczyna.

Wzdychając, odkładam grzebień i zmierzam do kuchni.

Dobry Boże, jak gorąco. Żar z piekarnika zamienił kuchnię w pieprzone piekło. Lekcja pierwsza. Nie używaj piekarnika w upalne dni.

Robi się jeszcze goręcej, gdy otwieram piekarnik i wyciągam mięso, które, przez przypadek, jest zwęglone.

Co, do cholery?

Pukam w nie i wychodzi na to, że góra i spód zamieniły się w spalone skorupy. Tylko środek jest jadalny. Nie mam pojęcia dlaczego. Zrobiłam wszystko według przepisu. Gówno. Z wyjątkiem nastawienia czasu na piekarniku. Piekłam pieczeń o trzydzieści minut za długo.

Zdmuchuję włosy w twarzy, gdy Brand mnie woła.

– Jak idzie?

Nie chcę przyznać się do porażki. Ale jestem pewna, że facet jest głodny.

Wysuwam się z podkulonym ogonem.

– Mam wiele talentów – oznajmiam. – Niestety, wygląda na to, że gotowanie do nich nie należy. Jeszcze nie.

Brand wybucha śmiechem, odkładając książkę na kolano. Rumienię się, gdy przypominam sobie, jak wcześniej moja twarz znajdowała się blisko tego kolana. I jak bardzo jego kolano cieszyło się z takiej sytuacji.

– Coś na wynos? – proponuje.

Przytakuję.

– Na wynos. Jakiś pomysł?

– Właściwie to tak – sugeruje. – Byłem tu w zeszłym roku na obiedzie. Moi przyjaciele mieli małą włoską knajpkę, do której wpadłem pewnego wieczoru. Sprzedali ją, ale myślę, że nadal ma to samo menu. Włoska kuchnia mi pasuje.

– Mnie też – mówię do niego, chwytając za portmonetkę. – Szczególnie dlatego, że nie będę musiała gotować.

Brand rzuca mi swój portfel.

– Ja stawiam.

Nie sprzeczam się, bo wiem, że nie ma sensu. Już mogę powiedzieć, że jest uparty.

Udaję się do The Hill. Właściwie to jadałam tam podczas wielu wakacji.

Jak zwykle tłoczą się tam głodni turyści. Cierpliwie czekam na swoją kolej przy ladzie z zamówieniami na wynos. I kiedy w końcu dochodzi do mnie, starsza Włoszka uśmiecha się.

– Cześć, witaj w The Hill. Co dla ciebie?

Mówię jej, co chcemy zjeść, a ona nabija rachunek na kasę.

– To będzie osiemnaście dolarów i dwadzieścia cztery centy.

Otwieram portfel Branda i wyciągam pieniądze, a oczy ekspedientki są utkwione na prawie jazdy Branda, na którym widnieje jego zdjęcie.

– Znasz Branda? – pyta mnie, a jej twarz jaśnieje.

Zaskoczona przytakuję.

– Tak. Pani też?

Kiwa głową radośnie.

– To dobry człowiek, kochanie. Po śmierci mojego męża



Tony'ego przyszedł na pogrzeb, a potem wrócili razem z Gabem, żeby przewieźć rzeczy mojej córki, gdy szła na studia. To dobra rodzina, moja piękna.

Jestem zmieszana.

– Ale on i Gabe nie są spokrewnienie, prawda?

Kobieta śmieje się.

– Równie dobrze mogliby być. Cóż, on i Gabe. A co do Jacey to on i ona... hm, hm.

To przykuwa moją uwagę, ale ona właśnie wyciąga rękę.

– Jestem Maria, moja piękna, a ty?

Ściskam jej dłoń.

– Nora – celowo nie podaję nazwiska. – Miło mi. Co mówiła pani o Brandzie i Jacey?

Maria mierzy mnie wzrokiem porozumiewawczo.

– On i ta dziewczyna. Jacey ma dobre intencje, ale nigdy nie potrafiła się decydować. Zawsze dokonywała złych wyborów. Jeden z jej byłych chłopaków zabił mojego Tony'ego, wiesz? Przejechał go na drodze. Brand próbował pomóc jej się pozbierać. Wszyscy wiedzieli dlaczego. Był w niej szaleńczo zakochany. Ale ona poślubiła kogoś innego. Jakiegoś znanego aktora. Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego. Prawdopodobnie jeszcze jeden zły wybór. Bo Brand to jak wisienka na torcie, kochanie. Jacey musi być szalona, jeśli go nie chce. Coś ci powiem, jeśli Brand jest tobą zainteresowany, to trzymaj go przy sobie.

Maria patrzy na mnie wymownie. Dochodzi do mnie, że trzymam portfel Branda, płacąc za obiad dla naszej dwójki. Oczywiście ona myśli, że coś musi być na rzeczy. Ale nie mogę się na tym skupić. Głównie dlatego, że wiem, że Brand mnie nie chce. Albo nie chce mnie chcieć.

– Jakiego aktora poślubiła Jacey, Mario? – pytam z ciekawością.

Marszczy nos w wyrazie pogardy.

– Dominica Kinkaide.

Rozpoznaję imię natychmiast i wyobrażam go sobie. Najszynniejszy niegrzeczny chłopiec Hollywood.

Widziałam jego twarz w filmach tysiące razy. Wysoki, ciemny i niebezpieczny. Ale jednocześnie przypominam sobie jego zdjęcia z nową żoną w tabloidach.

Jacey Vincent-Kinkaide. Blondynka z brązowymi oczami. Urocza.

Brand był zakochany w kimś, kto jest zupełnym przeciwieństwem mnie.

I równie dobrze nadal może być, z tego, co wiem. Może to właśnie dlatego powstrzymuje się przede mną. Nie ma dziewczyny, ale nadal jest zakochany w kimś innym.

Przełykam ciężko ślinę.

– Miło było cię poznać, Mario – mówię do niej, gdy podaje mi torby z jedzeniem. – Jestem pewna, że będę tu przychodzić jeszcze wiele razy tego lata.

Uśmiecha się.

– Pozdrów Branda ode mnie. Mam nadzieję, że jego też zobaczę.

Potrząsam głową, idąc do samochodu. Maria jest prawdziwie szczerą. Naprawdę chce zobaczyć Branda. Widocznie Brand działa tak na każdego. Wszyscy chcą być w pobliżu niego. Wchłaniać go. Przynajmniej nie jestem sama.

Brand czeka przy stole, gdy wracam do domku. Stół jest nakryty dla naszej dwójki. Potrząsam głową, wnosząc jedzenie.

– Jesteś taki uparty. Miałeś odpoczywać. Dla większości ludzi to nie jest trudne, Brand.

Wzrusza ramionami.

– Wydaje mi się, że nie jestem jak większość.

Cholera, nie. Nie jesteś.

Przekładam nasze jedzenie na talerze i podaję jeden Brandowi przez stół.

– Maria była naprawdę miła.

Brand spogląda w górę i uśmiecha się szeroko.

– Poznałaś Marię? Jest miłą panią. Ale nie daj jej się zwieść. Jej mąż zmarł w zeszłym roku. Jest twarda jak skała.

Biorę gryz lasagne, starając się zachowywać jak zazwyczaj.

– Tak, wspominała, że Tony zmarł. Dużo wspominała... o tobie i Gabie, i Jacey.

Brand spogląda na mnie, ale nie okazuje żadnych emocji.

– Tak, aha?

Przytakuję.

– Taaa. Mówiła, że były chłopak Jacey przejechał Tony’ego.

Brand wzdycha i bierze kawałek swojego jedzenia.

– Tak, to był trudny okres. Jacey nie zawsze dobrze wybiera. Ale teraz ma się już lepiej.

– Tak, Maria mówiła też o tym. I że poślubiła Dominica Kinkaide’a.

Ponownie Brand nie okazuje żadnej reakcji.

– Tak. W zasadzie to są chyba teraz w Europie.

Prawdopodobnie nie zobaczysz jej tego lata.

Na te słowa gwałtownie odchylam głowę.

– Dlaczego miałabym ją widzieć?

Brand spogląda na mnie w zaskoczeniu.

– To jej domek. Jej i Gabe’a. Tak jak już mówiłem, odziedziczyli go po dziadkach.

Mówił, że jego przyjaciele go odziedziczyli. Nie wspominał, że jedną z jego przyjaciółek jest Jacey Vincent-Kinkaide.

– Och. – Zaczynam czuć się niepewnie. Nie wiem dlaczego.

On może być zakochany w Jacey, ale ona wyszła za męża. Za jednego z najświetniejszych aktorów na świecie. I jest teraz tysiące mil stąd. Nie zagraża mi. Brand nie może jej mieć.

Jemy w miłej ciszy. Gdy kończę sprzątać resztki, odwracam się do Branda.

– Nie ma tu kablówki.

Uśmiecha się.

– Wiem. Doprowadzało nas to do szału na wakacjach.

– Wyobrażam sobie. Ale widziałam szachownicę na jednym z regałów. Chcesz usiąść na zewnątrz i zagrać?

Brand patrzy na mnie zaskoczony.

– Jasne. Nigdy nie brałem cię za dziewczynę, która gra w gry planszowe.

Przewracam oczami.

– Nie znasz mnie jeszcze.

Jeszcze.

Rozkładałam grę, a Brand podchodzi o kulach, utykając. Nawet z raną, jego mięśnie napinają się i rozciągają przy każdym ruchu. Mogłabym patrzeć na jego ramiona cały dzień. Ale nie mogę. Muszę rozegrać grę... nie tylko tę na stole.

Zamiast na mięśnie, spoglądam do góry.

– Czarne czy białe?

Brand siada.

– Czarne.

– W takim razie zaczynaj – proponuję. – Ale mam jedno zastrzeżenie... sprawi, że gra będzie bardziej interesująca.

Brand unosi jasną brew.

– Ach tak? I co to jest? Striptiz?

Uśmiecham się ironicznie.

– Chciałbyś, ale nie. Ten, kto jest zbity, dostaje pytanie. I musi na nie odpowiedzieć.

Brand przechyla głowę.

– Sprytne. A co jeśli nie chcemy znać odpowiedzi? Czasami tajemnica jest lepsza niż rzeczywistość.

Potrząsam głową.

– Nie zgadzam się. Umieram z ciekawości, żeby dowiedzieć się o tobie pewnych rzeczy.

Brand przewraca oczami.

– Nie jestem aż taki interesujący.

– Pozwól, że ja o tym zdecyduję – proponuję. – Twój ruch... jeśli się nie boisz.

Prycha, a ja podsuwam mu planszę. Rusza do przodu czarnym pionkiem.

Potem ja czerwonym.

Poruszamy się w przód i w tył kilka razy, aż Brand zbija mój pionek.

– Bingo – mówi z szerokim uśmiechem.

– Nie ta gra – odpowiadam. – Jakie jest twoje pytanie?

Myśli nad nim, uderzając ręką o udo.  
– Hmm. Zobaczmy. Okej. Dlaczego spędzasz lato w Angel Bay?

Odpowiadam natychmiast.  
– Mój ojciec chciał, żebym odpoczęła przez lato i podładowała akumulatory. Dopiero skończyłam szkołę prawniczą.  
– Więc twój umysł jest zmęczony? – Brand uśmiecha się szeroko i mogłabym powiedzieć, że ten uśmiech rozświetliłby całe jezioro. Przytakuję.  
– Myślę, że można tak powiedzieć.  
– Twój ruch – mówi do mnie.  
Ruszam się, a potem on. Wymijamy się w tył i w przód, aż w końcu udaje mi się go zbić.  
– Kochasz Jacey?  
Nie jestem z tych, co owijają w bawełnę. Brand odrzuca głowę i wpatruje się we mnie w niedowierzaniu.  
– Wow, nie żartujesz?  
– Nie. Maria tyle o niej mówiła, że jestem ciekawa. Jaka jest twoja odpowiedź? – Patrzę w jego oczy i on odwzajemnia się tym samym. W końcu kiwa głową i na minutę moje serce przestaje bić. Ale zaraz wyjaśnia.  
– Tak, ale nie w tym sensie. Myślałem, że przez chwilę kochałem ją w ten sposób, ale chyba nigdy tak nie było. Ona i Gabe są dla mnie jak rodzina. Byłem z nią blisko i może trochę się pogubiłem. Uczucia nie są moją mocną stroną.  
– Więc nie kochasz jej jak kobietę?  
Brand potrząsa głową.  
– To drugie pytanie, skarbie.  
Zaciągam się powietrzem na to czułe słówko, a Brand ironicznie się uśmiecha.  
– Co? Nikt nigdy tak do ciebie nie mówił?  
On żartuje, ale ja potrząsam głową.  
– Nie.  
– Nie mówisz serio.  
Brandowi odbiera mowę, a ja muszę się zaśmiać.

– Nie, mówię poważnie. Wierz lub nie, ale nie byłam w zbyt wielu związkach. Mój ojciec nigdy nikogo nie akceptował.

Brand patrzy na mnie pociesznie.

– Ale wyjechałaś na studia. To, czego twój ojciec by nie wiedział, nie uraziłoby go.

Prawie wzruszam ramionami.

– Mój ojciec wie wszystko. Zaufaj mi. Twoja kolej.

Brand nie wraca do tematu i rusza pionkiem, a ja czuję ulgę. Nie chcę rozmawiać o tym, jak mój ojciec pilnował mnie w szkole. Wkrótce Brand znowu mnie zbija. Podnosi na mnie swoje niebieskie spojrzenie.

– Jesteś szczęśliwa? – pyta refleksyjnie, odchylając się na krześle. Wciągam powietrze.

– Pytasz poważnie?

Tłumi śmiech.

– Nie mniej niż ty.

Właśnie.

– Nie, nie za bardzo – odpowiadam szczerze. – Mam nadzieję być pewnego dnia.

Brand wpatruje się we mnie intensywnie.

– Dlaczego nie jesteś teraz szczęśliwa?

– To już dwa pytania – kieruję jego słowa z powrotem do niego. – Moja kolej.

Brand przewraca oczami, ale ignoruję go, ruszając pionkiem.

Dwa ruchy później zbijam go.

– Co stało się w Afganistanie?

Nawet nie drgnie.

– Mój hummer został zbombardowany. Wtedy uszkodziłem nogę.

– Dostałeś odznaczenie Purpurowego Serca – mówię mu – więc wiem, że to nie cała historia.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem, czy jest jakikolwiek cel w tym, żebym o tym opowiadał. Niektóre wspomnienia lepiej zostawić za sobą. Poradziłem sobie z tym i ruszyłem do przodu, ale to nie znaczy, że

lubię o tym myśleć...

Na jego twarzy pojawia się spojrzenie. Spojrzenie mówiące: nie zadzieraj ze mną. Muszę na nie uważać.

– Twoja kolej – mówię do niego delikatnie.

Przytakuje głową.

Rusza pionkiem tylko po to, żeby wystawić się do pozycji do podwójnego bicia. Krzyczę i biję go. Dwa razy. Patrzy na mnie szyderczo.

– Nie lubię tej gry.

Chichoczę.

– Dwa pytania.

Nie sprzeciwia się. Po prostu krzyżuje ramiona i czeka.

– Coś cię dręczy. Widzę to w twojej twarzy. Czuję, że to nie jest śmierć twojego ojca, a co do Afganistanu, to mówiłeś, że uporałeś się z tym. Więc o co chodzi?

Brand odwraca wzrok.

– Naprawdę nie podoba mi się ta gra.

Uśmiecham się, ale się nie wycofuję.

– Co odpowiesz?

Patrzy przez minutę za okno, na jezioro, zanim wzdycha.

– Czasami w życiu dzieją się złe rzeczy. Czasami przydarzają się, kiedy jesteś naprawdę młody. To są wspomnienia, które nigdy nie wyblakną.

Jestem oszołomiona. To niejasna odpowiedź, ale i tak odkrywa coś o nim. Coś mu się przydarzyło, kiedy był dzieckiem, coś złego.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pytam delikatnie.

Brand patrzy na mnie.

– Wiesz, że to było twoje drugie pytanie?

Przytakuję.

– W porządku. Co odpowiesz?

Natychmiast potrząsa głową.

– Nie, nie chcę o tym rozmawiać. Jestem dorosłym cholernym mężczyzną, nie ciotą. Nie potrzebuję o tym rozmawiać.

– Ale nadal cię to dręczy – stwierdzam zwyczajnie.

– Nie można tego naprawić – mówi twardo. – Śmierć mojego ojca jest zamknięciem tego wszystkiego, tak myślę.

Patrząc na uroczą twarz Branda, mam jednak wątpliwości. Jego uroczą, umęczoną twarz. To nie jest żadne zamknięcie. Widzę to w tym momencie. Nie wiem, co myśleć o jego rodzinnych stosunkach. Nie wydaje się, żeby był w żałobie, ale nadal coś go dręczy. Głęboko dręczy. Ale widzę także, że ma dosyć rozmawiania o tym.

– Twoja kolej – mówię.

On się rusza. Ja się ruszam.

Po jego kolejnym ruchu znowu go zbijam.

– Jak zarabiasz na życie?

Uśmiecha się szeroko, udając ulgę albo może naprawdę mu ulżyło. Mogę powiedzieć, że nie lubi rozmawiać o sobie. Ani trochę.

– Założyliśmy z Gabe'em firmę kilka lat temu. Sprzedajemy kamizelki kuloodporne licencjonowane przez armię. Chcieliśmy przede wszystkim, żeby żołnierze byli bezpieczni, ale z naszych usług korzysta też policja i prywatna ochrona.

– Brzmi niesamowicie – mówię do niego miękko. I brzmi dokładnie tak jak coś, co chciałby robić... ochraniać ludzi.

Wzrusza ramionami.

– Taka praca.

Odpycha się od stolika.

– Mam już dosyć na dzisiaj – mówi do mnie. – Dziękuję za przyniesienie obiadu, Nora. I przykro mi, że nie jesteś szczęśliwa. Może jakoś temu wkrótce zaradzisz.

Odchodzi, kulejąc, a ja muszę przyznać mu rację.

Na pewno jakoś temu niedługo zaradzę.



## Rozdział 6

NORA

Odkładam pionki i włączam laptopa, żeby sprawdzić kilka maili. Mama napisała cztery.

„Jesteś tylko pięć minut od domu. Może przyjdiesz na herbatę?”

Twój ojciec nie jest zadowolony z twojej obecnej sytuacji”.  
Taaaa, nic nowego.

Ale to jej ostatni mail mrozi mi krew w żyłach.

„William dzwonił wczoraj. Chciał wiedzieć, gdzie jesteś. Powiedział, że nie oddzwoniasz do niego i że ma kilka pytań do ciebie związanych z interesami. Powiedziałam mu, gdzie jesteś, ale też, że w lato odpoczywasz. Mam nadzieję, że to w porządku”.

Biorę urywany wdech.

Potem następny.

„Powiedziałam mu, gdzie jesteś”.

Wie, gdzie jestem.

Odpisuję na jej mail drżącymi palcami.

„Przepraszam. Tak jak ci wtedy powiedziałam, czuję się odpowiedzialna za Branda. Został ranny przeze mnie. Z pewnością przyjdę do domu niedługo na herbatkę. Dobrze, że powiedziałaś Williamowi, gdzie jestem. Pewnie ma jakieś zwykłe pytanie, czy coś”.

To niedobrze. W ogóle.

Ale ona nie wie, co zrobił.

Klikam „wyślij” i zamykam laptop.

Gdy idę przez dom, znajduję Branda siedzącego przy oknie. Zamiast patrzeć na jezioro, utkwiał spojrzenie na pudełku, które przyniosła jego matka. Wyraźnie kontrastuje z białym drewnianym stołem, na którym leży.

Wpatruje się w nie tak uważnie, że nawet nie zauważa, że go obserwuję.

Wyraz jego twarzy jest pełen bólu. Skupiony, bolesny,

bezbronny.

Mogę sobie tylko wyobrazić, co mu się przytrafiło w przeszłości. Ale sądząc po sposobie, w jaki wpatruje się w to pieprzone pudełko, to musi być coś związanego z jego ojcem.

Wzdychając, przechodzę do kuchni, żeby zrobić herbatę. Chyba oboje mamy tajemnice.

Ja trzymam swoje zamknięte w najgłębszym i najciemniejszym miejscu w sercu i jestem pewna, że Brand robi to samo. Jestem też przekonana, że nie dowiem się o nich, dopóki on nie wydobrzeje i nie będzie gotów się nimi podzielić.

Sącząc herbatę, rozkładałam się na kuchennym krześle. Rozglądając się dookoła, staram się sobie wyobrazić te dni, w których ta przytulna, mała chatka tętniła życiem. Wygląda na to, że Jacey i Gabe spędzali tu z dziadkami każde lato, a Brand często tu przebywał.

Poszperałam trochę i dowiedziałam się, że dom Branda jest zaraz przy drodze. Kiedy tu jechaliśmy, nawet na niego nie wskazał.

Panują tam złe emocje, to oczywiste. Nie mogę tylko sobie wyobrazić, co taki facet jak on mógł zrobić, że jego rodzice odwrócili się od niego.

Dźwięk prysznicza wybudza mnie z zamyślenia i spoglądam w górę jak na alarm. Brandowi nie wolno moczyć opatrunku na udzie. Boże, jest taki uparty.

Wyskakuję z krzesła i pędzę przez hol, otwierając z hukiem drzwi do łazienki.

Brand jest całkowicie nagi. Próbuje utrzymać równowagę przy umywalce, przygotowując się, żeby wejść pod prysznic.

Jest zaskoczony moim widokiem, a ja zamarzam, patrząc na niego.

Jest totalnie, pięknie nagi.

Wygląda, jakby wyrzeźbił go z marmuru utalentowany mistrz. Michał Anioł być może. Wsysam powietrze, nie mogąc odwrócić od niego wzroku.

Falujące mięśnie brzucha.

Wyrzeźbiona dłutem klatka piersiowa.

Uda jak stal.

I jeszcze, jeszcze...

Moje spojrzenie wędruje w dół.

Dobry Boże.

Brand chrząka.

– Moje oczy są tutaj, panienko Greene.

Rumienię się na tysiąc odcieni czerwieni, gdy gwałtownie podnoszę wzrok, żeby spotkać się z jego spojrzeniem. Jego oczy napęlnia rozbawienie... moim kosztem.

Unosi brew.

– Mogę ci pomóc?

– Nie możesz brać prysznic – jąkam. – Masz się obmywać gąbką w tym tygodniu. Pamiętasz?

Brand wywraca oczami i wzdycha.

– Nie muszę pamiętać. Ty pamiętasz za mnie.

Rzucam mu ręcznik i, niestety, obwiązuje go w pasie, zakrywając swoje fantastyczne ciało, zanim chwyta kule.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, jak się wymyć gąbką – narzeka, utykając obok mnie.

– Ja też – mówię mu. – Ale możemy coś wymyślić.

My.

Czuję, jak motyle w moim żołądku zaczynają znowu fruwać, szybko i mocno. Brand obraca się, żeby na mnie spojrzeć.

– My?

Przytakuję.

– No tak. Co by była ze mnie za pielęgniarza, gdybym ci nie pomagała? Idź, połóż się na łóżku. Przyjdę za minutę ze sprzętem.

Brand przewraca oczami i mruczy pod nosem, ale odchodzi, utykając. Biegnę do kuchni po wielką miskę z ciepłą wodą, a potem zatrzymuję się przy szafce po myjkę, ręczniki i mydło. Moje ręce drżą przez cały czas.

Co ja, do cholery, robię?

Dlaczego on mi na to pozwala?

Musi tego chcieć.

Ta wiedza, ta teoria napędza mnie i popycha do jego sypialni. Moja ostatnia szansa, żeby z nim być, właśnie się dokonuje.

Nie mogę jej zmarnować.

Miej jaja, Nora.

Stawiam miskę na nocnym stoliku i spoglądam w dół. Brand leży na plecach, a ręcznik przykrywa jego brzuch i krocze. Ręce ma pod głową i jest spokojny i wyluzowany w każdym calu, gdy tak na mnie czeka.

Zastanawiam się, czy jest tak samo niespokojny jak ja.

Oczywiście, że nie. Bo nie wie, co zaplanowałam.

Spogląda na mnie.

– A więc, od czego zaczynamy?

Mówi z taką seksowną chrypką... Boże. Chcę wybiec z pokoju i schować się w swoim, bo nie wiem, co tu robię.

Wiem tylko, czego chcę.

Chcę jego.

– Zaczniemy od umycia rąk – mówię mu spokojnie i fachowo, gdy przemieszczam się do jego boku. Uśmiecha się do mnie szeroko.

– Jasne. – Wyciąga do góry ramię. – Proszę bardzo, pielęgniarcko.

Biorę oddech, chwytam za myjkę i przesuвам się wzdłuż twardych konturów jego ramienia. Miejsce, które u większości ludzi jest miękkie, Brand ma twarde jak skała.

– Drugie – mówię delikatnie, mocząc z powrotem ściereczkę.

Okrażam łóżko i myję jego drugą rękę, tę z tatuażem na przedramieniu.

„Chociaż idę przez dolinę śmierci, nie boję się zła”.

– Bałeś się w wojsku? – pytam szczerze, przemywając myjką wytatuowane słowa. Brand otwiera oczy.

– Oczywiście.

Oczywiście. To było głupie pytanie. Po prostu nie wygląda na to, jakby się bał czegokolwiek.

– Bycie odważnym nie znaczy, że się nie boisz, Noro – mówi mi Brand, unosząc swoje oczy w kolorze oceanu ku mojemu

spojrzeniu. – To znaczy bać się czegoś, ale i tak to robić.

– Robić to? – pytam.

Brand wzrusza ramionami.

– To może być wszystko. Cokolwiek robisz i czegokolwiek się boisz.

Robię to teraz.

Bo go pragnę. Chcę go zdobyć tego lata, a on nie rozumie. Nie wykonuje żadnych ruchów, nawet jeśli jestem tu, dostępna, i go chcę. Jest tylko jeden sposób, żeby mu pokazać. Muszę być otwarta i szczerą.

Potrafię to zrobić.

Bo jestem odważna.

Jestem odważna.

Jestem odważna.

Jestem cholernie odważna.

Ponownie moczę myjkę i bez ostrzeżenia odchylam róg ręcznika, a następnie ściągam cały.

Brand gwałtownie otwiera oczy i kieruje je na moją twarz. Nie mówi ani słowa, ale widzę, że powstrzymuje oddech. Jego płaski brzuch się nie rusza.

Zanurzam myjkę w jego boku, ponad falującymi mięśniami. Czuję go przez materiał, jego ciepło wsiąka w moje palce.

Mijam jego biodra, apetyczne, seksowne biodra. Wyobrażam sobie, jak się rozciągają, gdy mnie ujeżdża. Rumienię się i przetykam ślinę.

Jestem odważna.

Jestem cholernie odważna.

Biorę wdech, a moje palce nie przestają się poruszać.

Kolejny oddech i myjka osuwa się w dół.

Brand powstrzymuje swoją ręką moją dłoń.

– Myślę, że poradzę sobie z tą częścią.

Spoglądam w dół na niego, a on wpatruje się we mnie z obawą, bo nie wie, co robię ani czego chcę. Ja też nie wiem. Wszystko, co wiem, to to, że robię to teraz. Zanim będzie za późno i on zniknie z mojego życia i nie będę miała kolejnej szansy.

– Brand, mam propozycję.  
Moje słowa przecinają ciszę pełną napięcia.  
Podnosi na mnie spojrzenie. Jego oczy są tak cholernie  
niebieskie.

– Zamieniam się w słuch.  
Jego ręka nadal przykrywa moją. Jest ciepła i silna. Słyszę,  
jak puls tętni mi z hukiem w uszach.

– Pragnęłam cię, odkąd miałam dwanaście lat. Jesteś tu przez  
lato, tak jak ja. Nie wiem, czy jeszcze cię kiedykolwiek zobaczę,  
ale nie chcę spoglądać zza mojego biurka z w Greene Corp, kiedy  
będę miała siedemdziesiąt lat, i żałować, że tego nie zrobiłam.

Zatrzymuję się, ale Brand nic nie mówi.

Po prostu czeka.

Między nami jest napięta cisza, więc wypowiadam szybko  
kolejne słowa. Pozwalam im się wytoczyć z moich ust, zanim  
stracę nerwy.

– Chcę cię. Bez żadnych ograniczeń. Gdy lato się skończy,  
prawdopodobnie już się nie zobaczymy... ale chcę tego lata. Z  
tobą.

Muszę wiedzieć, jak to jest.

„Stoję przy murze, aby chronić, co moje”.

Muszę wiedzieć, jak to jest być jego. Nawet jeśli to tylko  
złudzenie.

Być bezpieczną.

Być dobrą.

Proszę.

Brand wpatruje się we mnie, zszokowany.

Ja też jestem oszołomiona.

Zrobiłam to.

Zrobiłam.

Jestem cholernie odważna.

Patrzę, jak jego usta powoli się rozchylają i wydycha  
powietrze w pośpiechu.

Patrzę, jak jego język gwałtownie wysuwa się i oblizuje  
dolną wargę.

Czuję gorąco od jego ręki, którą delikatnie porusza.  
Potem widzę słowo wydobywające się z jego ust... na chwilę  
zanim je wypowie.  
– Nie.

## Rozdział 7

### BRAND

Nora wpatruje się we mnie zdumiona. Jej niebieskie oczy są szerokie i jasne i widzę w nich ból. Urazę, którą spowodowałem nie ze swojej woli.

– Nie? – powtarza drżącym głosem, zmieszana. Nie oczekiwała takiej odpowiedzi. Ja nie spodziewałem się, że tak odpowiem, szczerze mówiąc. Gdybym był sprytny, to przyjąłbym jej ofertę i miał letni okres pełen seksu.

Ale gdy patrzę na nią teraz, wydaje się bardziej bezbronna i smutna niż taka, jaką chciałaby, żeby świat ją postrzegał, czyli pewna siebie i władcza. Część mnie wie, że seks bez zobowiązań jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje.

– Nie – odpowiadam ponownie. – Jezu, Nora. Jesteś warta więcej niż to.

Rumieni się intensywnie i wyszarpuje rękę, jak gdyby moja skóra się paliła.

– Nie znasz mnie – wystrzela, zbierając rzeczy do kąpieli. – Nie wiesz, czego jestem warta ani czego chcę, Brand. Sam się sobą zajmij.

Chwyta mój ręcznik z podłogi i rzuca mi z powrotem. Łapię ją za łokieć, trzymając mocno, i siadam.

– Nora, nie chciałem cię urazić. Jesteś piękną, seksowną kobietą. Nie wiem, dlaczego czujesz, że nic nieznaczący wakacyjny seks ze mną jest rozsądny, ale mam wrażenie, że to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz. Jesteś warta czegoś więcej niż zwykłego pieprzenia.

Wzdryga się na moje słowa, ale to właśnie ja. Zawsze jestem szczerzy.

– Nie byłby bez znaczenia – mruczy, patrząc w moją twarz. – Pragnę cię od lat. Bycie z tobą teraz byłoby jak spełnienie moich najdawniejszych fantazji, zanim pochłoną mnie interesy ojca. Co w tym złego? Czy nie zasługuję na coś, czego zawsze chciałam,



zanim oddam życie w ręce ojca?

Teraz ja wzdrygam się, patrząc na nią w szoku. Jestem jej fantazją? Co to za nonsens? Zaśmiałybym się, gdyby sytuacja nie była tak napięta.

– Nie za bardzo nadaję się na materiał do fantazjowania – mówię jej, powstrzymując się od uśmiechu. – Jestem tylko synem mechanika, który zaciągnął się do wojska i wyniósł się z tej dziury. Żadna bajka, Noro. A poza tym, nie oddajesz swojego życia ojcu. Będziesz dla niego pracować, ale twoje życie nadal będzie należeć do ciebie.

Potrząsa głową.

– Nie wiesz nic o mnie, Brand. Ani o moim życiu.

Z tymi słowami wychodzi, zostawiając mnie samego w pokoju tylko z ręcznikiem na kutasie.

Czuję się, jakby ktoś mnie zmiażdżył.

Co to w zasadzie było za gówno?

Wytaczam się z łóżka, zakładam z powrotem ubrania i wychodzę za Norą, utykając, ale kiedy docieram do holu, słyszę, jak leje się woda. Jest pod prysznicem... i jest wilgotna i naga.

Potrzebuję piwa.

Pieprzyć to, że nie mogę pić, dopóki biorę tabletki przeciwbólowe.

Żeby się dostać do kuchni, potrzebuję pięciu minut. Ale kiedy już w niej jestem, popijam tabletkę jednym haustem piwa, unosząc butelkę w kierunku Nory.

Na zdrowie.

Wychylam resztę lodowatego płynu, pozwalając, aby ściekł przez gardło i dotarł do brzucha, ochładzając mnie po drodze.

Wypijam jedno piwo za zdrowie Pielęgniarki Nory, gdy jej telefon wibruje na kuchennej ladzie. Pochylam się i zerkam z czystej ciekawości.

Wdycham powietrze z sykiem na to, co widzę.

Cztery nowe SMS-y od kogoś o imieniu William.

„Odbierz ten pieprzony telefon”.

„Cholera, Nora”.

„Wiem, gdzie jesteś”.

„Nie wiesz, do czego jestem zdolny. Chcę twojego słowa. Jeśli jesteś bystra, to mi je dasz i dotrzymasz go”.

Wpatruję się w ostre słowa i staram się pogodzić je z Norą, jaką znam dotychczas. Z pewnością jest osobą ambitną i zdeterminowaną, ale taka jest na zewnątrz. Widzę też, że w środku jest wrażliwa i delikatna. Nie mam pojęcia, czym wkurzyła tak tego kolesia.

Wspólnik biznesowy? Ktoś, z kim załatwia interesy w Greene Corp? Interesy?

Ale on jej grozi. „Wiem, gdzie jesteś”.

Jaki partner biznesowy wysyłałby groźby w interesach?

Odkładam jej telefon, akurat gdy Nora wchodzi do kuchni w samym ręczniku.

Odwracam się i nieruchomieję, gdy ją widzę.

Śmietankowe ramiona, miękka skóra, długie nogi.

Przełykam ciężko ślinę i natykam się na jej spojrzenie.

– Kim jest William? – pytam zwyczajnie. Jej spojrzenie robi się ostrożne.

Pochyliła się nade mną, celowo naciskając na mnie swoim ciałem tylko w ręczniku. Czuję jej sterczące sutki, na które reaguje moje krocze.

Kąciki jej ust podwijają się do góry.

– Czy to ważne?

Spogląda na mnie, uśmiechając się szeroko i figlarnie. Jej twarz jest o kilkadziesiąt centymetrów od mojego krocza.

– Czy jest coś, czego potrzebujesz, kiedy tu jestem?

Mój kutas drga.

– Nie – mówię jej pewnie, pociągając ją w górę za ramiona. – Kim jest William?

Wzdycha.

– Ktoś z pracy. W porządku.

Ale nie jest w porządku. Widzę to na jej twarzy. Mogę to powiedzieć po tym, jak blednie na samo wspomnienie tego imienia. Ale ramiona ma wyprostowane, a podbródek uniesiony.

Jest zdeterminowana, żeby o nim nie rozmawiać.

W porządku.

Wszyscy mamy nasze sekrety.

Uśmiecha się z triumfem, gdy porzucam temat, i chwyta za telefon, odwraca się i zrzuca ręcznik. Spada na moje stopy.

Wychodzi pewna siebie, naga jak w dniu, kiedy się urodziła.

Jej nogi prężą się, gdy idzie, a jej tyłek jest kształtny i jędrny.  
I mój kutas znowu reaguje.

Kurwa.

Jęczę i odwracam wzrok.

Słyszę, jak Nora chichocze w drugim pokoju i przewracam oczami.

Słyszę także, jak zakręca prysznic.

Widocznie zmieniła zdanie o kąpieli.

Z powrotem zagląda do kuchni.

– Chcesz popływać nago?

Tak.

– Nie – mówię stanowczo. – Nie pływam.

– Jak wolisz – przytakuje i przechodzi dumnie naga przez kuchnię. Otwiera tylne drzwi i idzie drogą przez trawnik w pełnym słońcu na prywatną plażę za domem.

Potrząsam głową. Nie jestem w stanie powstrzymać się od uśmiechu rozlewającego się na mojej twarzy.

Ta dziewczyna to coś. To na pewno.

Podchodzę do okna, kulejąc, i patrzę na nią.

Nie martwi się, że ktoś może ją zobaczyć. Po prostu ma to gdzieś podczas przedstawienia, które wystawia specjalnie dla mnie.

Jest dla mnie. Wiem to.

Nora nie jest z tych dziewczyn, które paradują nagie w środku dnia bez powodu. Ona robi to, żeby osiągnąć swój cel. A tym celem jest zdobycie mnie tego lata.

Nie wiem dlaczego.

Ale nagle czuję, że dobrze mi z tym.

To cholernie przyjemne uczucie być zdobywanym w taki

sposób. Po ciągłym dawaniu nieodwzajemnionego uczucia.

Ona mnie pragnie.

Nasze spojrzenia spotykają się przez szybę. Nora pływa przez chwilę na brzuchu z oczami ponad powierzchnią wody, nigdy nie odwracając spojrzenia od mojego.

Chlapie i kopie w moją stronę, przewracając się na plecy.

Jej cycki wystają ponad wodę, a sutki sterczą do słońca.

Mój kutas znowu drga.

I wtedy, gdy już zrobiła dla mnie popis, wychodzi z wody, ociekająca wilgocią i skąpana w świetle słonecznym.

Jest cholernie seksowna.

I wie o tym.

Wraca zamaszystym krokiem przez trawnik, patrząc na mnie przez cały czas. Wchodzi tylnymi schodami, przechodzi przez kuchnię i staje przede mną, a woda skapuje mi na stopy.

– Zimno mi – mruczy mi do ucha, stając na palcach i opierając się o mnie. Ociera się zimną skórą, przesiąkając przez moją koszulę, a jej cycki napierają na moją pierś. Jej sutki są tak twarde, że mogłyby przeciąć szkło. Moje ręce wyrywają się w bólu, żeby prześlizgnąć się po jej skórze, jej biodrach, w dół, gdzie chwyciłbym ją za tyłek i...

Zaciskam zęby.

– To się ubierz – mówię jej spokojnie, schylając się, żeby podnieść ręcznik, który zrzuciła wcześniej, i podać go jej. Nie wykonuję żadnego ruchu, żeby jej dotknąć, bez względu na to jak bardzo moje zdradliwe palce chcą wsunąć się pomiędzy jej nogi i...

Znowu zaciskam zęby.

Widzi, jak moja szczeka się napina. Uśmiecha się.

Wie, że wygrała grę, którą prowadzi... że sprawiła, że jej pragnę.

Nie zawracam sobie głowy, żeby jej o tym powiedzieć.

Zamiast tego po prostu łapię jej spojrzenie i przytrzymuję, dopóki się nie cofnie i nie wyjdzie.

Tym razem nie gapię się na jej tyłek, ale skupiam uwagę na

czarnych literach, które ma wytatuowane na łopacie. Zauważyłem je wcześniej, ale byłem zbyt rozkojarzony, żeby je przeczytać. Mimo że mnie zaintrygowały.

Nie przypuszczałem, że Nora ma tatuaż.

Jest subtelna, zasadnicza i z klasą.

Ale nawet jeśli jest spokojna, to na jej łopacie są wytatuowane słowa. Z małą elegancką kotwicą. *Fluctuat nec mergitur*.

Łacina. Co to znaczy?

Wyciągam telefon z kieszeni i wpisuję słowa w wyszukiwarkę.

Wynik dostaję natychmiast.

„Rzucana jest przez fale, ale nie tonie”.

To ma znaczenie. Jest symboliczne. Tusz jest wyraźnie czarny. Tatuaż wygląda na nowy.

Ma jej przypominać... żeby była silna. Niezachwiana. Żeby nigdy nie tonęła.

Zmrużam oczy, przypominając sobie wiadomość na jej telefonie.

„Chcę twojego słowa. I chcę, żebyś je dotrzymała.

Wiem, gdzie jesteś”.

Coś jej się przydarzyło. Coś, o czym nie chce rozmawiać. Coś, czego się boi. Coś, z czym związany jest William.

Widziałem strach w jej oczach kilka razy, ale zawsze go ukrywa.

Widziałem ten rodzaj strachu już przedtem, w oczach kobiet w Afganistanie. W oczach kobiet, które były bite, znieważane i gwałcone.

Mój żołądek zaciska się na to wspomnienie, ale także na myśl o Norze.

Ktoś ją skrzywdził.

Ale ten ktoś nie zrobi tego ponownie. Nie, kiedy ona jest ze mną.

Tego jestem pewien.

Zdecydowanie pokonuję drogę do salonu i opadam na

krzesło przy oknach. Czekam, aż Nora się ubierze, i rozmyślam nad naszą sytuacją.

Jesteśmy jak dwoje zapaśników walczących o nagrodę. Krążymy po ringu, czekając na cios tego drugiego.

Oboje mamy sekrety, o których nie chcemy sobie opowiedzieć.

To trochę ironiczne.

Nora w końcu się pojawia, ubrana w T-shirt bez stanika i krótkie szorty. Jej sutki sterczą przez cienki materiał, a kąciki jej ust drgają.

Wie dokładnie, co ma na sobie.

Uśmiecham się do niej.

– Jak twoja kąpiel?

Nora odwzajemnia uśmiech.

Zaczyna się gra słowna.

– Odświeżająca. A jak twoje oglądanie?

Przytrzymuję jej spojrzenie i uśmiecham się ponownie.

– Odświeżające.

Jej uśmiech robi się szerszy.

– Zapomniałam kupić coś na jutrzejsze śniadanie. Co byś chciał?

Ciebie.

– Jajka – proponuję.

Przytakuje.

– Dobry wybór. Myślę, że z jajkami sobie poradzę.

Bierze swoją torebkę.

Unoszę brew i spoglądam na jej piersi jeszcze raz. Na sposób, w jaki jej nagie cycki wystają spod koszulki, a jej sutki ocierają się o tkaninę.

– Nie zakładasz stanika?

Jakoś radzę sobie z utrzymaniem tego samego tonu głosu.

Uśmiecha się jak anioł i pochyla, żeby szeptać mi do ucha, przyciskając biust do mojego ramienia.

– Nie, chcę, żebyś myślał o moich sutkach, kiedy mnie nie będzie. Smakują jak miód.

Jezu.

Z tymi słowami odchodzi, jakby się przechadzała.

Przełykam ciężko ślinę.

Opanowany. Opanowany. Opanowany.

Zimna.

Pieprzona.

Martwa.

Ryba.

Jakoś wątpię, że myślenie o zimnej, martwej rybie może coś pomóc tego lata.

Nie mam tu nic do roboty oprócz duszenia się w rozmyślaniu nad tym, że utknąłem w Angel Bay. Praktycznie nie ma tu zasięgu. Nie mogę wyjść i nie mogę prowadzić auta.

Cudownie.

Och, i w dodatku dziewczyna, która mieszka ze mną w domku, chce wolnego seksu, a ja bez żadnego powodu ją odrzuciłem.

Co, do cholery, jest ze mną nie tak? Muszę zrzucić winę na tabletki. Oglupiają mnie.

Z jękiem wstaję z krzesła i idę, kulejąc, do drzwi. Kule rysują o podłogę.

– Dokąd idziesz? – pyta z ciekawością Nora, gdy wychodzi z pralni do salonu ze stertą świeżego prania na rękach.

– Na ryby.

Nora zaczyna się śmiać, dopóki nie zauważy, że mówię serio.

– Na ryby?

Przytakuję.

– Nie mogę robić nic innego. Ale z pewnością mogę posiedzieć na moło.

Nora wpatruje się we mnie przez sekundę. Potem stawia kosz z praniem na podłogę i podąża za mną.

Zatrzymuję się i patrzę na nią.

– Dokąd idziesz?

Uśmiecha się do mnie szeroko.

– Na ryby. Nigdy jeszcze nie byłam.

Unoszę brew.

– Spędzałaś w Angel Bay każde lato i nigdy nie byłaś na rybach?

Potrząsa głową zdecydowanie.

– Nie. Nie było nikogo, kto by mnie zabrał. Mój ojciec prędzej by umarł, niż zarzucił przynętę. Mama w ogóle się tym nie interesowała, a nasz ogrodnik Julian lubił chodzić sam. Robił ze mną różne rzeczy, ale łowienie traktował jak wyciszenie. Więc... nie. Nigdy nie byłam na rybach.

– To jak jakaś parodia – mówię jej, odwracając się z powrotem do przodu. Mierzę wzrokiem odległość stąd do szopy na zewnątrz, do brzegu pomostu. Wydaje się, jakby to było sto pieprzonych mil z tymi kulami.

– Cóż, w takim razie, pozwól mi zakończyć tę śmieszność – swiergocze radośnie przy moim boku. – Właściwie to spotkamy się tam. Idę założyć strój.

– Nie spiesz się.

Bo zajmie mi sto lat, zanim tam dojdę.

Kurwa.

Naprawdę się nie spieszy. Bo dotarcie do szopy, znalezienie pary tyczek i pudełka z przynętami, a potem zatarganie tego na koniec pomostu zajmuje mi dwadzieścia minut. I to wszystko z kulami.

Czuję, że czegoś dokonałem, gdy rzucam to wszystko i siadam na brzegu pomostu, ostrożnie zwieszając nogi. Oczywiście boli, kiedy zginam kolano, ale nie tak bardzo jak wczoraj.

To się nazywa postęp, do cholery.

Nadziewam na haczyk przynętę, gdy nadchodzi Nora, podskakując wzdłuż pomostu w butach na obcasie i w bikini tak skąpym, jakby go w ogóle nie było. Tłumię jęk, gdy pochyla się przy mnie, upewniając się, że jej tyłek jest wystarczająco wypięty.

Idealnie kształtny.

Odwracam wzrok, zarzucając wędkę.

Zimna ryba. Zimna ryba w jeziorze. Zimna ryba, zimna ryba.

– Chcesz drażek? – pytam ją, obserwując, jak mój szałwik



unoszą się na wodzie. Nora chichocze.

– Tak. Czy nie wyraziłam się jasno ostatniej nocy?

Przewracam oczami.

– Zawsze taka jesteś?

Podnosi kijek obok mnie, przerzucając go w rękach.

– Jaka?

– Taka, hmm, zdesperowana.

Wsysa powietrze i obraca się do mnie z oburzeniem jątrzącym się w jej oczach. Omal się nie śmieję.

– Nie jestem zdesperowana – oznajmia, zadzierając nos, gdy dalej przywiązuje linkę do kijka. Rozdrażniona, rzuca go na pomost. – Ten jest zepsuty.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Podnoszę kij, zawiązuję linkę jeszcze raz i podaję jej go.

– Nie grzeb tutaj. – Wskazuję na linkę. – Trzymaj to tym przyciskiem do dołu i wypuść, gdy zarzucisz wędkę.

Pokazuję jej.

– I zachowujesz się jak zdesperowana. Taka kobieta jak ty nie musi błagać, żeby ktoś ją przeleciał.

Mój ton jest prawdopodobnie bardziej srogi, niż powinien, bo widzę, jak się wzdryga.

– Nie jestem zdesperowana – powtarza tym razem łagodniej. – Ja po prostu... Wiem, czego chcę. I mam tylko ograniczony czas, żeby to dostać. To sprawia, że jestem zdeterminowana, a nie zdesperowana.

Wpatruję się w nią. Widzę, jak jej policzki rumienią się od słońca, widzę jej dziwny wzrok... wrażliwy, ale zdeterminowany. I nie mogę przestać się znowu zastanawiać, dlaczego ona tak bardzo mnie chce.

Nie jestem głupi. Wiem, że kobiety się mną interesują. Ale taka dziewczyna jak Nora może mieć dosłownie każdego. I takie dziewczyny nie uganiają się za nikim... bo myślą, że są ponad tym.

Nie mogę tego pojąć.

Przez chwilę jesteśmy cicho, otoczeni zapachem gorących,

drewnianych desek, wody w jeziorze i światła słonecznego.

Ale nie mija chwila, a Nora staje się rozdrażniona. Widzę, dlaczego jej ogrodnik wolał chodzić na ryby sam. Bez przerwy gada, a ja wzdycham.

– Wiesz, że kiedy gadasz, to odstraszasz ryby? – mówię jej w końcu.

Spogląda na mnie w górę.

– I tak nic nie złapiesz.

Wzdycham ponownie.

– Na to potrzeba czasu i cierpliwości.

Ucisza się na minutę. Moje usta otwierają się, gdy rozwiązuje górę od bikini.

– Co, do cholery, robisz? – mówię bez zastanowienia, gdy rzuca stanik na pomost i siedzi tak w pełnym słońcu.

– Chcę się równo opalić – wzrusza ramionami. – I tak nie ma tu nikogo poza nami. To prywatne moło. – Obraca się plecami do mnie i rzuca mi plastikową butelkę przez ramię. – Posmaruj mi plecy. Przekleństwem rudych są poparzenia słoneczne.

Chyba, kurwa, żartujesz.

To najstarszy możliwy trik. Laska prosi cię, żebyś posmarował ją balsamem na plaży, żeby zwrócić twoją uwagę.

Ale nadal siedzę, wpatrując się w jej nagie plecy, na obszar kremowej skóry, i zanim się orientuję, chwytam za butelkę kremu i wyciskam trochę na rękę.

Moje palce ślizgają się po jej skórze, wcierając balsam w jej smukłe ciało i muskając jej ramiona. Tarcie pomiędzy moimi palcami i jej skórą rozgrzewa moją rękę.

Moje krocze reaguje na tę zwyczajną czynność, naprężając się i zaciskając. Zauważając.

Cholera.

Nora odwraca się z uśmiechem.

– A teraz przód.

Siada do mnie przodem, a jej sterczące piersi są prawie na mojej twarzy. Doskonałe, młode i bujne. W tym momencie mój kutas twardnieje jak skała.

– Sama możesz się posmarować z przodu – mruczę. – W zasadzie to załóż z powrotem strój. Nie jesteś striptizerką. Nie wiesz, czy ktoś tutaj nie przyjdzie.

Przekrzywia głowę i nadal siedzi z dumnie wystawionymi piersiami.

– Nikt nie przyjdzie. Jesteśmy tu tylko ty i ja.

– Na razie – mówię jej stanowczo. – Ale nigdy nie wiesz. Przeszła zachowywać się jak barowa dziwka i włóż ubranie.

Słowa wymykają się, zanim mogę je zatrzymać. Są reakcją na moją frustrację, na odpowiedź na reakcję mojego ciała na jej nagość.

Jej twarz pochmurnieje. Zamyka oczy. Jest teraz bez żadnego wyrazu. Nadąsana sięga po stanik.

– Nie wiedziałam, że jestem taka ordynarna – mamrocze. – Przepraszam. Zostawię cię tu po prostu samego.

Odchodzi sztywno. Słyszę, jak jej szpilki skrzypią na pomoście z każdym krokiem, gdy odchodzi coraz dalej i dalej.

Czuję się okropnie za to, że ją tak zmiażdżyłem. I naprawdę to zrobiłem. Zobaczyłem to w jej oczach, zanim je zamknęła. Widziałem to w sposobie, w jaki opuściła ramiona i jak wzięła oddech, słysząc moje słowa.

Nie wiem, dlaczego powiedziałem to, co powiedziałem... Oprócz tego, że chcę, żeby się szanowała.

Jakoś wiem, że to nie jest prawdziwa Nora. Nora Greene nie zachowuje się tak. Więc dlaczego czuje, że przy mnie musi być jakąś barową dziwką? Nie mam pieprzonego pojęcia.

To tylko utrudnia sprawę. Utrudnia odrzucenie jej propozycji.

Nagle zdaję sobie sprawę, że ona właśnie to robi. Utrudnia mi odmawianie jej.

Z jękiem przewracam oczy i zarzucam wędkę.

Kurwa. Jakbym jeszcze tego potrzebował. I tak jest mi już ciężko się sprzeciwiać.

NORA

Pieprzyć go.

Nie potrzebuję tego gówna.

Wpadam do pokoju i wyszarpuję T-shirt i legginsy z szuflady. Jestem tu, żeby mu pomóc, z dobroci serca, a on traktuje mnie jak zwykłą dziwkę?

Co, do cholery?

Co jest z nim nie tak, że nie chce przyjąć mojej propozycji? Jezu.

I nie trzeba było być takim podłym.

Od jego słów trzęsą mi się ręce... Nie jestem dziwką.

Wkładam ciuchy i związuję włosy w koka. Właśnie zaczynam wrzucać rzeczy do torby, kiedy napotykam wzrokiem zdjęcie stojące obok lampy... Stara fotografia w ramce z muszelek.

To Brand, Gabe i Jacey.

Brand i Gabe musieli mieć około dwunastu lat, co znaczy, że Jacy jest trochę młodsza. Są opaleni i uśmiechnięci. Leżą na plaży z lodami na patyku. Mają czerwone buzie, a Jacey obejmuje Branda w pasie.

Coś w tym zdjęciu zatrzymuje mnie i sprawia, że przestaję się pakować.

Jestem pewna, że Brand w wieku dwunastu lat nawet nie zauważał Jacey. Jeszcze... W końcu była kilka lat od niego młodsza. Ale widać, że już wtedy Jacey przyłgnęła do Branda.

To zaczęło się tak dawno temu.

Kipię ze złości. Nie znam Jacey, ale znam dziewczyny takie jak ona.

Zaczęła się go chwytać, sprawiając, że czuł się dla niej ważny. Nakręcała go, radziła się go, zbliżając się coraz bardziej. Trzymała go w pogotowiu, na wypadek gdyby kiedyś zdecydowała się z nim być... ale w końcu nigdy tego nie chciała, bo on była dla niej jak brat.

A Brand nie mógł tego przewidzieć, bo jest takim dobrym mężczyzną. Nigdy nie wiedział, że ona się nim zabawi i nabierze go.

A kiedy on zaoferował jej swoje serce, ona je zmiażdżyła.

Wpatruję się w zdjęcie, na małą blondynkę obejmującą

Branda i nie mogę powstrzymać niewielkiej nienawiści. Zraniła go, a teraz on trzyma się na dystans od każdej kobiety, żeby uchronić się przed ponownym cierpieniem.

Nie powiedział tego, ale wiem, że tak robi.

Wszystko przez nią.

Na zdjęciu jest młody i niewinny. Śmieje się do Gabe'a, nadal nieświadomy smyczy, jaką niedługo zawiąże na nim Jacey.

Czuję ukłucie w sercu i przestaję się pakować.

Bo to przypomina mi, że on jest taki cholernie dobry. Gdy patrzę na jego chłopięcą twarz na zdjęciu, dostrzegam nastoletniego Branda, chłopca, który podniósł mnie z błota i oczyścił, ryzykując wpakowanie się w kłopoty. Seksownego chłopca, który wyrósł na seksownego mężczyznę. Mężczyznę, który ciężko walczył za swój kraj i kochał kobietę, której nigdy nie mógł mieć.

Nawet jeśli teraz jest nieczuły i ostrożny, to nadal jest dobry.

To dlatego nie chce, żebym rzuciła się na niego, zniżając się do błagania. Nie chce, żeby to odbywało się w taki sposób.

Przez tak długi czas nie miałam obok siebie nikogo dobrego, że nawet o tym nie pomyślałam.

Odkładam ubrania.

Idę do salonu i składam ręczniki do kosza, cały czas patrząc przez okno.

Brand zaczyna się pocić i zdejmuję koszulkę.

Słońce opada na jego ramiona i plecy, opalając go jeszcze bardziej. Pragnę dosłownie wyjść i wsmarować w jego ramiona balsam, przesuwając rękoma po tych wyrzeźbionych mięśniach, przebiegając palcami po tych pieprzonych słowach.

„Stoję przy murze, żeby chronić, co moje”.

Przełykam ciężko ślinę.

Słońce błyszczy na jego miodowych blond włosach, a na czole pojawia się blask potu. Rozciąga się i odchyła w tył. Jego mięśnie napinają się z każdym ruchem.

Wędką drga. Chwyta ją i zaczyna nawijać.

Ściąga rybę z haczyka i wrzuca do koszyka obok.

Uśmiecham się, bo wygląda na bardzo zadowolonego.

Wyciąga się jeszcze raz, potem powoli wstaje. Ostrożnie, żeby nie skrzywić kolana.

Chwyta za koszyk i opróżnia go do jeziora... Widzę, jak jeszcze dwie ryby wpadają z powrotem do wody, i jestem w szoku. Dlaczego miałby siedzieć tam w słońcu, jeśli miał zamiar wyrzucić ryby do wody?

Pytam go o to, kiedy w końcu wchodzi do domu kilka minut później.

Spogląda na mnie. Włosy ma wilgotne od gorąca.

– Bo mogę je oczyścić, ale wątpię, żebyś wiedziała, jak je ugotować. Więc dlaczego mam je zabijać bez powodu?

Przechodzi obok mnie, utykając. Idzie pod prysznic, a jego prosta odpowiedź sprawia, że czuję ciepło w brzuchu.

Nie chciał zabijać bezbronnych istot bez powodu.

Ten duży, silny żołnierz, który musiał zabijać ludzi w walkach, ma na tyle dobroci, że nie chce zabić ryby, jeśli nie planuje jej zjeść.

Jestem nawet jeszcze bardziej nim zauroczona. Jeśli to możliwe.

## Rozdział 8

NORA

Trzeciego wieczora udaje mi się przygotować jajecznicę bez przypalania jajek. Czuję się, jakbym podbiła świat, gdy zsuwam parującą masę na talerz i podaję ją Brandowi przez stół.

Celowo skupia wzrok na każdej innej rzeczy, byle tylko nie patrzeć na moją koszulę.

Czuję się jak rozwiązła latawica, gdy przypominam sobie, jak, aż do dzisiaj, za każdym razem kiedy się pochylałam, robiłam to tak, żeby wypchnąć cycki z sutkami wystającymi jeszcze bardziej przez koszulę.

Ble.

Pewnie myśli, że jestem zdziłą, a jest dokładnie przeciwnie, a już na pewno nie chciałam, żeby tak pomyślał.

Boże, jaka ze mnie idiotka.

– Wcinaj – mówię mu. – Myślę, że jest nawet jadalne.

Brand uśmiecha się szeroko i zabiera się do jedzenia. Jego duże palce owijają widelec, którym wkłada jedzenie do buzi.

Przytakuje.

– Niezłe, Greene. Myślę, że opanowałaś sztukę przyrządzania jajek.

Właśnie myślę o jakiejś bystrej ripoście, gdy dzwoni mój telefon. Chłód natychmiast przebiega mi po plecach i zamieram, bo teraz za każdym razem zakładam, że to William.

Ale tym razem to mój ojciec.

Nadal czuję chłód w kręgosłupie, który osadza się między kręgami.

– Przepraszam – mamroczę do Branda, biorąc telefon. – Muszę odebrać.

Przytakuje z oczami utkwionymi w moją twarz z ciekawością.

Zabieram telefon i zatrzymuję się na podwórku.

– Cześć, tato – odpowiadam.

Mój ojciec nie zawraca sobie głowy niuansami ani przywitaniem się.

– William mówi, że nie odbierasz jego telefonów – mówi opryskliwie. Mój kręgosłup napina się jeszcze bardziej.

– Nie mam mu nic do powiedzenia – odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

Ojciec wzdycha. Dźwięk ostry jak brzytwa.

– Nora, nie muszę ci przypominać. On ma pięćdziesiąt procent udziałów w Greene Corp. Razem z nim musimy jednomyślnie zatwierdzać nasze przedsięwzięcia. Chcę, żeby widział rzeczy na mój sposób. Nasz sposób. A to oznacza, że musimy go zadowalać. Jest skomplikowany, ale lubi cię. Wykorzystaj to.

Wciągam powietrze.

– Lubi mnie? Nawet coś więcej. Wiesz, co zrobił. Nie pozwolę mu na to znowu, tato. Nie pozwolę. Nic nie jest tego warte.

– To jest tego warte, Noro – odpowiada chłodno ojciec. – To twoja praca. Tak samo jak moja i twojego brata.

Może i to moja praca, ale zadania mam zupełnie inne niż ojciec albo Nate.

– Jak możesz mnie o to prosić? – szepczę. – Nie rozumiem. Jestem twoją córką.

Cisza.

Wtedy mój ojciec uderza, używając słów jak broni.

– Nora, przestań być słaba. Jesteś Greene. Zachowuj się jak Greene. Rób, co należy. Myślisz, że zawsze podobały mi się rzeczy, które musiałem robić? Wali mnie to, czy ci się to podoba, czy nie. Wali mnie, czy tego nienawidzisz. Ale zrobisz, co tylko będzie trzeba, żeby był zadowolony i trzymał z nami. Wiesz cholernie dobrze, że układ z Chicago zależy od jego poparcia. Nie spieprzysz tego. Jasne?

Drętwieję, słysząc słowa mojego ojca. Słowa, które skazują mnie na sprzedanie duszy, przyzwoitości i ciała dla interesu firmy. Jego własna córka. Większość ojców zrobiłaby wszystko, żeby



chronić swoje córki, ale nie mój.

Ponieważ nic nie mówię, mój ojciec mnie nagabuje.

– Rozumiemy się?

Nadal jestem cicho, bo nie potrafię zmusić się do mówienia. Mój umysł jest wstrząśnięty słowami, doznaniem i przerażeniem. I po prostu nie mogę poruszyć ustami.

Jesteś Nora Greene. Rób jak Greene.

Wzdrygam się, gdy myślę o ostatnim razie, kiedy ojciec powiedział mi te słowa. To było po „incydencie”. Samo wspomnienie „incydentu” sprawia, że chcę wziąć prysznic i bez żadnego słowa rozłączam się z ojcem.

Wracam szybko do domu i przelatuję obok Branda, który sprząta ze stołu.

– Zostawiłem twój talerz – zaczyna mówić, ale tylko unoszę dłonie.

– Muszę wziąć prysznic – wołam przez ramię.

Brand zamarza w miejscu, wpatrując się we mnie całkowicie zszokowanym spojrzeniem na swojej przystojnej twarzy.

Zdaję sobie sprawę, że wyglądam jak wariatka. Ale muszę zmyć z siebie odciski dłoni. Może są tylko wspomnieniem, ale nadal czuję każdy z nich.

Pozwalam gorącej wodzie parzyć moje plecy, płynąć po mojej twarzy i biodrach. Zmyć z siebie swoje wątpliwości, strach i wspomnienia.

Tylko gdy jestem pod prysznicem i tylko wtedy, czuję się naprawdę czysta. Szoruję się, aż moja skóra robi się czerwona i szorstka, dopóki odciski dłoni nie zostają wyparzone.

Gdy woda leje się przeze mnie, robię to, co zawsze muszę zrobić, gdy to się dzieje. Skupiam się na czymkolwiek, co może odwrócić moje myśli od koszmaru tamtej nocy. Żeby zapomnieć niewidzialne ręce na swoim ciele.

Dzisiaj pomaga myślenie o Brandzie.

Jego uśmiech, siła. Zakotwiczący się w myślach sposób, w jaki błyszczą jego oczy. Jego dobro.

Jego dobro.

Wzdycham ponownie, gdy się wycieram. Brand jest o wiele za dobry dla mnie.

Co jest zabawne, bo nawet jeśli czuję się splamiona i niegodna ze względu na... wszystko, to nadal zachowuję się jak latawica, żeby Brand mnie zauważył. Żeby zaakceptował moją ofertę na lato.

Dlaczego to robię?

Brand ma rację. To nie jestem prawdziwa ja.

Ale jestem zdesperowana, żeby chociaż na kilka tygodni zobaczyć, jak to jest być z Brandem. Sprawdzić, czy jego dobro jest na tyle silne, żeby przyćmić tę część mnie, która została tak nieodwołalnie zniszczona. Tylko na chwilę. On jest jedyną na tyle dobrą osobą dla mnie.

Wiem, że jestem samolubna. Jestem samolubna, bo chcę, żeby zapragnął ciała kogoś, kto został tak... zużyty.

Wzdrygam się. Nie mogę już więcej powstrzymać mdłości.

Rzucam się do toalety i przewieszam przez nią głowę, opróżniając żołądek. Wymiotuję raz i drugi i nagle czuję chłodne ręce na plecach i palce, które zabierają moje włosy z twarzy i przytrzymują je.

– Już dobrze – mówi do mnie cicho Brand, głaszcząc moje plecy swoją twardą dłonią. – W porządku.

Nie ma pojęcia, że potrzebuję pocieszenia. Nie wiem, dlaczego nie czuję się upokorzona jego obecnością tutaj, kiedy wymiotuję, ale to wydaje się idealne.

On jest wszystkim, czego chcę.

Kiedy jest w pobliżu, wszystko jest w porządku.

Wycieram usta i opadam w jego stronę doskonale świadoma, że jestem naga, ale nie staram się wykorzystać tego na swoją korzyść.

Brand podciąga mnie, stawiając na nogi, i przytrzymuje.

– Zjadłaś coś? – pyta delikatnie.

Taaa. Pomarszczony penis, który został wepchnięty w moje usta miesiąc temu.

Potrząsam głową.

– Nie wiem. Umyję zęby i położę się wcześniej spać.

– Okej, zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebować – mówi znowu Brand z troską w ochrypłym głosie. Nie mogę zmusić się, żeby chociaż na niego spojrzeć, bo jeśli to zrobię to może zobaczyć, kim jestem. Dowie się, co zrobiłam. Dowie się, że nie byłam na tyle silna, żeby to powstrzymać.

– Okej.

Słucham skrzypienia kul Branda, gdy odchodzi. Potem myję zęby i twarz.

Moje palce nadal drżą. Chore uczucie utrzymuje się.

Jestem samotna. Jestem tak cholernie samotna.

Wiem, że Brand jest w drugim pokoju, i wiem, że jeśli jakimś cudem sprawię, że będzie chciał mnie tego lata, to jeśli dowie się, co zrobiłam, nigdy już na mnie nie spojrzy. Nigdy już nie będzie mnie pragnął, a ja nie będę mogła znieść obrzydzenia na jego twarzy, jeśli odkryje prawdę.

Nigdy nie może się dowiedzieć.

Nie zniosę odrzucenia.

Sięgam po flakon z tabletkami nasennymi stojący na nocnym stoliku. Nie jestem w stanie zasnąć bez nich od miesiący, odkąd to się stało. Mimo że nie faszeruję się żadną chemią ani niczym odurzającym, to wiem, że bez tych błogosławionych, małych pigułek nie byłabym w stanie zasnąć już nigdy.

Nie zasnę, bo boję się cieni i tego, co mogą przynieść. Mam powody.

Łykam tabletkę i odchyłam się, czekając na słodkie zapomnienie. Przychodzi całkiem szybko i zasypiam, wdychając słodki lawendowy zapach poduszki.

Niestety, jak to się czasami zdarza, tabletki powodują również wyraźne sny albo – w tym przypadku – koszmary.

Wspomnienia.

Problem w tym, że nawet jeśli wiem, że to tylko koszmary, ciężko mi się obudzić. To tak jakbym była przywiązana do łóżka. Jak kiedyś już byłam i nie mogłam się ruszyć.

Moje ciało skręca się, gdy próbuję uciec.

Ręce.  
Gorący oddech.  
Paski.  
Klapy.  
Uszczypnięcia.  
Ssanie.  
Ugryzienia.  
Ból.  
Skóra ocierająca się o moją.  
Jestem zbyt słaba, żeby się ruszyć.  
Nie mogę się poruszyć.  
Nie mogę oddychać.  
Nie mogę oddychać.  
Nie mogę oddychać.  
Budzę się, krzycząc.  
I gdy siadam i otwieram oczy, widzę jedyną rzecz, która  
sprawia, że czuję się bezpiecznie.  
Brand.

## Rozdział 9

### BRAND

Przeszywający krzyk Nory wybudził mnie z głębokiego snu. Wskoczyłem z łóżka, skręcając kolano, ale jej krzyk brzmiał tak, jakby goniły ją psy z samego piekła.

Ale teraz widzę, że po prostu coś jej się śniło.

Na jej twarzy nie ma żadnych kolorów, jest tak blada, że wygląda prawie na srebrną w świetle księżyca. Ręce ma tak mocno wplecione w pościel, że jej kostki są białe.

Spogląda w górę i widząc mnie, jej twarz pokrywa się wyrazem ulgi.

– Brand. – Bierze wdech.

Jest wiotka i nieruchoma, ale zwalczam w sobie pragnienie, żeby przejść przez pokój i przyciągnąć ją do siebie. Wygląda na taką bezsilną i samotną.

– Wszystko w porządku? – pytam, cały czas stojąc w drzwiach.

Przytakuje.

– Przepraszam, jeśli cię obudziłam. Po prostu... miałam zły sen.

Wiem wszystko o złych snach.

Odchrząkuję, doskonale wiedząc, że Nora jest w łóżku naga. Ale nawet tego nie zauważa, więc wiem, że jej strach jest przeraźliwie prawdziwy.

– Okej, po prostu chciałem się upewnić.

Odwracam się, żeby wyjść, ale jej głos zatrzymuje mnie.

– Czekał.

Odwracam się z powrotem. Jej twarz jest zamyślona.

– Możesz zostać?

Jest naga.

– Ech, nie wiem, czy to dobry pomysł.

Bo jest naga i to nierozsądne.

Ledwo pozwala mi skończyć, zanim wtrąca:

– Proszę. Nie chcę być sama.

Panika, którą widzę w jej niebieskich oczach, wykańcza mnie i wzdycham.

– Okej.

W tej małej sypialni nie ma innego miejsca, gdzie mógłbym usiąść, poza łóżkiem Nory. Więc przesuwa się trochę, a ja opadam przy jej boku na łóżku. Nie przykrywam się kołdrą.

– Dziękuję – mówi Nora cienkim głosem, chowając się z powrotem w łóżku. Spoglądam w dół i widzę, że tylko nos i kilka kosmyków jej rudych włosów wystają spod nakrycia. Ręce nadal mocno zaciska na kołdrze.

Uśmiecham się w ciemności, a potem sięgam ponad nią i uwalniam jej palce, zmuszając ją, żeby puściła uścisk.

Ma otwarte oczy.

– Czego się boisz? – pytam cicho, wpatrując się w nie.

Mruga.

– Wszystkiego – wzdycha, zaskakując mnie.

Ciemność wydaje się nas dusić i wbrew zdrowemu rozsądkowi obejmuję swoją ręką jej dłoń, przytrzymując jej palce.

– Nie bój się – mówię jej. – Jestem tu.

Wciąga powietrze. Słyszę to. I żałuję swoich słów. Nie chcę, żeby się ode mnie uzależniła. Jesteśmy tu tylko na chwilę. Nie mogę dać się wciągnąć. Nie dopuszczę do jeszcze jednej takiej sytuacji jak z Jacey.

Nora wyciąga się do mnie, a ja się napinam. To widać.

Wpatruje się we mnie w ciemności, mrużąc oczy.

– A czego ty się boisz?

– Niczego – odpowiadam z przyzwyczajenia. Jeszcze bardziej mruży oczy.

– Pozwól, że spytam jeszcze raz. Czego ty się boisz?

– Tego – odpowiadam w końcu.

Nora znowu wciąga powietrze.

– Dlaczego?

Potrząsam głową.

– Bo nic dobrego nie może z tego wyjść. Jesteśmy tu tylko na

parę tygodni.

Usta Nory zakrzywiają się w powolnym uśmiechu.

– Brand, zaufaj mi. Może wyjść z tego mnóstwo dobra.

Obejmuje mnie, oplatając swoje smukłe ramiona wokół mojej szyi i przyciągając moją twarz do swojej.

I mimo że wiem, że powinienem ją odepchnąć, odpuścić i wyjść, to nie robię tego.

Jej usta są słodkie, kiedy napierają na moje. Przesuwam rękę po jej ciepłych plecach i przyciągam ją do siebie, przyciskając do swojej nagiej piersi. Nasze wspólne ciepło wznieca się i jej język wsuwa się do moich ust.

– Potrzebuję cię, Brand – wzdycha. – Potrzebuję cię.

Przesuwa ręką w dół mojej piersi, aż dociera do miejsca, w którym jestem najtwardszy. Słyszę podmuch powietrza, gdy jej oddech przyspiesza.

Obejmuje mnie swoimi chłodnymi palcami i już wiem, że to koniec. Logiczne myślenie ulatuje ze mnie i wszystko, na czym mogę się teraz skupić, to tarcie jej ręki, którą porusza mojego kutasa.

Nie wiem, czy to rozsądne, czy nie, ale dzisiaj zanurzę się w jej ciasnym, małym cieple.

Bez względu na konsekwencje.

NORA

Słodki Jezu.

Jest olbrzymi.

I twardy.

I cały mój.

Tak właśnie myślę, przesuwając rękoma w górę i w dół po jego trzonie. Z każdym dotykiem robi się coraz twardszy. Jeśli to w ogóle możliwe. Jest twardy jak stal.

Nie mogę uwierzyć, że mi uległ.

Jego ciepło jest apetyczne. A jego twarda pierś przyciśnięta do mnie... ach.

I wtedy jego palce znajdują mnie. Wsuwa je tam, gdzie

jestem wilgotna, i jęczy mi do ucha.

– Jezu, już jesteś taka mokra.

– Pragnę cię – mówię mu zwyczajnie. – Zawsze cię pragnęłam.

Jęczy ponownie, a jego palce wsuwają się i wysuwają szybciej, potem wolniej i znowu szybciej.

Moje marzenie spełnia się tej nocy.

Zniża głowę i bierze mojego wrażliwego sutka do ust, najpierw go liżąc, a potem ssąc. Odrzucam głowę w tył, wplatając palce w jego włosy. Ssie mocniej, a potem odchyła się.

– Nie przestawaj – mówię. – Proszę.

Ssie drugi sutek.

– Chcę zająć się też drugim.

Uśmiecham się, ale nagle gdy Brand unosi się nade mną, wraca stare uczucie paniki i widzę twarz Williama.

Zastygam na minutę, a oddech staje mi w gardle, gdy próbuję walczyć z przeszłością.

To jest Brand.

To jest Brand.

Nigdy cię nie skrzywdzi.

Brand zauważa moje ściśnięte ręce i odsuwa się, mimo że jego oddech jest przyspieszony.

– W porządku?

Przytakuję, chwytając powietrze.

Chcę tego.

Tak.

Sprawi, że będę dobra chociaż na chwilę. Potrzebuję tego.

– Potrzebuję ciebie – mówię mu znowu, zmuszając się do odprężenia.

Przyciąga mnie blisko. Tak blisko, że słyszę, jak jego serce wali mi do ucha. Trzymając swoją silną dłoń na moich plecach, drugą obejmuje mnie i pieści.

Och.

Wie dobrze, co ma robić... Gdzie dotknąć, żeby moje ciało naprężyło się jak struna. Jak sprawić, żebym zapomniała o



upokorzeniu przez Williama. Chociaż na chwilę.

Wyginam się do niego.

– Chcę cię w środku – mówię, ciężko oddychając. – Teraz. Czekałam na to przez lata.

– Cierpliwości – mruczy mi Brand do ucha, a jego oddech jest gorący. Zniża głowę, ssąc moje piersi ponownie, delikatnie i potem mocniej. Zatacza ręką kółka, szybciej i szybciej.

Przygotowuje mnie, wywołując wzburzone fale, które napierają i napierają, i napierają.

Nie mogę oddychać. Kołyszę biodrami przy nim.

Jest delikatny, ale stanowczy. Silny i jednocześnie ostrożny. Jest pięknym kontrastem... i dokładnie tym, czego potrzebuję.

Potrzebuję go.

Potrzebuję go.

Nie mogę oddychać.

I wtedy światem wstrząsa eksplozja, rozrywając go na odcienie bieli, błękitu i czerwieni.

Szczytuję, kołysząc biodrami o dłoń Branda, gdy ostatnie fale orgazmu przechodzą przeze mnie. Potem opadam słabo na niego, a jego siła przejmuje moje słabości.

Unosi mój podbródek palcem i zanurza język w moich ustach. Głęboko, głębiej.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, jednym płynnym ruchem, wsuwa we mnie swojego kutasa, zanurzając go głęboko.

Jęczę i przechylam biodra.

Chcę go całego.

Go.

Całego.

Uczyń mnie dobrą, Brand.

Chcę go wchłonać, wziąć jego dobroć i nakryć się nią. Nic nie może mnie skrzywdzić, gdy on jest ze mną. Kiedy jest we mnie, zabiera cały mój wstyd.

– Boże, tak dobrze cię czuć. – Brand jęczy, poruszając się we mnie. Przywieram do niego jak tonący do tratwy.

Za każdym razem, gdy się we mnie wsuwa, wybucha we

mnie fala przyjemności... wzbierając, wzbierając, wzbierając.  
Znowu.

Szczytuję jeszcze raz bez ostrzeżenia w mgle jęków i skamlania. Odrzucam głowę w tył i pozwalam swojemu ciału na ten wstrząs, a Brand przestaje na chwilę i przyciąga moje piersi do siebie, jeszcze raz pieszcząc je ustami.

Znowu.

Znowu.

Podziwiał je po kolei, obmywając językiem moje sutki i ssąc wrażliwą skórę.

Chcę umrzeć właśnie teraz, w jego ramionach.

To byłaby dobra śmierć.

Gdy otwieram oczy, on czeka, żeby w nie spojrzeć, przygotowany nade mną, jak mszczący się anioł, którym jest.

Jego mięśnie napinają się.

– Dojdę w tobie – oznajmia mi.

Przytakuję.

– Biorę tabletki. Okej. Badałam się... okej.

Brand zanurza się we mnie jeszcze raz. A ja chcę krzyczeć, gdy czuję, jak mnie wypełnia. Jego twardość w mojej miękkości. Doskonale.

On jest doskonały.

– Chcę czuć, jak dochodzisz – mówię mu szybko, przyciągając go z powrotem do siebie. Daj mi wszystko, co masz. Muszę to poczuć.

Brand kołysze się ze mną, trzymając mnie w silnych ramionach, dopóki nie odrzuci głowy do tyłu z jękiem ulgi.

Czuję, jak jego kutas drży wewnątrz mnie, skurczając się, gdy dochodzi.

Spoczywa na mnie, ale mnie nie puszcza.

– Co myśmy właśnie zrobili? – szepcze w końcu przy moim czole, gdy mijają minuty albo godziny. Wszystko wokół mnie jest zamazane, ale nie obchodzi mnie to.

Jest trochę skonsternowany, ale to też mnie nie obchodzi.

Bo jestem w ekstazie.

– Właśnie spełniłeś moje sny – odpowiadam. – Te dobre – wyjaśniam.

Brand potrząsa głową i odwraca się na bok, trzymając mnie w swoich ramionach.

– Dostałaś wszystko, czego chciałaś? – pyta sucho, z rozbawieniem.

Przytakuję.

– A nawet więcej.

Nie to, żeby samo przebywanie z nim było wystarczające. Wiem to. Zawsze będę go chciała. Wszyscy inni bledną w porównaniu z Brandem.

Ale gdy przytulam się do jego piersi, gorzka prawda przebija mi serce.

Nie mogę być z nim długo. Nie mogę przyćmić jego dobrego serca swoim złym. Nie zrobię tego.

To lato to wszystko, co mam.

Bez względu na to, co się stanie.

Nawet jeśli odejście od niego zabije mnie.

Nawet jeśli on jest wszystkim, czego chcę.

Nie byłabym w stanie zatrzymać go przy kimś takim jak ja.

Nigdy.

Zasypiam przy spokojnym rytmie bicia jego serca.

A kiedy się budzę, słońce wpada strumieniami przez okna.

Branda przy mnie nie ma.

## Rozdział 10

### BRAND

Mieszam na patelni rozbite jajka, ostrożnie balansując na swoje zdrowej stopie, odwracam się, żeby nalać szklankę soku pomarańczowego, bo obudziłem się w poczuciu winy i nie mogłem już zasnąć.

Tak więc robię śniadanie.

Coś ty zrobił?

Jesteś takim pieprzonym idiotą.

Ignoruję swój wewnętrzny głos, ale to uporczywy dupek.

Nora nie jest z tych dziewczyn, które pieprzysz i zostawiasz.

I nie jest z tych, które będą cię chciały. Nie naprawdę.

Mam ochotę przywalić swoim myślom w zęby.

Mam teraz dylemat, bo zamiast rozsądku posłuchałem w nocy kutasa. Biorąc wdech, utykam z kulą pod jedną ręką i śniadaniem dla Nory w drugiej.

Wychylam głowę i widzę, że Nora już się obudziła.

– Dzień dobry – mówię jej cicho. Wchodzę, utykając, i stawiam talerz na jej łóżku. – Pomyślałem, że możesz być głodna.

Rozciąga się jak zadowolony kot.

– Jestem – oznajmia z szerokim uśmiechem. – Wyczerpałam ostatnie zapasy energii tej nocy. – Rumieni się pięknie i bierze talerz.

– Co do ostatniej nocy... – zaczynam i siadam na brzegu łóżka. Nora spogląda z rezerwą.

– Nie cofniesz tego – przerywa stanowczo. – Kula została wystrzelona. Jest tylko jedno, co możesz teraz zrobić... przyjąć moją propozycję.

Robię głęboki wdech.

– Nora, mam na myśli to, co powiedziałem wcześniej. Zaslugujesz na coś więcej. Jesteś warta więcej niż jakąś „propozycję”.

Nie wiem, dlaczego czuję, że muszę jej to powiedzieć. Jest

Norą Greene, na litość boską. Wie, ile jest warta.

Patrzy na mnie, jakbym miał dwie głowy.

– Mówiłam ci wcześniej, że nie wiesz, ile jestem warta. A ja wiem. Chcę ciebie, Brand. Wiem, że mamy tylko kilka tygodni, ale chcę każdego dnia, jaki nam został. Ty jesteś tu i ja też. Jest doskonale.

Unoszę brew.

– Więc chcesz mnie, bo to wygodne?

Chichocze i bierze łyk soku.

– Nie, chcę cię, bo chcę. To po prostu miłe. A to jest wygodne.

– Jesteś... czymś – mówię jej, potrząsając głową. Nie wiem, co o niej myśleć.

Spogląda w górę wzrokiem pełnym śmiechu.

– Dobrze. To lepsze niż nic.

Próbuje jajecznicy i patrzy na mnie.

– Co mamy dzisiaj do zrobienia?

Wzruszam ramionami.

– Nie ma za wiele do roboty. Utknęliśmy w domku w Angel Bay. Bez kabłówki.

Nora przewraca oczami.

– Ech, jest masa rzeczy. – Wyciąga się i wsuwa mi rękę pod koszulkę, ocierając się opuszkami palców o mój sutek.

Dokładnie w tym momencie ktoś dzwoni do tylnych drzwi.

Spoglądamy na siebie.

– Ocalił cię dzwonek. – Nora uśmiecha się szeroko. Wstaje z łóżka i zakłada szlafrok. – Wstrzymaj się. Otworzę.

Słyszę, jak idzie cicho wzdłuż przedpokoju i podążam za nią, utykając. Czuję się jak niezdarny dupek z tymi kulami.

Gdy wchodzę do salonu, Nora właśnie wprowadza do środka mężczyznę w garniturze.

– Brand, to do ciebie – mówi z wahaniem. – Prawnik nieruchomości twojego ojca.

Patrzę na gościa... Jest blady, podstępny. Ubrany w ciasno zapięty garnitur. Wyciąga rękę.

– Jestem Todd Ansel – mówi do mnie. – Reprezentowałem pańskiego tatę i spisywałem jego testament. Ma pan kilka minut?

Kilka, przytakuję, podkreślając, że mam tylko chwilę. Nora wycofała się i jeszcze stoi niepewnie przy wyjściu z pokoju.

– Chcesz, żebym została? – pyta cicho. Potrząsam głową.

– Nie, dam sobie radę. Ale dzięki.

Wysuwa się, a ja wpatruję się w Todda. Nie proponuję mu, żeby usiadł.

– W czym mogę pomóc?

Chrząka i kładzie teczkę na podłodze obok siebie.

– Rozmawiałem z pańską matką, która oświadczyła mi, że chce się pan zrzec praw do spadku po ojcu i przepisać wszystko na nią.

Kiwam głową.

– Tak.

Todd także przytakuje.

– Owszem, pański ojciec przewidział taką reakcję, więc załączył w testamencie pewne zastrzeżenie.

Patrzę na niego z wahaniem.

– Zastrzeżenie? Matka nic mi o tym nie wspominała.

Todd znowu kiwa głową.

– To dlatego, że nie wie.

Wzdycham ciężko. Tylko mój ojciec byłby zdolny do zrobienia czegoś popieprzonego, nawet pod koniec życia.

– No cóż, co to takiego?

Todd schyla się i szuka czegoś w swojej teczce, wyciąga dokument. Wręcza go mi. Jego podstępne oczy wypatrują mojej reakcji.

Nie dam mu tej satysfakcji.

Zamiast tego przeglądam dokument.

Jedyne, na czym mogę się skupić, to słowa: „Brand musi zadzwonić dzwonkiem”.

Szok uderza we mnie, szybko i mocno, a gniew przysłania zdolność widzenia.

Co za pojeb.

Todd znowu odchrząkuje.

– Nie wiem, jaki jest cel tego zadania, ale życzenie twojego ojca jest jasne. Musi pan wypłynąć do ogromnej boi przy zatoce i zadzwonić dzwonkiem, a potem wrócić. Musi zrobić to pan sam, nie używając łódki ani motorówki, ani nic w tym rodzaju. Jeśli nie wypełni pan tej woli, pański spadek zostanie zwrócony rządowi. I nie dostanie pan kluczyka do pudełka, które ojciec panu zostawił.

Pytam przez gniew, który przeszkadza mi w koncentracji.

– Kluczyka?

Todd unosi brew.

– Widocznie nie próbował pan jeszcze otworzyć pudełka. Jest zamknięte, a ja mam kluczyk. Mam go panu oddać, tylko jeśli wypełni pan zadanie.

Nora musiała znajdować się zaraz za drzwiami, bo wpada teraz do pokoju.

– A co się stanie, jeśli tego nie zrobi? – pyta z zarumienionymi policzkami.

Todd patrzy na nią.

– Jeśli Brand zdecyduje się nie wypełnić zadania, rząd przejmie jego spadek, tak jak mówiłem. Bethany Killien nie dostanie nic. Rozumiem, że była księgową w firmie pana Killiena. Prawdopodobnie straci pracę, gdy rząd sprzeda przedsiębiorstwo.

– Więc moja mama zostanie z niczym – wyjaśniam. – Bez domu i żadnych pieniędzy. I nie będzie miała pracy.

W końcu Todd znajduje w sobie na tyle przyzwoitości, że zaczyna czuć się zawstydzony.

– Tak. Nie wiem, jakie były motywy pańskiego ojca, ale tak. Pańska matka zostanie z niczym.

– Może jego matka na to właśnie zasługuje – wystrzela Nora.

Gdybym nie był już wystarczająco poirytowany całą sytuacją, to reakcja Nory nawet by mnie rozbawiła. Tak bardzo walczy w moim imieniu.

Prawnik wzrusza ramionami.

– Myślę, że o tym zdecyduje już Brand. – Patrzy na mnie. – Ma pan trzydzieści dni od dzisiaj, żeby wykonać zadanie. Muszę

być obecny jako świadek. Powtórzę, że jeśli zdecyduje się pan tego nie robić, cały spadek zostanie przekazany państwu.

– Tę część rozumiemy – mówi chłodno Nora. – Odprowadzę pana.

Todd podnosi swoją aktówkę i wręcza mi wizytówkę.

– Proszę zadzwonić, kiedy będzie pan gotowy wypłynąć.

Wychodzi. Nora zamyka drzwi za nim i wraca do mnie.

– Dlaczego twój ojciec miałby to robić? – pyta delikatnie, owijając ręką moje ramię.

Wzruszam ramionami.

– Kto wie?

Ale ja wiem.

I Nora dobrze o tym wie. Patrzy na mnie porozumiewawczo.

– Dobra. Nie będę dopytywać. Na razie. Ale co masz zamiar zrobić?

Znowu wzruszam ramionami, bo tym razem nie mam pojęcia.

Nie wiem, co zrobię. Moja mama prawdopodobnie nie zasługuje na cokolwiek. Ale pozwolenie, żeby wykopano starszą panią na ulicę, nie jest w moim stylu. Nawet tak nieczułą starszą panią, jaką jest moja mama.

– Muszę to przemyśleć – odpowiadam w końcu. – Nie chodzi o wypłynięcie do boi, ale o to, jaką wiadomość chcę przekazać matce.

Nora patrzy na mnie wyrozumiale swoimi niebieskimi oczami.

– Nie winię cię – odpowiada łagodnie. – Ja nie kiwnęłabym nawet palcem dla mojego ojca.

Odwraca się i odchodzi, zanim zdąży ją spytać o powód.

Wraca z portmonetką w ciągu minuty.

– Idę załatwić pewną sprawę, a potem wyjdziemy stąd na cały dzień – proponuje. – Mam już dość tego domku.

– Nie musisz tu ze mną zostawać – przypominam jej. – Nie ma powodu, żebyśmy się oboje nudzili.

Przewraca oczami.



– Po tym, jak przekroczyliśmy pewną granicę tej nocy, nie chcę być nigdzie indziej.

Puszczaj mi oko, a ja potrząsam głową.

– Ostatnia noc niczego nie zmienia.

Pochyliła się i lekko skubie mnie w płatek ucha.

– Ostatnia noc zmienia wszystko.

Z tymi słowami wychodzi do samochodu, a ja nie mogę przestać się gapić, jak kołysze swoim jędrnym tyłkiem.

Wzdycham. Wiem, że ma rację.

Ta noc zmieniła wszystko.

I szczerze mówiąc, jestem zmęczony walką z tym.

## Rozdział 11

NORA

Znalezienie sportowego auta w wypożyczalni samochodów zabiera wieczność. Po godzinie wracam do domku w czerwonym kabriolecie z opuszczonym dachem.

Brand siedzi, pólżąc, na schodach ganku z nogami wyciągniętymi przed siebie i czeka. Jego oczy rozszerzają się, gdy parkuję samochód i idę do niego.

– Coś ty zrobiła?

Chichoczę.

– No cóż, nie sprzedałam jaguara ani niczego innego.

Wypożyczyłam ten samochód na dzisiaj. Przejedźmy się nad jeziorem, czując wiatr we włosach, a potem zrobimy sobie piknik.

Brand unosi brew.

– Przyrządziłaś chociaż część lunchu?

Przewracam oczami.

– Nie. Czeka w samochodzie. Kupiłam go już wcześniej.

Teraz potrzebuję tylko ciebie.

Kąciki jego ust drgają, ale się nie sprzeciwia. Po prostu podnosi kule i idzie do samochodu. Jego nabrzmiąte bicepsy napinają się za każdym razem, gdy robi krok.

Przełykam ślinę, przypominając sobie, jak napinały się w nocy, gdy balansował nade mną, jak jego skóra błyszczała w świetle księżycy i jak jęczał przy mojej szyi. Czuję, jak ciepło rozlewa się w moich majtkach.

Ach.

Brand spogląda na mnie.

– Co?

Moje policzki płoną. Zauważa to.

Potrząsam głową.

– Nic. Gotowy?

– Zawsze.

Warga znowu mu drga. Opada na siedzenie w samochodzie, a

kule wkłada do tyłu.

– Gotowy.

Zapinam pas i szybko wiążę włosy w kucyk, zanim wyjadę z podjazdu na drogę.

Wiaterek znad jeziora jest świeży i czysty tego ranka. Dmucha delikatnie w nasze twarze. Słońce błyszczy na powierzchni wody, a temperatura jest absolutnie idealna.

Trzymam się raczej dróg, które okrążają jezioro, niż autostrady. Jedziemy spokojnie, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Tak, jakbyśmy nie mieli żadnych innych ważnych rzeczy do roboty. Tak, jakby jego ojciec nie był przebiegły i nienawistny. Tak, jakby nad Brandem nie wisiał głupi testament i jakby nie czekała na mnie znienawidzona praca na koniec lata.

Jest naprawdę miło.

Brand spogląda na mnie.

– Dlaczego poszłaś do szkoły prawniczej?

To pytanie mnie zaskakuje.

– Czemu zaciągnęłaś się do Rangers?

Potrzęsa głową.

– To nie to samo. Mnie pasowało w Rangers, ale ty nie chcesz być prawnikiem.

Szczęka opada mi ze zdziwienia. Patrzę znowu na drogę.

– Dlaczego tak mówisz?

Brand wzrusza ramionami.

– Bo nie jesteś ani nieczuła, ani bezwzględna. To dziwny zawód dla ciebie. I tyle.

Czuję, że policzki znowu mi się czerwienią, a chciałabym, żeby przestały.

– Nie znasz mnie – mówię mu stanowczo. – Jestem w stanie zrobić, co trzeba, jeśli sytuacja tego wymaga. Ojciec wkładał mi to do głowy, odkąd byłam małym dzieckiem. Bądź dobrą Greene, Nora. Rób, co trzeba. Podobało mi się to. Byłam najlepszym uczniem w ostatniej klasie liceum, a potem skończyłam studia prawnicze w Stanford z najlepszą średnią.

– To fajnie. – Brand uśmiecha się złośliwie. – Wyrzemy to

na twoim nagrobku, jak już zapracujesz się na śmierć.

Spoglądam na niego gniewnie.

– Co to miało znaczyć?

Brand unosi spojrzenie i odwraca wzrok.

– To znaczy, że życie to nie tylko usilne udawanie kogoś innego. Rozumiem, że chcesz zadowolić swojego tatę. Widziałem go, kiedy pracowałem w klubie. Jest... władczy. Budzi grozę.

Widzę, dlaczego starasz się go uszczęśliwić. Ale to twoje własne życie.

Przełykam ślinę ciężko, bo nagle w moim gardle uformowała się gęsia skórka.

– Teraz ty jesteś ekspertem?

Brand potrząsa głową i patrzy w stronę jeziora.

– Nie. Tylko obserwuję.

Biorę głęboki oddech. Muszę zmienić temat.

– Cóż, w takim razie obserwuj.

Przesuwam prawą ręką po wewnętrznej stronie jego uda, po jego sportowych spodenkach, które nosi ze względu na łatwy dostęp do opatrunku na kolanie. Wsuwam palce pod nogawkę i w górę jego uda, ocierając dłonią o nagą skórę.

Słyszę, jak wciąga powietrze.

Czuję aksamitną skórę pod palcami.

Czuję, jak puls krąży w moich żyłach.

Ciepło znowu zalewa moje majtki.

Działa na mnie jak narkotyk.

Naprawdę.

Nie powstrzymuje mnie. Czuję jego twarde miejsce i jak nabiega krwią nawet bardziej, robiąc się coraz twardsze. Czuję, jak jego kutas wzbiera przy mojej dłoni.

Głaszczę go delikatnie tyłem dłoni.

Bierze oddech.

Wypuszczam powietrze.

– Czas na lunch – oznajmiam drżącym głosem, zabierając rękę.

Skręcam w małą ścieżkę, która prowadzi do punktu

widokowego na skraju skarpy. Jest stąd piękny widok na jezioro. I nie ma nikogo innego w pobliżu. Miejsce jest odosobnione i idealne.

Parkuję samochód i odwracam się do Branda.

– Chcę twojego języka w moich ustach. Teraz.

Mówię władczo i apodyktycznie.

Unosi wargę.

Ale wyciąga się do mnie, przyciągając mnie swoimi silnymi ramionami na kolana.

Jego język gwałtownie zanurza się w moich ustach, a wargi ma silne i delikatne. Smakuje jak mięta i mango. Moje palce są rozwarpte na jego piersi, delektując się jej twardością.

Całuje mnie aż do utraty tchu.

Drzę, gdy się odchyła.

Unosi brew.

– Jeszcze?

Kiwam głową, bo jestem teraz napaloną dziwką.

Brand uśmiecha się i chwyta mnie ponownie. Łapie mnie za kark jedną silną ręką i przyciąga do twarzy.

Podoba mi się jego moc. Jego siła.

Bo wiem, że nigdy nie użyje jej przeciwko mnie.

Odchylam się i spoglądam w jego oczy koloru oceanu.

– Dlaczego to robisz? Myślałam, że mówiłeś, że to się już nie powtórzy.

Oczy Branda zachmurzają się na chwilę, a potem jaśnieją. Wzrusza ramionami.

– Jesteś dorosła. Wiesz, czego chcesz. I ja też jestem dorosły. Wiem, czego ja chcę.

Patrzy na mnie przejmująco niebieskimi oczami. Jego spojrzenie jest tak intensywne, że zapiera mi dech.

– Będę dla ciebie dobra – obiecuję. – Tego lata będziesz zdumiony tym, jakie było twoje życie, zanim się spotkaliśmy.

Jego oczy ponownie się zachmurzają, ale nic nie mówi. Tylko z powrotem przyciąga mnie do siebie.

– Udowodnij – wyjękuje mi do ust.

Podnoszę gwałtownie głowę i rozglądam się dookoła. Nie ma nikogo.

Z figlarnym uśmiechem pociągam za szorty Branda.

– Co robisz? – pyta spokojnie, unosząc brew. Boże, kocham, gdy to robi. Taki pewny siebie, taki seksowny. Czy jest na tej planecie coś bardziej seksownego niż twarz Branda Killiena?

– Masz trzy szanse, żeby zgadnąć – mówię mu, ściągając szorty do kolan i pochylając się nad nim. Przesuwam językiem od dołu jego kutasa aż do czubka. Spoglądam na niego. Ze spojrzeniem utkwionym w jego oczach robię kółka językiem na główce jego kutasa. – Jaka jest twoja pierwsza odpowiedź?

Przełyka ciężko ślinę, a potem odchyła głowę na siedzenie, zamykając oczy, gdy moje usta zaciskają się na jego główce.

– Jezu – mruczy, a ja pocieram go ręką i ssę jednocześnie.

Przez ułamek sekundy w mojej głowie wybucha obrzydliwe wspomnienie. Wspomnienie pomarszczonego penisa i cuchnącego oddechu. Wzdrygam się i zaciskam penisa Branda bardziej niż to konieczne. Otwiera oczy.

– Przepraszam – mamrocze przy skórze jego kutasa.

Poluźnięm uścisk i liżę go znowu.

To jest Brand. To jest Brand. To jest Brand.

Jest odważny i dobry. Nigdy by mnie nie skrzywdził.

Ssę.

On przełyka ślinę.

Przesuwam po nim rękę i łapię go za jądra.

Przełyka ponownie.

Jestem zdumiona tym, jaki jest twardy. Wdycham jego zapach. Liżę aksamitny czubek.

Chwyta mnie za plecy.

– Chcę być w tobie – mruczy delikatnie i ochryple.

– Jeszcze nie – mówię mu.

Chcę go smakować. Chcę jego dobra w sobie. Chcę połknąć. Wszystko w nim jest tak cholernie dobre. Chcę chłonać to w każdy możliwy sposób.

Poruszam głową szybciej i przyspieszam tempo ręką.

Brand znowu jęczy, opadając głową w tył siedzenia.  
– Dochodzę – ostrzega mnie wymuszonym głosem.  
Ruszam się szybciej i pieszczę jego jądra.  
Daj mi to.  
Dochodzi w moich ustach, tryskając ciepło. Jego kutas  
pulsuje.  
Wysysam z niego wszystko i połykam. Połykam.  
Wylizuję go do czysta.  
Gdy siadam, wyglądam włosy, zupełnie tak jakbym wróciła  
właśnie ze spaceru na wietrze.  
– Gotowy na lunch? – pytam zwyczajnie.  
Brand uśmiecha się z zamkniętymi oczami.  
– Może najpierw się zdrzemnę.  
Uderzam go lekko w ramię.  
– Nawet o tym nie myśl. Musisz odzyskać siły. Mam dla  
ciebie coś do zrobienia za chwilę.  
Otwiera teraz jedno oko, patrząc na mnie leniwie.  
– Och?  
Przytakuję.  
– Tak. Chodźmy, Killien.  
Bierzemy koszyk z lunchem do stołu i siedzimy, przeżuając  
nasze kanapki w słońcu. Jezioro przed nami błyszczy i obija się o  
fale.  
– Uwielbiam to miejsce – mówię do niego.  
Patrzy na mnie zaskoczony.  
– Myślałem, że go nienawidzisz.  
Potrząsam głową.  
– Nie. Nie cierpię tylko być w domu z rodzicami.  
Bierze gryza kanapki.  
– W takim razie dlaczego tam jesteś? Jesteś dorosła. Możesz  
robić, co chcesz.  
Czuję ucisk w piersi. Zawsze się pojawia, kiedy o tym myślę.  
– To nie takie proste – mówię mu – jak chciałabym, żeby  
było.  
Brand nic nie mówi. Jemy.

Gdy kończymy, wyrzucam śmieci. Potem wracam do niego, wślizgując mu się między nogi.

Wpatruję się w jego uroczą twarz.

– Nie wiem, co się stało, że zmieniłeś zdanie – oznajmiam mu. – Broniłeś się przed byciem ze mną. Ale nie obchodzi mnie, co to było. Wszystko, co się dla mnie teraz liczy, to to, że jesteś tu ze mną. I jesteś mój przez lato.

Mówię to w taki sposób, jakbym go sobie zawłaszczwała, bo tak jest.

I potem przyciągam go do siebie, wdychające jego zapach na chwilę, zanim go pocałuję najgłębiej, jak mogę. Napieram swoim ciałem na jego, przyciskam biodra. Nasze języki splątują się. Moje ciało i jego ciało.

Nora i Brand na zawsze, po wieki.

Albo przynajmniej do końca lata.

Dopóki nie będę musiała pozwolić mu odejść, zanim go splamię.

Rozglądam się dookoła. Nadal jesteśmy sami.

Nachodzi mnie diabelska myśl i szeroko się uśmiecham.

– Odpocząłeś już?

Brand unosi brew, ale nie ma czasu na odpowiedź, bo już ściągam mu szorty.

Odchyła się gwałtownie w tył, patrząc na mnie w szoku. Ale nie daję mu czasu na namyślanie się. Ściągam swoje spodenki i natychmiast na nim siadam, bez przerwy ani gry wstępnej.

Osuwam się po jego już twardym kutasie, obejmując go swoją miękkością i ciepłem.

– Jezu – wzdycha ponownie Brand. Uśmiecham się przy jego szyi, gdy do niego przywieram.

– Tym razem dojdiesz we mnie – mówię mu łagodnie.

– Tak, proszę pani – odpowiada zachrypniętym głosem, unosząc rękoma moje biodra. Kołyszemy się razem. Uwielbiam, jak jego ręce obejmują mnie w talii. Uwielbiam, w jaki sposób sprawia, że czuję się mała, delikatna i kobieca. Uwielbiam, jak mnie wypełnia.



Wzdycham przy jego ustach, gdy wkłada mi gwałtownie język.

Kochamy się w biały dzień, ale żadne z nas się tym nie przejmuje.

Kołyszemy się razem, aż Brand w końcu odrzuca głowę w tył i rozluźnia się.

I wtedy przyciąga mnie blisko do piersi, podczas gdy oboje się uspokajamy.

Świat powoli odzyskuje ostrość, a ja spoglądam na niego.

– Widzisz? Zapomnisz, co robiłeś, zanim się spotkaliśmy.

Zamyka oczy w słońcu, a moje własne słowa nagle mnie przerażają.

Bo może ja też.

## Rozdział 12

### BRAND

Jestem dupkiem.

Jestem dupkiem.

Jestem dupkiem.

Tylko o tym jestem w stanie myśleć, gdy wracamy do domku, z włączonym radiem i wiatrem we włosach.

Jest idealnie, a ja właśnie przeleciałem Norę Greene w środku dnia, po tym, jak właściwie zgodziłem się na letni romans.

Co ja, do cholery, robię?

Nora wybiera ten moment, żeby się wyciągnąć i chwycić moją rękę, przytrzymując ją mocno podczas jazdy. Nie patrzy na mnie. Spogląda na drogę, potem na jezioro i znowu na drogę.

Jej rude włosy błyszczą w słońcu, a jej kremowa skóra lśni. Znowu czuję ucisk w środku.

Co, do cholery? Nic dobrego nie może z tego wyjść.

Dlaczego w takim razie jest mi z tym tak dobrze?

Jej ręka idealnie wpasowuje się w moją.

I nie sprzeciwiałeś się też, żeby twój kutas był w jej ustach, mówi mi przekonująco moja cholerna zła strona.

Wzdycham.

To lato prawdopodobnie mnie zabije.

Albo potępi.

Jednak w tym momencie nie obchodzi mnie to. Wszyscy na około mnie dotarli tam, gdzie są, nie dlatego, że myśleli o innych ludziach, ale ponieważ myśleli o sobie, umieszczając się na pierwszym miejscu. Może czas, żebym i ja zaczął.

Dobrze się czuję, gdy jestem z Norą.

Czy to nie wystarczający powód?

Panuje między nami miła i znajoma cisza, gdy wjeżdżamy do wypożyczalni samochodów i wymieniamy kabriolet na jaguara, a potem jedziemy do domku. Udało nam się zabić jakoś większość czasu jazdą, ale było miło.

Nora skręca do Honeysuckle Drive. Zaciskam zęby, gdy przejeżdżamy obok domu mojej matki i gdy przypominam sobie, że jej życie jest praktycznie w moich rękach. To życie, które zna. Wzdycham.

Pieprzyć to.

Ona nie zasługuje na moją pomoc.

Ale jak tylko ta myśl przychodzi mi do głowy, zaczynam myśleć też o czymś jeszcze. Nieważne, jaką jest suką. Nie chcę dać jej mocy, którą mogłaby uczynić ze mnie kogoś, kim nie jestem. Nie jestem dupkiem.

Nora spogląda na mnie.

– Wiesz, co ostatnio postanowiłam?

Potrząsam głową. Oczywiście, że nie wiem.

Nora patrzy przed siebie, gdy mówi.

– Że nie mogę nic poradzić na to, jak ludzie mnie traktują. Wszystko, co mogę zrobić, to zająć się sobą... i nie pozwolić ich zachowaniom umniejszać mnie. Bez względu na to, co się stanie, mam zamiar być sobą. Nie mogą mi tego odebrać.

Cóż za ciekawa rzecz. Prawie jakby czytała w moich myślach.

– To bardzo mądre – przytakuję. – Ale łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Nora parkuje samochód przed domkiem.

– Wiem. Zaufaj mi. Chcesz popatrzeć, jak ćwiczę?

Zmieszany, chcę zapytać, o czym mówi, ale wtedy dochodzi do mnie, że na podjeździe stoi jeszcze jeden samochód.

Wymuskany, elegancki mercedes.

Odwracając się, widzę Maxwella Greene'a siedzącego na ganku. Czeka na nas ubrany w drogi garnitur i wypolerowane mokasyny. Nie pasuje do tego miejsca bardziej niż ktokolwiek inny. I, sądząc po wyrazie jego twarzy, on też nie chce tu być. Widzę po sposobie, w jaki na mnie patrzy, że mnie nie akceptuje.

Ani trochę.

Zaciskam szczękę.

Pieprzyć go.

Nie potrzebuję niczyjej akceptacji.

Wysiadam z samochodu i biorę kule, a Nora wita się z nim.

– Cześć, tato – woła radośnie z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Zastanawia mnie, dlaczego go tak bardzo nienawidzi. Bo widzę jasno, że tak jest.

Jej ojciec ryczy.

– Co tu robisz, Nora?

Nawet się z nią nie wita. Tak jakby była zbyt mało znacząca, żeby tracił na nią słowa.

Noraz wzdryga się, ale ukrywa to.

– Jak wiesz, Brand został ranny, gdy ratował mi życie – mówi te słowa z naciskiem. – Jestem tu, żeby zająć się nim podczas leczenia. To jedyna rzecz, jaką mogę dla niego zrobić.

Gdy ojciec Nory przewraca oczami, przypominam sobie, jak widziałem go w dzień wypadku i jak spoglądając za siebie, zobaczyłem go z żoną, która rozmawiała z sanitariuszem pogotowia ratunkowego. Mama Nory była niespokojna i histeryzowała, podczas gdy Maxwell pozostał opanowany, tak jak tylko on potrafi. Prawie niewzruszony.

Jaki ojciec tak robi?

Wyciągam rękę.

– Nie sądzę, żebyśmy się oficjalnie poznali. Brand Killien.

Maxwell patrzy na moją rękę przez minutę, prawie z obrzydzeniem, zanim podaje mi chłodno swoją.

– Maxwell Greene – odpowiada opryskliwie. Natychmiast spogląda na Norę. – Najwyższy czas wracać do domu. Masz odpoczywać tego lata i przygotowywać się na jesień. I William jest u nas. Czeka, żeby z tobą porozmawiać.

Nora natychmiast robi się blada. Przerazenie na jej twarzy jest oczywiste i bardzo, bardzo widoczne.

Otwiera usta i zamyka je.

Podchodzę krok w przód.

– Nie chcę się wtrącać, ale Nora obiecała, że zabierze mnie dziś na rehabilitację.

Jej ojciec ledwo na mnie patrzy.

– Cóż, myślę, że będziesz musiał poprosić o to kogoś innego.  
Nora, spotkamy się w domu.

Nie musisz dziękować za uratowanie życia twojej córce,  
dupku.

Zaczyna iść w kierunku samochodu.

Nora zastyga w miejscu, a potem patrzy na mnie.

Przytakuję. Bądź silna, Noro. Nie pozwól mu się  
kontrolować.

Spogląda w moje oczy, szukając czegoś, czego nie potrafię  
nazwać. Chyba to znajduje, bo prostuje się i idzie do przodu.

– Właściwie, tato, nie mogę wrócić teraz do domu. Mam tu  
zobowiązanie. Dałam słowo i muszę go dotrzymać. Czy nie tak  
mnie wychowałeś?

Zaczyna mówić to drżącym głosem, ale z czasem robi się  
spokojniejsza. Maxwell zatrzymuje się wpół drogi i odwraca.

Widzę na jego twarzy niezadowolenie ze sprzeciwu córki.

W jego oczach jest chłód, który znam. Widziałem go u  
mojego ojca.

Robi krok, a ja staję nieco przed Norą.

Patrzę w jego twarz.

Jeśli jej chcesz, to będziesz musiał przejść przeze mnie,  
dupku.

W jego oczach pojawia się rozbawienie.

– Ciekawe, co zrobisz, kaleko? – pyta Maxwell cichym  
głosem. Uśmiecham się na te słowa.

Mógłbym podnieść tego gościa z dwiema chorymi nogami i  
jedną ręką związaną za plecami. Ale nie mówię tego. Bo nie  
muszę. On wie.

Stoję na straży, bo czyny znaczą więcej niż słowa.

Maxwell patrzy na swoją córkę nieugiętym wzrokiem.

W końcu się odwraca.

– Porozmawiamy o tym później, Nora. Twoja matka wydaje  
kolację w piątek. Przyjdziesz.

Wsiada do auta i odjeżdża, nawet na nas nie patrząc.

Słyszę za sobą, jak Nora wypuszcza powietrze.

Odwracam się i patrzę w jej twarz. Nadal jest blada i się trzęsie.

– W porządku?

Przytakuje.

– Tak. Dzięki za... Dziękuję.

Kiwam głową.

– Nie lubię tyranów.

– Ja też – mamrocze. Wyciąga się na palcach, żeby dostać klucz, i otwiera drzwi.

Gdy wchodzimy, odwraca się do mnie.

– Myślę, że będę musiała iść na tę kolację. Pójdiesz ze mną?

Jej głos jest napięty, a oczy puste.

Natychmiast się zgadzam.

– Oczywiście.

– Dziękuję. Pójdę... wziąć prysznic. Poradzisz tu sobie przez chwilę?

– Jasne.

Patrzę, jak odchodzi. Sztywno wyprostowana i z rękoma zaciśniętymi w pięści.

Długo się kąpie.

Przychodzi rehabilitant i spędza ze mną trzydzieści minut na ćwiczeniach, zanim Nora w końcu wychodzi z łazienki. Parująca i czysta.

– Jak rehabilitacja? – pyta z ciekawością, zalewając herbatę w chińskiej filizance. Zauważam, że jej ramiona są czerwone. Pocierała je z siłą.

Wzruszam ramionami.

– W porządku. Wiem, czego się spodziewać. To nie mój pierwszy raz.

Nora siada obok na krześle przy oknie.

– Zraniłeś przedtem ciężko nogę?

– Nawet bardzo. Myślę, że mam w niej więcej metalu i śrub niż kości. Ale jest w porządku. Mogę chodzić w przeciwnieństwie do większości byłych żołnierzy.

Mimo woli myślę o Szalonym Psie, moim starym

przyjacielu, którego nogi wysadziło na moich oczach. Nie przeżył.

– Ta kolacja. – Zmieniam temat. – Z jakiej to okazji?

Nora wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Mój ojciec chce, żeby mama wydawała dużo  
przyjąć w interesach. Ciężko powiedzieć, kto tam będzie i po co.

Patrzę na nią ostrożnie.

– Czy William przyjdzie?

Nora napina się, zaciskając w rękach chińską filiżankę.

– Prawdopodobnie.

Nie odpowiadam, mimo że teraz jestem jeszcze bardziej  
przekonany, że muszę tam z nią iść.

Po chwili Nora przemawia.

– To, co powiedział mój ojciec... że jesteś kaleką... nie  
słuchaj go. Jesteś niesamowity. Twój mały palec u ręki jest  
bardziej męski, niż mój ojciec mógłby kiedykolwiek być.

Muszę się uśmiechnąć na te słowa.

– W porządku. Nie mam w zwyczaju pozwalać dupkom  
wpływać na moją samoocenę.

Przytakuje.

– Dobrze. Bo czasami martwię się, że nie widzisz siebie w  
taki sposób, w jaki ja ciebie widzę.

Przekrzywiam głowę.

– To znaczy?

Przewraca oczami.

– Łowisz komplementy?

Potrząsam głową.

– Nie. Staram się tylko poznać twoją perspektywę.

– Jesteś silny – mówi stanowczo. – Odważny, prawy i dobry.  
Nigdy nie spotkałam kogoś takiego. I wątpię, że jeszcze spotkam.

Jej stwierdzenie zapiera mi dech.

Szacunek w jej głosie zbija mnie z tropu. Patrzy na mnie w  
uwielbieniu, ale wiem, że na to nie zasługuję.

Zaczynam potrząsać głową, ale ona robi to samo.

– Nie zadręczaj się – mówi stanowczo. – Wiem swoje.

Wszystko jedno.

Podnoszę jej rękę i przytrzymuję, głaszcząc ją swoim twardym kciukiem.

– Nora, wątpię, że jestem w stanie sprostać twoim wyobrażeniom o mnie. Jestem tylko facetem. Staram się, jak mogę, ale...

Patrzy na mnie, wbijając we mnie swoje niebieskie oczy.

– Nawet nie próbuj – mówi do mnie łagodnie. – To nie wyjdzie. Widzę cię takim, jakim jesteś, Brand. Chciałabym tylko, żebyś też mógł to zobaczyć.

Wstaje, przeciąga się i odnosi kubek do kuchni.

– Kładę się wcześniej – mówi wymownie, patrząc w jedno miejsce. – Dołączysz do mnie?

Odwraca się i idzie do sypialni, a ja podążam za nią bez słowa.

Rozbiera się, celowo ściągając każdą rzecz powoli i ostrożnie. Jej wzrok jest wbity w mój przez cały czas.

Mój kutas staje, gdy uwalnia biust ze stanika.

– Chodź tutaj – mówię do niej.

Posłusznie idzie prosto w moją stronę. Jej kremowa skóra jest ciepła pod moimi palcami.

Zanurzając głowę, chwytam jeden z jej truskawkowych sutków w usta. Odrzuca w tył głowę i wczepia się palcami w moje włosy.

– Naprawdę smakujesz jak miód – stwierdzam.

Uśmiecha się.

– Nadal jesteś głodny? – pyta łakomie. Przytakuję.

– Zawsze.



## Rozdział 13

NORA

Po tym, jak kochamy się z Brandem trzeci raz tego dnia, zasypia w moich ramionach.

Obserwuję przez dłuższy czas, jak śpi, patrząc na jego spokojną twarz i na to jak bezbronny jest, kiedy śpi.

Chciałabym zostać z nim tak na zawsze.

Bezpieczna.

Przełykam ślinę na tę myśl.

Gdyby tylko...

Ale pamiętam wyraz twarzy mojego ojca dzisiaj wieczorem. Będzie okropna awantura za ten bunt.

Spoglądam w dół na twarz śpiącego Branda.

Ale to było tego warte.

Zasypiam objęta jego ciepłymi ramionami.

Gdy budzę się następnego ranka, dochodzi do mnie, że była to pierwsza od miesiący noc, podczas której nie miałam koszmarów.

## Rozdział 14

### BRAND

Każdy dzień tygodnia mija spokojnie, tak samo jak noc. Nora śpi w moim łóżku, zwinięta na boku.

Każdego ranka całuje mnie po przebudzeniu, a jej włosy opadają na moją twarz.

Dziś po śniadaniu wyprawiam się na zewnątrz, a Nora pracuje na laptopie przy stole. Idę do altany ogrodowej, która znajduje się obok plaży.

Opadając na piasek, wpatruję się w jezioro.

A ściślej mówiąc, patrzę na wielką boję unoszącą się na wodzie kilkaset metrów stąd. Dzwonek brzęczy na wietrze, gdy pokryta mchem boja przekrzywia się w przód i w tył na falach.

Czuję, jak dreszcz przebiega przeze mnie.

Gdy wpatruję się w nią, przestaję ją już nawet widzieć. Za to w swoich myślach znowu jestem chłopcem i nadal słyszę brzęk tego pieprzonego dzwonka.

*Spoglądam na zegarek. Trzecia nad ranem.*

*Jest tylko jedna osoba, która może przyjść po mnie o tej porze.*

*Przełykam ciężko ślinę. Kwaśny smak goryczy wzbiera w moim gardle. Nie przemieści się w dół, więc przełykam jeszcze mocniej, a dźwięki kroków zbliżają się do mojego pokoju.*

*Ręce wykręcają mi się w pościeli w pięść... pięść, której wiem, że nie użyję. Mam tylko dwanaście lat i on przeważa mnie o kilkadziesiąt kilogramów.*

*Zaciskam zęby, napinając szczękę.*

*Drzwi do mojej sypialni otwierają się.*

*Jego cień wypełnia przejście, opadając na podłogę. W ciemności ten cień jest jak potwór.*

*– Wychodź – wrzeszczy.*

*Zmuszam się do poddania się odrętwieniu. Tylko w taki sposób mogę przetrwać to... moje życie.*

*Chwyta mnie za ramię i ciągnie korytarzem. Wszystkie inne drzwi są zamknięte, zatrzaśnięte i ciemne. Jak zawsze, nikt nie przyjdzie mi na ratunek.*

*Jestem sam.*

*Przywykłem do tego.*

*Stopa za stopą, idę długo. Gdy zimne powietrze uderza mnie w twarz, nawet nie drgam. Nagie stopy palą mnie od śniegu. Nadal nie reaguję.*

*Wszystko, co robię... co mogę zrobić... to przygotować się na ból.*

*Który nadchodzi szybko.*

*Mój ojciec uderza mnie mocno od tyłu. Na tyle mocno, że lecę w zamrznięty piasek i czuję krew.*

*– Wstawaj – warczy ojciec. W jego oddechu czuć alkohol. Znowu był w barze. Zawsze gdy wraca do domu nawalony, wyciąga mnie tutaj.*

*Chwieję się na nogach, a świat wiruje dookoła mnie. Widzę dwóch ojców. Potem mrugam i zlewają się w jednego.*

*– Płyń i zadzwoń dzwonkiem – żąda.*

*Potrząsam głową.*

*– Jezioro jest prawie zamrznięte – mówię mu. – Nie mogę.*

*Ojciec wykręca twarz.*

*– Jesteś takim małym gównianym tchórzem – ryczy, uderzając mnie z tyłu w głowę.*

*Obejmuję ucho dłonią i czuję, jak krew ścieka mi strumieniem po szyi. Jest ciepła.*

*– To przez ciebie umarła – mówi do mnie. Jego słowa są tak surowe jak zamrznięte jezioro. – Ty powinieneś być na jej miejscu.*

*Uderza mnie ponownie i tym razem już nie wstaję.*

*– O czym tak myślisz? – pyta łagodnie Nora, nadchodząc z tyłu. Kładzie rękę na moim ramieniu, a ja spoglądam w górę, starając się otrząsnąć ze starych wspomnień.*

*– Nie warto o tym mówić – odpowiadam jej. Naprawdę tak sądzę.*

Mierzy mnie wzrokiem z ciekawością, a potem patrzy na boję.

– Myślisz o testamencie ojca?

Nie.

– Tak – kłamię.

Zagryza wargę, patrząc w dal.

– Podjąłeś już decyzję?

Nawet o tym nie myślałem.

– Pewnie to zrobię – mówię jej. – Moja mama nie była najlepszą mamą, ale nawet ona zasługuje na coś po tylu latach życia z moim ojcem.

Nora spogląda na mnie.

– Ale czy to koniecznie ty musisz być tym, który jej to da?

Wzruszam ramionami.

– Po prostu popłynę. To nic wielkiego.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Ale ty nie cierpisz pływać.

Przytakuję.

– Tak, owszem. Ale nie umrę od tego.

Nora nie może widzieć, jak poca mi się ręce na samą myśl o tym. Bo, do cholery, Brand, przestań być taką ciotą.

Nora uśmiecha się do mnie.

– Był tu przed chwilą kurier. Dostałeś coś od Gabe'a.

Mój smoking. Zadzwoiłem do Gabe'a i poprosiłem jego żonę, Maddy, żeby mi go wysłała. Mają klucz do mojego mieszkania.

– Ach – mówię do niej. – Dobrze. Jest piątek. Muszę mieć co na siebie włożyć.

Twarz Nory natychmiast pochmurnieje i od razu zaczynam żałować, że o tym wspomniałem. Ale naprawdę jest piątek. Musi się z tym w końcu pogodzić, bo kolacja jest dzisiaj.

– Jestem pewien, że twój ojciec bardzo się ucieszy na mój widok – mówię do niej zabawnie. Nawet się z tego śmieje.

– Pewnie – przyznaje z szerokim uśmiechem. – Nie zdziw się, jeśli cię przytuli.

- Pięścią – przytakuje. Znowu chichocze.
- Nie będzie miał na to jaj – mówi do mnie.

Pewnie ma rację. Tamtego dnia widziałem na jego twarzy strach ukryty za ostrożnością.

Wstajemy i wracamy do domu. Gdy przechodzimy próg salonu, nie mogę się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na pieprzone drewniane pudełko, które ojciec mi zostawił. Drwi ze mnie.

Nora podąża za moim spojrzeniem.

- Co może być w środku? – pyta.
- Nie wiem – mówię jej szczerze. – Nie potrafię sobie wyobrazić.

– Chcesz wiedzieć?

– Tego też nie wiem – znowu odpowiadam szczerze. – Część mnie jest ciekawa. Część mnie chce je spalić bez zaglądania do środka. Naprawdę nie obchodzi mnie, co miał mi do powiedzenia.

Nora zatrzymuje się i obserwuje mnie, stojąc kompletnie nieruchomo.

– Co on ci zrobił? – pyta cicho.

Potrząsam głową.

– Nie warto o tym już mówić. Odszedł i zabrał swoją nienawiść ze sobą.

Nora podchodzi i kładzie rękę na mojej piersi, lekką jak piórko. Prosto nad sercem.

– Nie zabrał całej – zauważa. – Część jej nadal tu jest. – Uderza w moje serce. – Nadal masz tu blizny po nim, Brand. Jakoś musisz się ich pozbyć.

– Słyszałem, że olej z witaminą E jest dobry – mówię przemądrzale, nie przyjmując tego, co powiedziała. Przewraca oczami.

– Mówię poważnie. Uporaj się z tym, Brand. Cokolwiek ci zrobił, już nigdy cię nie skrzywdzi. Bo odszedł.

– Odszedł – przytakuje. – Tak jak moja siostra.

Dlaczego to powiedziałem? Słowa wymknęły się, zanim mogłem je powstrzymać.

Nora podnosi gwałtownie głowę.

– Masz siostrę?

Z westchnieniem staram się zamknąć puszkę Pandory, którą właśnie otworzyłem.

– Miałem. Umarła dawno temu.

Próbuję przejść obok Nory, ale ona chwyta mnie za ramię i wpatruje we mnie. Jej niebieskie spojrzenie jest tak poważne, tak cholernie wnikliwe.

– Jak umarła? – pyta cicho, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Przełykam ślinę.

– Utonęła. W jeziorze.

– O Boże. – Nora bierze wdech. – Byłeś przy tym? Czy to dlatego nie lubisz pływać?

Odwracam wzrok na wodę, na niebo, na plażę.

Nigdy nie mogę zapomnieć tej nocy.

– Spałem, kiedy to się stało – mówię jej oschle. – Moja siostra była lunatykiem. Rodzice zamontowali zamek na jej drzwiach z zewnątrz, żeby nie zrobiła sobie nic na schodach. Ale tej nocy, gdy ojciec położył ją już do łóżka, zapomniał przekręcić zamek, zanim wyszedł do baru.

Nora patrzy na mnie z przerażeniem.

– Nie wiem, co powiedzieć – w końcu przemawia. – To okropne. Dlaczego chce, żebyś zadzwonił dzwonkiem?

Potrząsam głową, bo nie cierpię tych słów. Ale w końcu wypowiadam je, bo to prawda.

– Bo czasami ludzie nie potrafią winić siebie, nawet jeśli to oni są winni. Muszą skupić gniew na kimś innym, żeby łatwiej było im znieść ciężar.

Nora patrzy na mnie zmieszana.

– Nie rozumiem. On winił ciebie? Jakim cudem to miała być twoja wina?

Przełykam ślinę ponownie i ponownie próbuję przepchnąć gulę w gardło. Pieprzoną gulę, która formuje się zawsze, gdy myślę o Alison.

– Mój ojciec uważał, że na pewno słyszałem, jak wychodzi w środku nocy, bo nasze pokoje były po przeciwnych stronach

korytarza. Sądził, że musiałem ją słyszeć, ale nie chciało mi się za nią iść. Widzisz, wtedy gdy byłem mały, bałem się pływać w jeziorze. Nie bałem się niczego innego... węży, pajaków czy wysokości. Ale bałem się jeziora. Nie wiem dlaczego.

Przestaję mówić i patrzę przez okno. W mojej głowie jest teraz ta noc, czarna i potworna.

– Sądził, że skłamałem, że jej nie słyszałem. Sądził, że byłem zbyt wielkim tchórzem, żeby pójść za nią nad jezioro i ją ocalić.

Nigdy nie przypuszczałem, że wypowiedzenie tych słów na głos będzie takie bolesne, jak skalpel na gardle.

Nora potrząsa głową powoli w jawnym niedowierzaniu.

– Nie. Niemożliwe, żeby w to uwierzył. Na pewno nie...

Wzruszam ramionami, starając się wyglądać nonszalancko, tak jakby to już nie bolało po tylu latach.

– Uwierzył. I przekonał też moją matkę. Oboje mnie za to znienawidzili.

– Ile lat miała twoja siostra? – szepcze Nora.

– Cztery – odpowiadam.

– A ty?

– Sześć.

Ponownie na mnie patrzy, wbijając we mnie swoje niebieskie oczy.

– Miałeś sześć lat. Nawet jeśli ją słyszałeś, a jestem przekonana, że nie, jak miałeś ją ocalić? Byłeś za mały.

Nasze spojrzenia spotykają się bez drgnięcia.

– Nora, zapewniam cię. Gdybym usłyszał, że wstaje z łóżka i wychodzi na zewnątrz, to uratowałbym ją.

Nora uśmiecha się smutno.

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Stoimy tak przez dłuższy czas, a powietrze naokoło nas robi się ciężkie od tej rozmowy.

– Nie mogę uwierzyć, że właśnie powiedziałem ci o tym wszystkim – przyznaję w końcu. – Nikomu wcześniej o tym nie wspominałem.

Spogląda na mnie delikatnym wzrokiem.

– Nawet Gabe’owi?

Potrząsam głową.

– Nie. Gabe i Jacey byli tu tylko podczas wakacji. Nigdy nie widzieli mojej siostry, więc nie wiedzą, że w ogóle istniała. Widzieli siniaki, które nabijał mi ojciec, gdy byłem dzieckiem, ale nie widzieli dlaczego.

– Czy nikt nie starał się zabrać cię od rodziców? – pyta łagodnie Nora, a jej wzrok ocenia mnie, przeczesuje, szuka tajemnic.

Potrząsam głową.

– Nikomu nie mówiłem. Gabe wiedział, do pewnego stopnia, ale przysiągł, że się nie wygada. Wydaje mi się, że dzieci są zawsze lojalne wobec rodziców, bez względu na wszystko. Ale razem z Jacey bardzo starali mi się pomóc. Zatrzymywali mnie w domku na długo każdego lata.

Ale zimy nie miały końca.

– Dlaczego chce, żebyś zadzwonił dzwonkiem? – pyta Nora głosem pełnym przerażenia.

Patrzę przez okno.

– Bo miał to w zwyczaju. Uważał, że celowo nie uratowałem siostry, bo bałem się pływać. Więc wracał do domu z baru i wywlekał mnie na plażę, gdzie próbował zmusić mnie, żebym wypłynął na jezioro i zadzwonił dzwonkiem. Rozwścieczyło go, kiedy się sprzeciwiałem. Bił mnie do utraty przytomności, ale ja nadal nie chciałem tego robić.

Nora wciąga powietrze, patrząc na mnie ze współczuciem.

– Nie współczuj mi – mówię stanowczo. – Bo on nie wie, że przestałem bać się wody, zanim skończyłem dziesięć lat. Ale cały czas odmawiałem dla zasady... i z uporu. Postanowiłem, że mógł mnie bić, ale nigdy nie mógł mnie zmusić do zapłaty za coś, czego nie zrobiłem. To był taki mój osobisty sprzeciw.

Usta Nory rozchylają się w uśmiechu.

– To dlatego możesz pływać, ale nie pływasz.

Przytakuję lakonicznie. Raz.

– A teraz on próbuje zmusić cię do popłynięcia. – Zdaje sobie



sprawę Nora. – Ostatni raz.

Przytakuję znowu.

Ale ona nadal jest zmieszana.

– Ale jednak tego nie rozumiem – mówi. – Mówisz, że twoja matka nienawidziła cię od wtedy. Co chciał osiągnąć twój ojciec, przekonując ją do swojej racji?

Odwracam od niej wzrok.

– Bo jedną z rzeczy, którą mi mówił, było to, że jestem za słaby. Że jestem zbyt lojalny, że powinienem być twardszy. Jak on.

Nora patrzy na mnie, przerażona.

– Obwinił cię za bycie dobrym człowiekiem?

Wzruszam ramionami.

– Tak myślę. Postrzegął łagodność jako słabość. I zawsze mówił, że jestem słaby. Sądzę, że po raz ostatni chce, żebym udowodnił, że jestem słaby, albo pokazał, że mogę być tak nieczułym draniem jak on.

Bez słowa więcej Nora rzuca się w moje ramiona z taką siłą, że upadam do tyłu. Upadamy na krzesło i lądujemy na moich kolanach.

– Z twoją nogą w porządku? – pyta po cichu.

Przytakuję.

– Tak, nie martw się o nią.

Moje kolano pulsuje z bólu, ale nie zwracam na to uwagi. To nieważne.

Patrzy mi w oczy.

– Nie jesteś słaby, Brand. Bycie dobrym to nie słabość.

Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś tak silnego.

Nie odpowiadam.

Kładzie rękę na mojej piersi, pozostając bez ruchu. Po chwili mówi:

– Słyszę twoje serce.

Nic nie mówię.

– Masz najsilniejsze serce spośród ludzi, których poznałam.

Nadal nic nie mówię, mimo że ta pieprzona gruda znowu wzbiera w moim gardle.

Po chwili Nora unosi rękę.

– Nie ustępuj mu – mówi do mnie, wpatrując się intensywnie w moje oczy. – Nie wiem, w co gra, ale nie pozwól mu się złamać. Zrób to, co najlepsze dla siebie. To, z czym dobrze się czujesz. Nie więcej i nie mniej.

Wpatruje się we mnie żarliwie przez minutę. Potem całuje w czoło. Mocno, z pasją.

Odwzajemniam pocałunek. Przyciągam ją do siebie i obejmuję ramionami.

Jest pierwszą osobą, która rozumie moją sytuację i to, jak popieprzony był mój ojciec. Ale smutne jest to, że wiem, że nabyła tę wiedzę przez własne doświadczenie.

Bo jej ojciec jest na swój sposób tak samo popieprzony jak mój.

To tylko jeszcze bardziej mnie wnerwia.

Ale teraz, oprócz bycia wściekłym na nieżyjącego faceta, jestem też wkurzony z powodu kogoś, kto żyje, na sytuację, którą mogę przecież zmienić.

Ojciec Nory już jej nie zrani.

## Rozdział 15

NORA

Wkładam kolczyki, małe diamenty, które lśnią w płatkach uszu. Wzdycham i patrzę na swoje odbicie.

Włosy mam upięte w elegancki kok, zrobiłam makijaż i założyłam wieczorową sukienkę, małą czarną.

Z ciężkim oddechem spoglądam na zegar.

Niedługo powinniśmy wychodzić. Przeraza mnie to, a zarazem chcę, żeby było już po wszystkim.

Psikam się perfumami i wychodzę z pokoju, żeby poszukać Branda.

To, co widzę, zapiera mi dech.

Brand opiera się o okno, czekając na mnie. Jest ubrany w doskonale dopasowany garnitur.

Mój oddech zatrzymuje się w gardle, gdy stoję nieruchomo i bezwstydnie się w niego wpatruję.

Słodki Boże. Myślałam, że nie ma na świecie nic bardziej seksownego niż Brand Killien. Ale myliłam się. Bo Brand Killien w pieprzonym garniturze jest nie do pomyślenia.

Jest szczupłym, silnym i opalonym blondynem. Jego niebieskie oczy spotykają się z moimi i uśmiecha się.

– Zobaczyłaś coś, co ci się podoba?

Ach.

Kolana dosłownie uginają się pode mną, gdy przechodzę przez pokój i całuję go delikatnie w usta.

Pachnie drewnem. Mężczyzną. Niebem.

– Może – odpowiadam z uśmiechem. – Masz jakieś plany na wieczór? Bo mam sprawę...

Wzrusza ramionami.

– Mogę ci potowarzyszyć. Jestem stosownie ubrany...

Z pewnością.

Mierzę go wzrokiem jeszcze raz. Patrzę, jak koszula i marynarka opinają jego mięśnie, a spodnie dopasowują się do jego

bioder. Czuję motyle w brzuchu. Nagły przyływ adrenaliny, która pędzi przez moje żyły.

Jest mój.

Dziś wieczorem.

Tego lata.

Patrzę w dół.

– Gdzie masz opaskę na kolano?

Brand potrząsa głową.

– Jest pod spodniami.

– Co jeszcze tam masz? – mruczę, przebiegając ręką po jego szerokiej klatce.

Brand sprawnie łapie moją rękę i powstrzymuje ją.

– Uspokój się, tygrysku. Wiem, że bardzo chcesz mnie zdekoncentrować, ale musimy załatwić kolację.

Wzdycham i opuszczam ramiona.

– W porządku. Nie ominie nas to.

Warga Branda drga.

– Idziemy?

Przytakuję. Brand robi krok, a ja się zatrzymuję.

– Gdzie masz kule?

– Nie zabieram ich dzisiaj, pani doktor. Mam opaskę. Lekarz powiedział, że mogę obciążać kolano w pewnych granicach.

Będzie dobrze.

Patrzę na niego.

Odwzajemnia spojrzenie.

– Jesteś uparty – wzdycham. On uśmiecha się szeroko.

Utyka, ale idzie do samochodu bez pomocy.

Gdy jesteśmy już zapięci pasami, odwracam się do niego.

– Jeśli mój ojciec będzie dla ciebie niemiły, to wychodzimy.

Brand przewraca oczami.

– Nie, nie wyjdziemy. Zrobimy wszystko, co będziesz musiała. Nie dbam o to, czy twój ojciec jest dla mnie niemiły.

Zaufaj mi. Zniosę to.

Jego głos uspakaja mnie. Jego obecność mnie uspokaja. Jego uśmiech. Wszystko w nim jest uspokajające jak tonik. Przytakuję.

– Okej.

Oczywiście nie jedziemy długo. I mimo że marzę, żebyśmy mogli posiedzieć jeszcze trochę w samochodzie na podjeździe, to wiem, że nie możemy.

Brand spogląda na mnie.

– Gotowa?

Nie.

– Tak.

Mama otwiera drzwi, zanim dochodzimy do nich, przyciągając mnie do uścisku. Wygląda pięknie.

– *Ma belle fille* – śpiewa, całując mnie w policzki. –  
Tęskniłam za tobą.

Wciąga mnie do domu w chmurze Chanel No. 5. Spogląda przez moje ramię.

– A ty – uśmiecha się promiennie do Branda. – Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla mojej córki tego okropnego dnia. – Spogląda na jego nogę. – Tak mi przykro, że ucierpiałeś. To straszne. Czy coś wam podać?

Przytakuję.

– Poprosimy wodę.

I valium.

Brand potrząsa głową.

– Ja dziękuję, pani Greene.

– Mów do mnie Camille – instruuje mama.

Wprowadza nas do oficjalnej jadalni, która ocieka gardeniami i różami i pełna jest rozpalonych świeczek. Długi stół przygotowany jest na dwadzieścia osób, mimo że siedzą przy nim teraz tylko dwie.

Mój ojciec i brat, Nate.

William nie ma w pobliżu. Dzięki Bogu.

Mój ojciec ledwo na nas spogląda, nie przestając nawet rozmawiać z moim bratem. Ale twarz Nate'a rozjaśnia się i wstaje z krzesła. Przechodzi przez pokój, żeby mnie objąć.

Przedstawiam go Brandowi. Ściskają sobie ręce i wydaje się, że wszystko jest w porządku.

Ale wtedy wtrąca się mój ojciec.

– To sprawy rodzinne, Nora – mówi z naganą. – Nie mówiłem, żebyś kogoś przyprowadzała.

Mama przerywa, kładąc rękę na jego ramieniu.

– Nie bądź nieuprzejmy, Maxwell. Po tym wszystkim, co zrobił dla nas Brand, powinieneś być miły.

Tak, Maxwell, bądź miły.

Jeśli wzrok mógłby zabijać, to właśnie teraz mordowałabym swojego ojca. Jak to się nazywa? Ojcobójstwo? Tak. To.

Ojciec spogląda na mamę, ale ona go ignoruje.

Brand przyjmuje to wszystko ze spokojem... nieuprzejmość mojego ojca, oczywistą dysfunkcyjność tej rodziny.

– Przepraszam za najazd – mówi łagodnie, ściskając rękę ojca. – Nora nie była pewna, jak duże ma być to przyjęcie, i poprosiła, żebym jej towarzyszył. Nie mogłem jej odmówić.

Jasne, że nie mogłem. Przypominam sobie nasz dzień nad jeziorem i uśmiecham się wewnątrz. Być może Brand jest uparty, ale ja też.

Ojciec pociąga nosem.

– Próbuj bardziej.

O Boże.

Zanim mogę coś mu odparować, wraca na krzesło, pokazując Nate'owi, żeby do niego dołączył. Nate rzuca mi spojrzenie w stylu: „Przepraszam, ale co mogłem zrobić?” zanim do niego dołączy.

Osobiście chcę dogonić ojca i walnąć go w twarz. Tylko to mogę zrobić.

Ale nie robię.

Zamiast tego obracam się do mamy.

– Mamy jeszcze trochę czasu przed kolacją?

Przytakuje.

– Wspaniale – uśmiecham się, kładąc rękę na łokciu Branda.  
– Pokażę Brandowi nasze ogrody.

Uśmiecha się, wdzięczna, że odciągam naszego gościa od nieuprzejmości mojego ojca. Znowu zastanawiam się, dlaczego

ona z nim jest. Nie wspominając o tym, że jest tysiące mil od domu, a mój ojciec zarządza pieniędzmi.

Wyprowadzam Branda przez olbrzymie francuskie drzwi na werandę z widokiem na plażę.

– Przepraszam – mówię do niego, gdy jesteśmy sami. –  
Przeczuwałam, że będzie się tak zachowywał.

Brand wzrusza ramionami.

– Już ci mówiłem. W porządku. Nie obchodzi mnie, co twój ojciec myśli o mnie. Brałem udział w walkach, Nora. Słowa nie ranią.

Uśmiecham się trochę i potrząsam głową wdzięczna za jego wyrozumiałość, nawet jeśli to nieprawda. Mój ojciec nie zasługuje na to, żeby oddychać tym samym powietrzem co Brand i mieć zaszczyt przebywać w jego obecności.

Wskazuję na ogrody przed nami, bujną zieleń i róże.

– Hobby mojej mamy – wyjaśniam. – Mamy ogrodnika, który jej pomaga, cudownego mężczyznę, który jest z nami od bardzo dawna. Ale mama sama zajmuje się różami. Przypuszczam, że to jej ucieczka.

Jej ucieczka od życia z moim ojcem.

Wzdrygam się. Nie mogę sobie wyobrazić, jak można być jego żoną.

Brand spogląda dookoła.

– Jest piękny. Jak ty.

Odwraca się do mnie, nasze spojrzenia spotykają się, a jego dłoń obejmuje moje plecy.

– Nie wiem, co się dzieje pomiędzy tobą i twoim ojcem – mówi cicho – ale jestem z tobą. Będzie w porządku.

Musiał zauważyć moje drżące dłonie. Świetnie.

Uśmiecham się, wkładając w to całą swoją odwagę. Żeby oszukać Branda. Żeby myślał, że jestem odważna.

Jestem odważna.

Jestem cholernie odważna.

– Jest okej – zapewniam go. – Kontroluję to.

Przytakuje.

– Wiem. Twoja mama nas woła. Chodźmy.

Wracamy do środka i siadamy na naszych miejscach. Ja siedzę na lewo od mojego ojca, a Nate na prawo. Mama jest po drugiej stronie stołu z Brandem.

Czuję się, jakby oddzielała nas ocean, i patrzę na niego bezradnie.

Wpatruje się we mnie wymownie.

Panujesz na tym.

Biorę wdech.

W zasadzie dobrze się czuję przez pierwsze dwadzieścia minut kolacji. Mama rozmawia z Brandem, mój ojciec skupia uwagę na Nacie, a ja zostaję sama i grzebię w talerzu, ale czuję się cholernie szczęśliwa. Tak długo, jak ojciec daje mi spokój, jestem szczęśliwa.

Dopóki William nie wchodzi do pokoju.

Czuję, że temperatura spada o dwadzieścia stopni i chłód przebiega mi po plecach. Przestaję żuć. Przestaję oddychać.

– Wybacz spóźnienie, Camille. – William przeprasza bez uśmiechu.

Na widok jego twarzy lodowata woda pulsuje mi w żyłach.

To dziwne. Znam go całe życie i podczas gdy sprawiał, że czułam się niezręcznie, gdy byłam nastolatką, to nigdy nie wiedziałam dlaczego. Nigdy nie wiedziałam, że powinnam się go bać... aż do tego roku.

– W porządku – mama odpowiada z widocznym niesmakiem.  
– Nie odpisałeś mi, więc założyłam, że nie przyjdiesz. Nakryję ci do stołu.

Podnosi się z wdziękiem, a William obchodzi stół i zbliża się do mojego miejsca.

– Usiądę obok Nory – oznajmia.

Moja skóra cierpnie, gdy schyla się i całuje mnie w policzek.

Nie dotykaj mnie, ty obrzydliwy pojebie.

Chcę to spalić. Chcę wybiec z pokoju prosto do kuchni, znaleźć jakieś zapałki i podpalić swoją twarz albo odcisk jego ust.

– Witaj, moja droga – mamrocze, siadając przy mnie. –



Ciężko się z tobą skontaktować.

Nieruchomieję, przymarzam do krzesła i chcę rzucić się do ucieczki. William kładzie rękę na moim oparciu, delikatnie dotykając palcami moich pleców. Tak jakby mnie posiadał. Jakby miał do tego prawo.

Z drugiej strony pokoju Brand obserwuje mnie jak jastrząb. Jego intensywne spojrzenie jest utkwione w moich oczach.

Wszystko w porządku?

Biorę oddech.

Tak. Kiwam głową, ledwo się poruszając.

Ale on nadal się na mnie patrzy, nieprzekonany, gotowy, żeby przyjść mi z pomocą.

Ma rację. Nie jest dobrze.

Ale muszę udawać, że jest.

Pozory są najważniejsze.

Nie przestaję jeść, ignorując ojca, Nate'a i Williama. Jem, udając, że to się nie dzieje, że nie siedzę przy jednym stole i nie oddycham tym samym powietrzem z mężczyzną, który zgwałcił mnie kilka miesięcy temu.

Mężczyzna, który mnie zgwałcił, a mój ojciec albo w to nie uwierzył, albo go to nie obchodziło.

Huczy mi w uszach.

– Nora? – Ojciec unosi brew. Zgaduję z jego tonu, że woła mnie już kolejny raz.

– Tak?

Moje policzki rumieniają się.

– William właśnie spytał, czy wybierzesz się z nim jutro pożeglować. Chciałby przedyskutować interesy w Chicago. Odpowiedz mu, proszę.

Patrzę na Williama, który ogląda mnie swoimi starzejącymi się oczami. Zmarszczki naokoło jego ust się zaciskają, gdy czeka na odpowiedź.

Wywraca mi żołądek.

Będę wymiotować.

Przełykam ciężko ślinę.

– Jesteś ekspertem w tej sprawie – mówię ostrożnie. – Nawet jeszcze oficjalnie nie zaczęłam pracy, Williamie. Powinieneś omówić to z moim ojcem.

Ojciec rzuca spojrzeniem sztylety, ale ignoruję go i sącę wodę.

Potrafię to zrobić.

Brand nadal na mnie patrzy, nadal czeka, żeby przyjść mi z pomocą. Ale nie może. Bo to sprawa rodzinna. Nikt nie może nic zrobić.

– Wolałbym omówić to z tobą – mówi William, biorąc łyka whisky. – Jesteś bardziej ugodowa niż twój ojciec. Ale jeśli nie możesz jutro, to pomyślimy nad innym dniem.

Spoglądam w jego oczy. Są lodowate i niebezpieczne. Udaje wyrozumiałego, ale tylko na chwilę. Kiedy zostanę z nim sama... kiedy zostanę z nim sama... sama.

Nie mogę oddychać.

Jestem zmrożona.

Mama przychodzi mi z pomocą.

– Nora, jeśli skończyłaś, to czy możesz pójść ze mną do pokoju? Za miesiąc jadę na wycieczkę do Francji i chciałabym, żebyś coś zobaczyła.

Przytakuję wdzięczna.

Tak.

Dziękuję ci, Boże.

William wstaje ze mną i ściska moją rękę, gdy wychodzę, wbijając kciuka w moją dłoń. Mocno. To ostrzeżenie.

Nie próbuj ode mnie uciec.

Wdzięczna podążam za mamą korytarzem. Czuję spojrzenie Williama. Nie odwracam się, ale wchodzę do łazienki i szoruję rękę w miejscu, gdzie jej dotknął. Potem idę do pokoju mojej mamy.

Po cichu modlę się, żeby Brand wytrzymał w jadalni pełnej piranii.

Mama przynosi kilka rzeczy z szafy i patrzy na moją twarz.

– Wszystko w porządku?

Przytakuje.

– Oczywiście. Dlaczego pytasz?

Bo ona nie wie. Bo nigdy jej nie powiem. To jest zbyt okropne. Zbyt upokarzające. Nikt nie może się nigdy dowiedzieć.

– Masz zamiar powiedzieć mi, co się stało? Bo wiem, że coś jest nie w porządku.

Przyklejam sobie uśmiech.

– Wszystko jest okej. William to po prostu... William.

Mama kiwa głową, nieprzekonana.

– Jest trudny – przytakuje. – Zawsze był. On... cóż, podkochiwał się we mnie, gdy spotykałam się z twoim ojcem. Gdy pierwszy raz przyjechałam z Francji.

Patrzę na nią w szoku.

– Podkochiwał? Jak ktoś może się podkochiwać?

Mama uśmiecha się wąsko.

– Był we mnie zakochany. Czynił pewne niechciane awanse, ale go otrąciłam. Widzisz, nadal kochałam twojego ojca.

Jej słowa tak wiele mówią. Była zakochana w ojcu wtedy, nie tak jak teraz.

– Jeśli kiedykolwiek cię skrzywdzi, to musisz mi powiedzieć – instruuje mnie łagodnie. – Nie idź z tym do ojca. Przyjdź do mnie.

Patrzy na mnie stalowym, zdeterminowanym wzrokiem. Takiego wyrazu twarzy jeszcze nigdy u niej nie wiedziałam. Wpatruję się w jej oczy jak zahipnotyzowana.

– I co byś zrobiła? – pytam łagodnie, nie mogąc się powstrzymać.

– Zrobiłabym to, co każda matka – mówi stanowczo. – Zajęłabym się tym.

Jej słowa wzbudzają dreszcze w moim sercu, bo wiem, że naprawdę ma to na myśli, co jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, żeby jej nigdy o tym nie mówić. Nie mogę pozwolić, żeby zrobiła coś niedorzecznego i wpakowała się w kłopoty z mojego powodu.

Potrząsam głową, pomimo że desperacko chciałabym wylać

na nią całe swoje nieszczęście.

– Nie, jest w porządku – zapewniam ją, a każde moje słowo to kłamstwo. – Nie skrzywdził mnie.

Kłamstwa.

Mama podchodzi do szafki i wyciąga kilka nowych ubrań.

– Jadę do Francji za jakiś miesiąc, kochanie. Chciałabyś pojechać ze mną? Możesz się stąd trochę wyrwać. Zrobić sobie przerwę.

Czeka na odpowiedź z nadzieją. Ale jedyne, o czym myślę, to Brand. Zostały nam tylko dwa miesiące. Nie mogę ich stracić, wyjeżdżając do Francji, mimo że bardzo chciałabym stąd uciec. Właściwie to na zawsze.

Potrząsam głową.

– Innym razem, *maman* – mówię jej. – Ale nie mogę teraz wyjechać.

Bada moją twarz.

– Rozumiem – mówi łagodnie. – Nie zostawisz Branda Killiena. Nie winię cię.

Kładzie ubrania na łóżku i pociąga mnie, żebym na nie spojrzała.

– Dużo można powiedzieć o sile i honorze – mówi mi stanowczo, odwracając mnie, żeby spojrzeć w moją twarz. Odsuwa pasemko włosów. – Pieniądze to nie wszystko. W zasadzie im bardziej się starzeję, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że pieniądze są niczym.

Potrząsam głową i wskazuję na różowy kostium.

– Ten. I o czym ty mówisz?

Uśmiecha się, bo wie bardzo dobrze, że wiem, o co chodzi.

– Jeśli kogoś kochasz, to nie pozwól pieniądzom ani ich brakowi stanąć ci na drodze. Bycie dobrym człowiekiem jest o wiele cenniejsze.

O tak. Wiem, że tak. I dlatego nie mogę być naprawdę z Brandem. Jest o wiele za dobry dla mnie.

Ale uśmiecham się.

– Wiem, *maman*. Ale dlaczego mi o tym mówisz? Twoje

życie przecież dobrze się ułożyło, prawda? – Postanowiłam, że będę zachowywać się obłudnie, tak jak oni, bo udawałam, że wierzę w te kłamstwa przez ostatnie dziesięć lat.

Odwraca wzrok i po raz pierwszy nie uśmiecha się ani nie rozpowiada o moim ojcu.

– Rzeczy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają, skarbie – mówi po prostu.

Jej okropnie smutny głos zdumiewa mnie.

– Wszystko z porządku? – pytam szybko.

Uśmiecha się.

– Oczywiście. Będzie dobrze. – Patrzy ponownie na ubrania.  
– Więc uważasz, że lepszy różowy niż koralowy? – Zmienia temat, a ja pozwalam jej na to.

Bo nie wszystko jest zawsze takie, na jakie wygląda, a ona nie chce o tym rozmawiać.

Więc z całą pewnością rozumiem potrzebę udawania.

Uśmiecham się.

– Różowy. Dopełnia twoje oczy.

I tak właśnie się zachowujemy, prawie zawsze. Zapomnij o problemach, są zawsze takie przyziemne. W ten sposób przetrwaliśmy.

## Rozdział 16

### BRAND

Maxwell podchodzi do mnie pięć minut po wyjściu Nory z mamą.

– Napij się szkockiej – instruuje mnie. To nie jest prośba.

Postanawiam go zadowolić. To, co ma do powiedzenia, może być interesujące.

Utykam, podchodząc do barku, przy którym nalewa whisky. Wychylam ją jednym łykiem, odstawiając szklankę z hukiem. Odwracam się w kierunku swojego siedzenia.

– Dziękuję za drinka.

Chwyta mnie za łokieć. Zatrzymuję się i patrzę wymownie na jego rękę, a potem w twarz.

Puszcza.

Jest dupkiem, ale nie jest głupi.

– Zostaw moją córkę w spokoju – mówi bez ogródek. –

Wiem, że spędzacie fajnie czas, bawiąc się w dom, ale ty nie jesteś tym, kogo ona potrzebuje. Po prostu wycofaj się z wdziękiem.

Odwracam się. Jego słowa sprawiają, że cały sztywnieję.

– Nie jestem tym, czego potrzebuje?

Maxwell potrząsa głową. Po swojej lewej stronie widzę Nate'a i Williama. Starają się udawać, że nie słuchają, ale wiem, że to robią.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, czego ona potrzebuje – mówi do mnie chłodno jej ojciec. – Nie możesz mieć. Jesteś z innego świata, Killien.

Prawie wybucham śmiechem.

– Byłem dokładnie tym, czego potrzebowała w ostatnim tygodniu, kiedy wyciągałem ją z ruin kawiarni. Wiesz, wtedy jak stałeś na zewnątrz i nie kiwnąłeś nawet palcem, żeby pomóc.

Zaciska szczękę, a na jego czole pojawia się pulsująca żyła.

– Ma dwadzieścia trzy lata. Nie wie, czego potrzebuje.

Przysłaniasz jej widzenie. Jeśli naprawdę by ci na niej zależało, to

zostawiłbyś ją i pozwolił jej się skupić na tym, co ważne.

Po raz kolejny o mało nie wybucham śmiechem.

– Ma dwadzieścia trzy lata. Jest na tyle dorosła, że wie, czego chce. Może to właśnie ty powinieneś ją zostawić w spokoju, żeby mogła podjąć decyzję.

Zaczynam znowu iść w kierunku krzesła, ale jego kolejne słowa sprawiają, że zatrzymuję się zmrożony.

– Ona należy do mnie, Killien. Nigdy nie pozwolę ci z nią być. Wiedz to już teraz.

Jego słowa są jak lód, a ja odwracam się, wirując, ale w tym momencie Nate wyskakuje z krzesła i spieszy, żeby złagodzić atmosferę.

– Przepraszam, Brand. Mój ojciec jest przytłoczony pracą... ma dużo stresu... Przepraszam. Proszę... Usiądź ze mną i opowiedz mi, jak to jest w Rangers. To musi być cholernie fascynujące.

Wpatruję się w twarz Maxwella Greene'a, w jego pozbawione emocji oczy i sztywne usta. Jest człowiekiem, który dba tylko o siebie. Natychmiast cofam moje wcześniejsze myśli, że stawianie siebie na pierwszym miejscu jest rozsądną rzeczą. Nigdy nie chcę być taki jak Maxwell Greene.

Przechodzę obok niego bez słowa, podążając za Nate'em z powrotem do stolika. William wstaje i dołącza do Maxwella, zostawiając nas samych.

– O co chodzi w tej rodzinie? – pytam bez ogródek. – Nie liczy się nic oprócz interesów?

Nate uśmiecha się pusto.

– Więc załapałeś, co?

Nate ma niebieskie oczy po matce, tak jak Nora. Ale zamiast rudych ma krótko ścięte blond włosy. Jest wysoki i szczupły, ale w przeciwieństwie do Nory wyczuwam w nim ambicje. Norę takie ambicje męczą. Jest przyzwyczajona, żeby starać się zadowalać ojca, ale nie cieszy się tym.

Nate nie tylko to akceptuje, ale także wydaje się odnosić w tym sukcesy.

Przytakuje.

– Tak, to całkiem widoczne.

Nate chichocze.

– Cóż, wtaczali nam to do głowy, odkąd byliśmy dziećmi.

Być Greene'em. Robić, co trzeba, i takie tam. Firma jest przekazywana z pokolenia na pokolenie od kilku setek lat. Nasza rodzina przybyła tu z Kolumbem, wiedziałeś? Mamy duże zobowiązania.

Spoglądam na Maxwella i Williama. Rozmawiają po cichu w ożywionej konwersacji. Prawdopodobnie dyskutują o fuzjach i kupnie i jak zjeść swoją konkurencję na śniadanie.

– Co twój ojciec miał na myśli, mówiąc, że Nora należy do niego? – pytam nagle. To było dziwne. Nate natychmiast wygląda niepewnie.

– Nie powinien tego mówić. Miał na myśli... że jest kontrakt. Oboje mamy taki. Kiedy skończymy studia, dostajemy pracę w Greene Corp w zamian za nasze opłaty i fundusze powiernicze. Nic wielkiego.

Nic wielkiego?

– Musieliście podpisać kontrakt, na coś, co przysługuje wam od urodzenia? – Nie mogę nawet pozbyć się szoku w głosie. Miałem rację. Maxwell jest tak samo popieprzony, jak mój ojciec, tak samo władczy.

Nate przytakuje skonsternowany.

– To nie było nic wielkiego. Szczególnie dlatego, że już kiedy byliśmy dziećmi, to wiedzieliśmy, że będziemy pracować dla Greene Corp. Po to się urodziliśmy.

Porzucam temat, bo jasne jest, że Nate nie dostrzega, że to chore.

W zamian podejmuję inny. Nate chętnie dzieli się informacjami, więc i teraz może będę miał na tyle szczęścia, żeby się czegoś dowiedzieć.

– O co chodzi z Williamem?

Nate spogląda na mnie.

– Co masz na myśli?



Kiwam głową w kierunku Williama i Maxwella.

– Wydaje się... bardzo przywiązany do Nory. I bardzo... sam nie wiem.

Nate chichocze.

– Tak, jest bardzo emocjonalny. Zawsze taki był. I odkąd pamiętam, Nora była jego ulubienicą. Nigdy się nie ożenił ani nie miał swoich dzieci.

Taa, sposób, w jaki William patrzył na Norę, nie był ojcowski. Ale nie wspominał o tym. Nate wydaje się nieświadomy tego, chociaż nie wiem dlaczego.

– Myślałem, że Greene Corp to rodzinny biznes – mówię nagle. – Jak to możliwe, że William gra tak ważną rolę?

Nate patrzy na mnie zaskoczony, chociaż nie irytuje go moje jawne węszenie.

– William należy do rodziny – odpowiada wolno. – Posiada połowę firmy, bo jest moim wujkiem. Bratem ojca.

Wydaje mi się, że świat przestał się obracać, gdy spoglądam na niego z powrotem w szoku i obrzydzeniu.

Wujek Nora?

Czuję nagłą potrzebę, żeby wyskoczyć z krzesła, znaleźć Norę, chwycić ją i zabrać z tego popieprzonego domu wariatów.

– Twój wujek?

Moje słowa są bez wyrazu, wymuszone, gdy staram się to pojąć.

Nora boi się swojego wujka. Jej wujek wysyła jej wiadomości z pogrózkami. I to spojrzenie, które widziałem w oczach Nory... Przeraza mnie wyobrażenie sobie tego, co mógł jej zrobić.

Ale wiem.

Wiem.

Nate przytakuje.

– Tak, nasz wujek.

Nora i Camille wracają właśnie w tej chwili. Nora natychmiast mnie znajduje, rozglądając się za mną po pokoju. Uśmiecham się do niej.

Wszystko w porządku. Nie martw się.  
Kiwa delikatnie głową i opuszcza ramiona, czując ulgę.  
Jest w domu pełnym rekinów i martwi się o mnie.  
Idzie prosto w moim kierunku, mijając wszystkich po drodze.  
Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Jestem wykończona – mówi do mnie. – Gotowy do wyjścia?

Natychmiast wstaję od stołu.

– Oczywiście.

Dziękuję Camille i wychodzimy.

Przez cały czas czuję między łopatkami spojrzenia Williama i Maxwella.

Przez cały czas kręci mi się w głowie.

Jej wujek.

Jej pieprzony wujek.

Gdy skręcamy za rogiem, spoglądam jeszcze raz na jadalnię i widzę, jak William patrzy na Norę, gdy wychodzimy. Patrzy urzeczony i jest skoncentrowany tylko na niej.

Wykręca mi żołądek.

– Czegoś zapomniałem – mówię do Nory. – Idź. Zaraz będę.

Spogląda na mnie zmieszana, ale nie mówię już nic więcej.

Wracam do jadalni, usilnie starając się nie utykać.

Podchodzą prosto do barku, gdzie William ponownie napełnia szklankę.

Patrzy na mnie zaskoczony, a ja pochylam się i mówię mu do ucha, tak żeby tylko on słyszał:

– Jeśli dotkniesz Norę jeszcze raz, to zmiażdżę ci palce, wyłamię je i nakarmię cię nimi. Rozumiesz?

William odrzuca głowę i wpatruje się we mnie. Jego szerokie oczy przepełnia wina.

– Nie wiem, co ci powiedziała – odpowiada szybko – ale kłamie.

Potrząsam głową powoli i patrzę w jego wyblakłe oczy.

– Nic mi nie powiedziała. Ty to właśnie zrobiłeś.

Zaciska rękę na brzegu barku, więc opieram swoją pięść na

niej, miażdżąc ją pod moim ciężarem. Oprócz naszej dwójki nikt w pokoju tego nie widzi.

– Jak już mówiłem – warczę łagodnie – dotknij ją jeszcze raz, a nie zostanie ci żadna ręka, żebyś mógł dotykać kogokolwiek. I to będzie ostatnie z twoich zmartwień.

Zabieram pięść z jego ręki, a on patrzy na mnie gniewnie.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, co właśnie zrobiłeś – wystrzela. – Mam władzę i mogę stać się twoim najgorszym wrogiem.

Uśmiecham się powoli.

– Użyj jej.

Wychodzę w jadalni, uważając, żeby nie kuleć. Ostatnią rzeczą, jaką widzę, zanim skręcę za róg, jest zadowolony wyraz oczu Camille.

Nora czeka na mnie przy samochodzie. Tam gdzie powietrze pachnie jak jezioro, a nocna bryza mierzwi jej włosy.

– Czego zapomniałeś?

Wzruszam ramionami.

Zagrozić twojemu wujkowi.

– Nic ważnego. Gotowa wracać do domu?

Dom.

Tam gdzie żyjemy razem.

Na razie.

Jej oczy rozszerzają się na to słowo. Natychmiast kiwa głową. Bez pytania.

– Tak.

Prowadzi auto, a noc zamazuje wszystko za oknami. Żadne z nas nie mówi o jej wujku.

Cisza między nami jest wszechogarniająca, ale nie kłopotliwa.

W końcu patrzę na nią.

– W porządku?

Uśmiecha się. Mały, drobniutki ruch.

– Tak, a u ciebie?

– Oczywiście.

Uśmiecha się szerzej i wjeżdża na podjazd.

– Pójdę po twoje kule. Nie miałeś ich całą noc. Twoje kolano pewnie strasznie boli.

Potrząsam głową.

– W porządku. Mogę chodzić.

Utykam, ale wchodzę do domu bez pomocy. Nie jestem mięczakiem, do cholery. Chociaż nie mogę zaprzeczyć, że ból promieniuje z kolana do kostki.

Pieprzyć to.

Nora zrzuca ubrania, gdy tylko wchodzi do środka. Najpierw buty, potem sukienka, biustonosz i na końcu majtki. Gdy stoi przede mną zupełnie naga, uśmiecha się. To jej pierwszy prawdziwy uśmiech tego wieczora.

– Gotowy do łóżka?

Uśmiecham się.

– Zawsze.

Razem wtaczamy się do łóżka. Nora napiera swoim ciałem na moje, wiotka, ciepła i miękka. Przesuwa palcami w dół mojej piersi, na biodra i łapie moje jądra.

Obejmuję jej dłoń palcami.

– Nie dzisiaj, kochanie.

Bo musisz wiedzieć, że jest coś więcej niż tylko pieprzenie.

Słyszę, jak nagle bierze oddech.

– Co?

– Nie dzisiaj. Chcę po prostu poleżeć tu z tobą. Odpowiada ci to?

Przyciągam ją bliżej, aż jej biodra wciskają się w moje, a nasze nogi plączą się.

– Chyba tak – mówi zawiedzionym tonem. – Ale liczyłam na coś więcej.

Głaszczę mojego kutasa.

Zdradliwy drań budzi się do życia, ale ignoruję go.

Opanowanie. Opanowanie. Opanowanie.

– Nie dzisiaj – przypominam jej. – Nie zawsze musimy to robić.

Bo jest czymś więcej niż tylko seksem. Cokolwiek jej się stało... Mam wrażenie, że zniekształciło to sposób, w jaki siebie postrzega.

Mruży oczy przez noc.

– Wiem, że nie musimy – przemawia w końcu. – Po prostu to lubię. Z tobą.

Po tym wyjaśnieniu kładzie głowę na mojej piersi i pozostaje cicho przez kilka minut, aż odzywa się słabym głosem.

– Dziękuję, że poszedłeś tam dzisiaj ze mną.

– Nie ma za co.

Owijam ramiona dookoła jej i przytrzymuję, dopóki nie zaśnie.

## Rozdział 17

NORA

On mnie nie chce.

Przełykam ciężko ślinę, próbując się nie poruszyć, bo Brand myśli, że śpię.

Nie powinnam zabierać go ze sobą na kolację, bo teraz wie, jaka jestem. Nie wiem skąd, ale on wie. Widziałam to wcześniej w jego oczach, a teraz on mnie nie chce.

Przyciskam usta pięścią, żeby powstrzymać dźwięki, które chcą się z nich wydobyć.

Chcę wyjść na zewnątrz i krzyczeć do księżyca, ale nie mogę.

Jestem splamiona.

Jestem zużyta.

Jestem nic niewarta.

On wie.

On wie.

On wie.

Przypadkowo z moich ust dochodzi jęk. Brand przewraca się w łóżku, a jego ciężkie ramię spoczywa na mojej talii.

Muszę stąd wyjść. Ściany są coraz bliżej siebie. Muszę się poruszyć.

Po cichu staram się wysunąć z łóżka, ale ramię Branda zaciska się, przyciągając mnie bliżej. Nawet jeśli wie, to nadal jest tutaj. Nadal chce dzielić ze mną łóżko. Nadal chce mnie dotykać.

Więc teraz moja ciekawość jest jeszcze większa. Co dokładnie on wie?

Czekam, robiąc głęboki i spokojny wdech i wydech. Po kilku minutach próbuję poruszyć się znowu. Tym razem udaje mi się wysunąć z łóżka.

Gdy dochodzę do drzwi, chwytam koszulę Branda i zakładam ją zamiast sukienki. Rękawy zwisają, więc podwijam je. Biorę butelkę wina i otwieram ją w kuchni.

Nie zawracam sobie głowy kieliszkiem. Po prostu wychodzę z butelką na zewnątrz, gdy mój telefon wibruje na ladzie.

Ogarnia mnie przerażenie. Natychmiastowe i całkowite.

Który to z nich? Ojciec czy William?

Zmuszam się, żeby zerknąć. Widzę imię Williama.

„Spieprzyłaś. Tak samo jak twój chłopak”.

Zdumiona wpatruję się w słowa. „Tak jak twój chłopak”.

Co takiego zrobił Brand?

Chwytam telefon i butelkę wina. Wychodzę na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Idę na plażę i opadam na piasek. Nie przejmuję się, że nie mam bielizny i piasek może dostać się wszędzie.

To nieważne.

Nic nie jest ważne.

Słowa w telefonie są tak silne, że zaraz wypalą mi dłoń, więc rzucam pieprzoną komórkę i pociągam wina. Prosto z butelki. Mama byłaby ze mnie taka dumna.

Biorę kolejny łyk.

I następnego.

Później, gdy odwaga zaczyna krążyć w moich żyłach, podnoszę telefon z powrotem.

„Co masz na myśli?”.

Nie zdążam nawet odłożyć telefonu, gdy dostaję odpowiedź.

„Powinnaś wiedzieć, żeby ze mną nie zadzierać”.

Chłód przebiega mi po plecach. Nie zadzieram z nim. Wiem to lepiej.

Nie mogę oddychać.

On grozi Brandowi.

Wpatruję się w słowa raz jeszcze. Zlewają się, a ja nie mogę oddychać.

Więc piję, bo nie wiem, co innego mogę robić. Nie wiem, co William ma zamiar zrobić, dopóki tego nie zrobi, więc mogę jedynie czekać.

Czekam na najgorsze, które musi nadejść.

Siedzę na piasku w koszuli Branda, wachając jego zapach na

mojej skórze i popijając wino. Wpatruję się w gwiazdy.

Chwilę później, gdy butelka jest już prawie pusta, mój nos drętwieje, a czubki palców robią się zimne.

Biorę ostatni łyk i rzucam butelkę obok.

Nie wiem, kiedy zasypiam.

Wiem tylko, że wspaniale jest czuć piasek na policzku.



## Rozdział 18

### BRAND

Budzę się w środku nocy sam. Znalezienie Nory nie zajmuje mi dużo czasu.

Nie zamknęła drzwi wejściowych. Jej samochód jest nadal na podjeździe, więc idę na plażę.

To tam znajduję ją nieprzytomną na piasku. Ma na sobie moją koszulę od garnituru, a pusta butelka po winie leży nieopodal jej w brudzie.

Miała ciężką noc.

Oczywiście.

Ignoruję bóle w nodze i schylam się. Obejmuję ją i niosę do domu. Każdy krok z dodatkowym ciężarem jest jak tortura, ale nie ma mowy, żebym zostawił ją na zewnątrz.

Przytula się do mojej piersi i zauważam, że jedna strona jej policzka jest pokryta piaskiem. Tak samo jak jej ręce i nogi.

Wzdychając, niosę ją do łazienki. Schylam się i kładę ją w wannie. Zabieram słuchawkę prysznicową, zanim odkręcę wodę. Czekam, aż zrobi się ciepła, i wtedy przekładam słuchawkę z umywalki z powrotem do wanny i obmywam Norze nogi, stopy, ramiona.

Nie porusza się, dopóki nie zacznę wycierać jej twarzy myjką.

Budzi się nagle, zdziwiona, odruchowo podnosząc ręce do twarzy w geście obronnym.

– Nie! – protestuje dziko. Jej oczy błyszczą, patrząc we mnie uderzająco. Zaciska dłonie w pięści. Ciosy spadają na moją pierś.

– To ja. – Chwytam jej ręce, powstrzymując ją. – Ciiii. W porządku. To tylko ja.

Rzuca się jeszcze przez moment, zanim jej oczy zauważają, kim jestem, i wyszeptuje moje imię.

– Brand.

Nie pyta, dlaczego jest naga w wannie ani dlaczego ją kąpię.

Właściwie to nic nie mówi. Po prostu daje mi zmyć z siebie brud.

Kiedy kończę, proszę ją, żeby wstała, a ona robi to posłusznie.

Wycieram ją ręcznikiem. Jest tak pijana, że ledwo unosi się na krawędzi świadomości. Wiem, że gdy tylko znajdzie się w łóżku, to znowu zaśnie jak nieprzytomna.

Gdy wstaje, nadal ma zamknięte oczy.

Ale gdy zabieram ręcznik, otwiera je.

– Dlaczego mnie nie chcesz, Brand?

Odsuwam od niej rękę zaskoczony.

– Co?

Jej oczy są opuchnięte, a głos delikatny i niewyraźny.

– Nie chcesz mnie już. Chociaż nie wiem, czy kiedykolwiek chciałeś.

Podnosi ramiona, a ja pomagam jej wyjść z wanny. Chwieje się, a potem przywiera do mnie, żeby złapać równowagę.

– To dlatego, że jestem zużyta?

Moje wnętrzności zaciskają się na bezbronny dźwięk jej głosu, na jej słowa, na delikatny i smutny wyraz jej oczu. Chociaż jest pijana, a może właśnie dlatego, że jest pijana, można czytać z niej jak z otwartej księgi.

– Nie jesteś zużyta – mówię jej stanowczo, gdy podnoszę ją z powrotem w swoje ramiona. Moje kolano protestuje, ale ignoruję je, gdy idę z nią, utykając, do sypialni. – Nie jesteś zużyta.

Kładzie głowę na mnie, a ręce zawiesza mi na szyi.

– Jestem – szepcze. – Ale nigdy tego nie chciałam.

Nawet nie próbuję założyć jej koszuli nocnej. Zanoszę ją do łóżka nagą. Kładę ją w pościeli i siadam na brzegu łóżka, odciążając moje pulsujące kolano.

Myślałem, że od razu uśnie, ale znowu otwiera oczy.

– Zostaniesz ze mną?

Przytakuję.

– Oczywiście.

Trzepocze powiekami i zamyka je, a jej rzęsy są jak czarna grzywka na białych policzkach.

Jest taka bezbronna, taka delikatna i krucha. Nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś ją skrzywdził. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł odrzucić ją z powodu rzeczy, na które nie miała wpływu.

– Chcę cię – wyszeptuję do niej, trzymając jej rękę w swoich.  
– Naprawdę.

Ale ona już śpi. Nieprzytomna i nieświadoma ohydztwa i problemów tego świata. Jej oddech jest lekki i jednostajny.

Wiem, że nie będę mógł już zasnąć.

Więc biorę laptopa i siadam na krześle przy oknie.  
Obiecałem jej, że zostanę. I tak będzie.

Wpisuję imię w wyszukiwarkę i czytam niezliczoną liczbę artykułów, które się pojawiają.

William Shepard Greene II.

Najstarszy syna Williama Shepada Greene'a I, starszy brat Maxwella. Dostał w spadku połowę fortuny Greene'ów, gdy ich ojciec odszedł. Jest wysoko ceniony w świecie biznesu. Znany ze swojego niezawodnego instynktu i twardych układów.

Jest starszy od Maxwella o dziesięć lat.

Sama myśl o jego łapach dotykających Norę wywraca mój żołądek. Spoglądam na nią jeszcze raz. Śpi łagodnie, zwinięta na boku z rękoma przy twarzy. Wzdycha przez sen, a ja czuję ponowny ucisk.

Jak śmiał ją dotknąć?

Dlaczego nikt tego nie powstrzymał?

Ale już znam odpowiedź. W rodzinie Greene'ów najważniejsze są interesy. Widziałem to wieczorem na własne oczy. A Camille... Nie obchodzi jej firma, ale czuje się bezsilna, żeby powstrzymać to, co dzieje się w tym domu. Maxwell jest potęgą tej rodziny, a wszyscy inni to jego pionki.

Pieprzeni bogacze.

Przewracając oczami, odkładam laptop i wsuwam się z powrotem do łóżka. Ostrożnie, żeby nie zbudzić Nory. Przyciągam ją w ramiona. Leży rozciągnięta wygodnie na mojej piersi.

Tu, w nocy, w tej sypialni nie ma nikogo poza mną i nią.

I chcę, żeby tak zostało, mimo że sama ta myśl cholernie mnie przeraża.

Nie mogę się znowu narażać na cierpienie. Walczyłem już na krwawych terenach Afganistanu, ale nie ma nic bardziej przerażającego niż otworzenie się przed drugą osobą tylko po to, żeby zostać zdruzgotanym.

Już przez to przechodziłem i nie chcę robić tego znowu.

Przesuwam rękoma po idealnym tyłku Nory z jękiem.

Całe moje ciało reaguje na ten ruch. Serce zaczyna walić, kutas drga i czuję skurcze w kroku.

W jakiś sposób zgaduję, że nie będę miał wyboru.

Skończę zaangażowany w to, co jest teraz między nami.

Mam tylko nadzieję, że coś ze mnie jeszcze zostanie, gdy to wszystko minie.

Budzę się rano. Czuję, że ktoś wpatruje się we mnie.

Otwieram oczy i widzę Norę wspartą na łokciach. Jej włosy łaskoczą mnie w buzię.

– Dzień dobry – mówi łagodnie. Jej usta są pełne i bujne. I nagle chcę je pocałować.

Więc całuję.

Odwzajemnia mi się pocałunkiem. Łagodnym, a potem mocniejszym, po czym się odsuwa.

– Och, myślałam, że byłam w nocy na plaży – mruczy, spoglądając za okno. Jej policzki są zarumienione.

Przytakuję.

– Tak, byłaś. Ale przyniosłem cię do domu, umyłem i położyłem spać. Następnym razem jak będziesz chciała wypić butelkę wina, zrób to po prostu na kanapie.

Żartuję, ale ona rumieni się jeszcze bardziej. Czerwień dosięga jej dekoltu.

– Przepraszam – mówi do mnie. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przepraszam.

– Nie przepraszaj – odpowiadam szybko. – W porządku. Miałaś ciężką noc.

Przetacza się na mnie. Ujmuje moją twarz w dłonie i siedzi

na mnie okrakiem.

– Nic nie pamiętam, ale jeśli mówiłam coś żenującego, to zapomnij o tym, proszę. – Błaga uroczo, a jej włosy spływają falami na moją twarz. – Odwdzięczę ci się za twoją fatygę.

Zaczyna poruszać biodrami, przyciskając je do mojego krocza, które oczywiście reaguje. Mój kutas natychmiast budzi się do życia, wciskając się w nią, a ona uśmiecha się z zadowoleniem.

– Może jednak mnie chcesz – mówi z chrypką.

– O tak – przytakuję, przypominając sobie jej żałosne pytanie w nocy. „Dlaczego mnie nie chcesz?”

Wpatruję się w jej piękną twarz i widzę w jej oczach wszystkie pytania, niepewności i zwątpienia. Robię jedyną rzecz, jaką jestem w stanie. Jedyną, która może pomóc.

Pokazuję jej, jak bardzo jej pragnę.

Nie jesteś zużyta.

Moje biodra napinają się.

Jesteś piękna.

## Rozdział 19

### BRAND

Wszystkie dni mijają tak samo.

Rozmawiamy na ganku, siedzimy na moło, leżymy razem w hamaku nocami i oglądamy gwiazdy.

Każdego dnia myślę, że Nora mi się zwierzy.

Każdego dnia myślę, że zaufa mi na tyle, żeby powiedzieć, co zrobił jej William. Gdzieś w głębi wiem, co to było. Ale nie mogę być pewny, dopóki sama mi nie powie.

Ale nic nie mówi.

Codziennie przytulam ją mocno, aż zaśnie.

Codziennie staram się przygotować na rozstanie. Żeby nie dać się w to dalej wciągać.

Codziennie staram się nie ufać uczuciom, które narastają, przywiązaniu, czułości i więzom, które się tworzą.

Ale codziennie zdaję sobie sprawę, że ponoszę porażkę.

### NORA

Patrzę, jak Brand śpi na kanapie z książką na piersi. Zasnął godzinę temu i przez ten cały czas nie spuszczałam z niego wzroku.

Kiedy śpi, jest taki spokojny, a jego twarz odkrywa całe dobro.

Mogłabym patrzeć na niego dniami i nocami.

Ale słyszę powtarzający się dźwięk telefonu, który mnie rozprasza, napełniając serce przerażeniem.

Wiem... Wiem... że właśnie dzieje się najgorsze.

Te minione dni były zbyt dobre, zbyt przyjemne, zbyt idealne.

Podchodzę do telefonu. Mimo że wygląda na zupełnie nieszkodliwy, gdy tak leży na ladzie kuchennej, to równie dobrze może być trucizną, bo gdy go podnoszę i czytam wiadomość od Williama, to czuję, jak jad zaczyna krążyć w moich żyłach,

pulsując w sercu.

„Chcę się z tobą zobaczyć. Niedziela w sali konferencyjnej w Greene Corp. Tylko ty i ja. O 14.00. Lepiej tam bądź. Nie chcesz wiedzieć, co się stanie, jeśli nie przyjdiesz. Masz wskazówkę: to dotyczy twojego chłopaka”.

Wiedziałam, że groził Brandowi tamtej nocy w SMS-ie. „Ty i twój chłopak spieprzyliście”.

Wiedziałam o tym. I codziennie czekałam z zapartym tchem na to, co zrobi.

I oto jest.

Zostałam wezwana.

W końcu wiem.

Spoglądam na Branda i dosłownie muszę powstrzymać się, żeby nie zadrzeć nad tym, co zrobiłam. Moją obecnością tu ryzykowałam jego bezpieczeństwo. Codziennie chciałam mu o tym powiedzieć, ale nigdy mi się nie udało.

Każdego dnia stawał się dla mnie coraz miłszy, sprawiając, że nie mogłam tego zrujnować.

Nie chcę, żeby ta fałszywa, mała bańka, którą tu rozdmuchaliśmy, pękła... Nawet jeśli nigdy nie była prawdziwa.

Powinłam powiedzieć Brandowi na samym początku, że jestem zamknięta w bańce. Kryształowej bańce od Swarovskiego. I że spadnę na podłogę i rozbiję się, gdy tylko mój ojciec i wujek będą tego chcieli.

Ale nie powiedziałam.

Ponieważ jestem zbyt samolubna.

Ale zegar tyka... sekundy, godziny, dni.

I nadszedł czas.

Dzieje się najgorsze.

## Rozdział 20

NORA

Nie mogę pozwolić mu odejść.

Patrzę na niego, jak siedzi na plaży, wpatrując się w pieprzoną boję, która go dręczy.

Wiem, że powinnam. Wiem, że powinnam odciąć sznurki właśnie teraz i odejść, ale nie jestem wystarczająco silna. Potrzebuję go.

Potrzebuję go.

Coś się w nim zmieniło, coś ważnego, ale nie wiem co. Wyraz jego twarzy łagodnieje za każdym razem, gdy patrzy na mnie, i czuję zmianę, kiedy przytula mnie w nocy. Jest czuły, a jego dotyk jest tak łagodny. Uderzający kontrast z jego twardym ciałem.

Jest wytrenowanym zabójcą Rangers. Jest w stanie zrobić tyle niebezpiecznych rzeczy, ale kiedy jest ze mną, jego dotyk jest lekki jak piórko. Ostrożny.

Tak jakbym mogła się stłuc. Jakby przeczuwał, że jestem z kryształu. Jakby chciał chronić mnie przed roztrzaskaniem się.

Na tę myśl zalewa mnie ciepło.

W jakiś sposób otworzył się przede mną. Pragnie mnie. I mimo że myślałam, że nie będę w stanie sprawić, żeby się przede mną otworzył, bo mógłby się bać, że go splamię i zabiorę od niego dobro, nadal pozostał Brandem.

Śpi ze mną co noc i nadal jest tak samo dobry.

Czy możliwe jest, żebym mogła być z nim i nie zszargać go?

Czy te nadzieje to tylko moje rojenia?

Będą oczywiście komplikacje, ale one zawsze pojawiają się w życiu. On widzi mnie taką, jaką jestem. I nie zadaje pytań. Po prostu mnie widzi.

Moje serce płonie na samą myśl o tym szczęściu.

Tak bardzo, że chcę coś dla niego zrobić.

Teraz.



Zanim zacznie się najgorsze i świat się załamie.  
Dopóki jestem nadal silna.  
Zanim rozbiję się na podłodze przed nim na milion  
kawałków.

Podnoszę się i maszeruję na zewnątrz, prosto w kierunku  
Branda.

– Zadzwoń po tego prawnika – mówię mu. – Zajmiemy się  
tym dzisiaj.

Brand patrzy na mnie zaskoczony, z długimi nogami  
wyciągniętymi przed siebie.

– Co masz na myśli? Zajmiemy się czym?

Kładę ręce na biodrach.

– Wiem, że powiedziałam ci, żebyś poradził sobie z  
testamentem ojca tak, jak będziesz tego chciał. I miałam to na  
myśli. Ale znam cię, Brand. Nie wycofujesz się z niczego. Nigdy.  
Zadzwoń dzwonkiem, Brand. I nie dla niego... zadzwoń dla siebie.  
Zadzwoń tak, żebyś mógł pozbyć się tej całej ohydy, tak, żebyś od  
teraz, jeśli gdziekolwiek zobaczysz jezioro, ocean albo boję... nie  
myślał o tym. Popłynę z tobą. Zrobimy to razem. Ponieważ jestem  
z tobą, Brand. Jestem z tobą.

Spogląda na mnie oniemiały i zwyczajnie przytakuje.

– Okej.

Unoszę brew.

– Okej?

Kiwa głową.

– Tak, zrobmy to.

Wyciąga telefon, wybiera numer i czeka.

– Todd? Przyjdź na plażę. Płynę dziś rano.

Wsuwa telefon z powrotem do kieszeni i wstaje.

– Założysz strój kąpielowy czy masz zamiar uszczęśliwić  
dzisiaj Todda?

Przewracam oczami i idziemy do domu, żeby się przebrać.

– Wiesz, że nie musisz oddawać wszystkiego mamie –  
mówię do niego. – Możesz zrobić z tym, co chcesz. Musisz  
popłynąć dla siebie, Brand. Nie dla niej, nie dla niego ani dla mnie.

Potrzebujesz tego... żeby się od nich uwolnić.

Zatrzymuje się, obraca i przyciąga moją twarz, i całuje mnie tak zapalczywie, jak jeszcze nigdy dotąd nie byłam całowana.

Odchyła się i nie mówi ani słowa. Nie musi. Wszystko, co miał do powiedzenia, było w tym pocałunku.

Przebieramy się i wracamy z powrotem na plażę. Todd przybywa pięć minut później, trzymając w ręce dokument.

– To musi być z plaży za domem twoich rodziców – oznajmia bez wstępu. – To część zastrzeżenia.

– W porządku – mówi mu Brand i bez ani jednego słowa więcej idzie plażą. Już nawet prawie nie kuleje.

Podążam za nim i w niedługim czasie stajemy za domem dzieciństwa Branda. Boja majaczy na jeziorze, wielka i straszna. Przekrzywia się na falach. Wzdrygam się, kiedy pomyślę, że jego siostra tu umarła... I że jego ojciec bił go dokładnie w miejscu, w którym stoję.

Czuję, że ktoś się we mnie wpatruje, i gdy spoglądam przez ramię, widzę Bethany Killien stojącą przy oknie. Ogląda nas. Jej twarz jest surowa. Nie widzę w niej żadnej łagodności. Wzdrygam się i obracam.

Dzisiaj nie chodzi o nią.

Chwytam Branda za rękę.

– Zróbmy to.

Przytakuje.

A potem idzie prosto do wody, tak jakby nigdy się jej nie bał. Nurkuje pod jej powierzchnią celowo i na moment zapominam, że miałam płynąć z nim. Wszystko, co jestem w stanie zrobić, to patrzeć, z jaką siłą szybuje przez wodę, odpychając się silnymi ramionami, uderzenie za uderzeniem.

Jestem zahipnotyzowana przez moment. Aż przypominam sobie, że miałam być z nim. Więc podążam za nim i nurkuję w fali.

**BRAND**

Woda jest zimna. Oczywiście. Bo zawsze taka jest.  
Nieważne, czy w sierpniu, czy w październiku. Jezioro Michigan

jest zawsze lodowate.

Ale nie wzdrygam się ani nie waham. Rzucam się w nią  
płynę w kierunku pieprzonej boi.

Za każdym razem, kiedy jestem na powierzchni, robię wdech  
i zanurzam się z powrotem.

Woda jest czysta i zimna. I jest wszystkim, czego  
nienawidzę. Ale z każdym uderzeniem zdaję sobie sprawę, że to,  
czego nie cierpię, to nie woda, nie jezioro ani nawet nie ta  
pieprzona boja.

To mój ojciec.

Z każdym uderzeniem ściągam z siebie jego wspomnienie,  
dziesiątkując jego władzę nade mną.

On nie ma już nade mną kontroli. Nie jestem dzieckiem,  
którym byłem kiedyś.

Nora ma rację.

Nigdy już nie będzie mnie kontrolował.

Silnymi, równymi uderzeniami podpływam do boi,  
zaczerpując powietrze, a następnie eksploduję przez powierzchnię  
wody i chwytam boję. Przywieram do niej na sekundę, zanim  
potrząsam nią silnie, do przodu i do tyłu.

Dzwonek dzwoni wyraźnie w powietrzu. Słysząc go na  
plaży. Spoglądam w kierunku domu moich rodziców i widzę, że  
zasłony za oknami opadają. Matka stała tam, ale odeszła.

W porządku. Niczego od niej nie oczekiwałem.

Dzwonię dzwonkiem jeszcze raz. I jeszcze raz.

Dźwięk jest upiorny i przerażający. I jeśli skoncentruję się  
odpowiednio mocno, prawie widzę swoją siostrę, która stoi na  
plaży i macha do mnie.

Uśmiecham się na tę myśl, na wspomnienie o Alison.

Mimo że mój ojciec bił mnie, to nigdy nie mógł zabrać mi  
wspomnienia siostry. Kochałem ją, a ona mnie, a to nie była moja  
wina, że umarła.

Zadzwoń dzwonkiem, Brand.

Dzwonię jeszcze raz. Mocno i szybko.

Słuchaj, jak dzwoni, dupku.

Nora dopływa do mnie i rzuca się na mnie. Oboje przywieramy do boi. Jest wilgotna i podekscytowana. Owija ręce naokoło mojej szyi i całuje mnie mocno.

– Zrobiłeś to! – wykrzykuje. – Zrobiłeś to.

Wiem, że to było poza dyskusją. Miałem zamiar to zrobić. Nie jestem mięczakiem.

Ale całuję ją i nie mówię ani słowa.

– Wracajmy na brzeg – mówię jej w końcu, kiedy brakuje nam powietrza. – Nie cierpię tej pieprzonej boi.

Śmieje się. Płyniemy do brzegu. Gonię ją i chwytam za nogę. Ona się śmieje i zwija w wodzie. Teraz jestem wolny. Wolny od krępującej nienawiści, od goryczy i od tego wszystkiego.

Ale gdy dopływamy do brzegu, czeka na nas rzeczywistość.

Czeka Todd.

Czeka moja matka.

Wyszła z domu i stoi z dezaprobatą na brzegu razem z prawnikiem, patrząc, jak razem z Norą wygłupiamy się w wodzie.

– Cieszę się, że potraktowałeś to poważnie – mówi chłodno, spoglądając na nas pogardliwie.

Nora odchyła gwałtownie głowę i zanim mogę ją powstrzymać, podchodzi do mojej matki i mierzy ją wzrokiem.

– Nie masz prawa – wystrzela Nora, a każde słowo jest jak grudka lodu. – Nie masz prawa nawet tu być. Nie masz prawa nienawidzić Branda. Nie masz do niego żadnego prawa. Nie masz prawa. Straciłaś jakiegokolwiek prawo do niego wiele lat temu. Jeśli w ogóle da ci cokolwiek, to będzie to cud, bo nie zasługujesz na to.

Chwytam ją za łokieć i odciągam.

– Chodź – mówię jej stanowczo. – Nie jest tego warta.

– Czy twoja dziewczyna wie, że zabiłeś swoją siostrę? – woła za nami matka. Te słowa dźgają mnie w plecy i zatrzymuję się zmrożony w miejscu, zanim mogę się odwrócić.

– Wie o wszystkim.

Mówiąc te słowa, zaczynam znowu odchodzić, ale matka nie może się powstrzymać. Nie przestaje rzucać sztyletami.

– O wszystkim?

Znaczenie tego słowa jest jasne. Krystalicznie, kurwa, jasne. Wszystko. Przez wszystko ma oczywiście na myśli, że całe moje życie jest kłamstwem. To, kim jestem, kim się stałem... to kłamstwo. W jej oczach. Bo wierzy, że jestem potworem.

Zastygam.

W zupełnym bezruchu.

A Bethany Killien jest dla mnie tak obca jak nieznajomy.

Śmieje się.

– Nie sędzę.

Odwraca się na piętach i zaczyna z powrotem wchodzić do domu. Wzbiera we mnie gniew, czerwony i gorący, furia, której nie czułem od lat. Jest tak zażarta, że nic nie widzę, to wszystko, co w sobie dusiłem, cała złość, którą nosiłem przez tyle lat.

Eksploduje we mnie jak wulkan.

– Mamo? – To słowo jest dla mnie tak obce jak ona.

Zatrzymuje się i odwraca w połowie drogi. Nie odpowiada, ale patrzy na mnie.

– Idź, spakuj rzeczy. Masz pięć minut.

Teraz przemawia.

– Co?

– Słyszałaś mnie. Idź spakuj rzeczy.

Robi krok.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz. Idź. Spakuj. Rzeczy. Weź wszystko, co chcesz.

To ostatni raz, kiedy tu jesteś.

Matka patrzy na mnie niepewnie i po raz pierwszy widzę prawdziwe uczucie na jej twarzy. Strach.

Boi się uwierzyć, że mówię prawdę.

– Nie wyrzucisz mnie z mojego domu – mówi z wahaniem, szukając wzrokiem moich oczu. – Nie zrobiłbyś tego.

Muszę powstrzymać się od szyderczego uśmiešku.

– Nie zrobiłbym? A dlaczego? Co dokładnie dałaś mi w życiu oprócz bólu? Powiedz. Wymień jedną dobrą rzecz, którą od ciebie dostałem, a pozwolę ci zostać.

Matka wpatruje się we mnie, odwraca wzrok na jezioro,

unoszą podbródek i patrzy z powrotem na mnie.

– Wydałam cię na świat.

Potrząsam głową.

– Zła odpowiedź. Wydałaś mnie na świat, to prawda. Ale nie prosiłem cię o to. A kiedy już się urodziłem, to nie zrobiłaś dla mnie nic. Było źle, zanim umarła Alison, a potem zrobiło się nie do zniesienia. Nie tylko pozwalałaś ojcu lać mnie za każdym razem, gdy wracał pijany z baru, ale starałaś się sprawić, żeby bezbronne dziecko uwierzyło, że zabiło swoją siostrę. To ty jesteś pieprzonym potworem, a nie ja.

Oczy mojej matki robią się lodowate i patrzy na mnie gniewnie.

– To ty zabiłaś swoją siostrę. Słyszałaś ją, Brand. Wiem, że ją słyszałaś i pozwoliłaś jej wejść do jeziora. Mogłaś ją zatrzymać, ale nie zrobiłaś tego.

Ogarnia mnie złowieszczy spokój i po raz pierwszy nie czuję gniewu, gdy na nią patrzę.

– Miałem sześć lat. Spałem na górze. Rozumiem, że kiedy zdarzają się złe rzeczy, ludzie w żałobie obwiniają innych. To ludzka natura. Ale skupianie swojego smutku i gniewu na sześciolatkiem... jest niewybaczalne.

Oczy mojej mamy wilgotnieją i odwraca wzrok.

– Moja córka umarła, Brand. Mogłaś ją ocalić... gdybyś tylko jej słuchała. Miałeś się nią opiekować. Była twoją młodszą siostrą.

Jej głos słabnie i ociera oczy.

Jej pokaz smutku nie sprawia, że mięknię chociaż w najdrobniejszej części.

– Miałem sześć lat – opowiadam. – To ty miałaś jej pilnować. Ojciec zapomniał zamknąć zamek, a nie ja. Jeśli powinnaś winić kogoś przez te wszystkie lata, to właśnie jego. Jeśli naprawdę jesteś zbyt ograniczona, żeby zdać sobie sprawę, że wypadki się zdarzają. I czasami nikt nie jest winny. Idź do środka spakować rzeczy.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem i widzę to w jej oczach...

myślała, że jej pokaz łez mnie ułagodzi. Próbowwała tylko pociągać za sznurki... jeszcze raz. Dokładnie jak wtedy, gdy byłem dzieckiem i starała się mnie przekonać, że jestem potworem, że zabiłem swoją siostrę i że mój ojciec słusznie mnie bił.

Gdy patrzę na nią, czuję jak zmraża mi krew. Wszystko, co czuję, to zniesmaczenie. Do własnej matki. A co gorsze, widzę dokładnie te same emocje w jej oczach, gdy odwzajemnia moje spojrzenie.

To jasne, że mnie nienawidzi.

– Idź – powtarzam. Mój głos jest jak lód.

Odwraca się i odchodzi. Patrzę, jak znika w domu, patrzę, jak stare drzwi, z których schodzi farba, zatrząskują się za nią. Patrzę, jak okna domu wydają się ze mnie śmiać. Są jak olbrzymie oczy, które widziały, jak mój ojciec bije mnie na plaży. Ten dom to grobowiec złych wspomnień. I nie sądzę, żebym mógł patrzeć na niego jeszcze dłużej. W zasadzie to nawet nie chcę, żeby tu stał.

Chcę, żeby to wszystko po prostu odeszło.

Odwracam się do Nory.

– Czy możesz wyświadczyć mi przysługę? Mogłabyś pobiec do domku i przynieść benzynę i pudełko zapalek z garażu?

Nora patrzy na mnie sparaliżowana.

– Proszę? – Popędzam ją.

Kiwa głową ze zmieszaniem w oczach, ale nie wypytuje mnie. Po prostu wybiega z plaży na boso. Patrzę na nią przez minutę, a potem zwracam się do prawnika.

– Dom jest teraz mój, tak?

Todd potakuje.

– Tak. I wszystko w nim. I szopa, i garaż w mieście. I aktywa firmy. Wszystko.

– Dobrze.

Todd patrzy na mnie skrzępowany.

– Co planujesz?

Unoszę spojrzenie.

– Ognisko.

Patrzy na mnie z powrotem z lękiem.

– Nie chodzi o ubezpieczenie – mówię mu. – Po prostu chcę pozbyć się tego domu, żeby oczyścić tę ziemię i zacząć od nowa. Może w przyszłości postawię kolejny dom. Więc to nie jest podpalenie, tylko rozbiórka.

– Potrzebujesz pozwolenia na rozbiórkę, synu.

Mrużę oczy.

– Nie jestem twoim synem. A jeśli policja w Angel Bay chce ukarać mnie grzywną, to niech tak będzie.

Todd nie przestaje wpatrywać się we mnie z obawą.

– Okej. Cóż, to też jest teraz twoje.

Wręcza mi klucz do drewnianego pudełka, które zostawił mi ojciec. Wkładam go do kieszeni w moich kąpielówkach. Później się tym zajmę.

Nora wraca w momencie, gdy moja mama schodzi po schodach z walizką w ręce. Podbiega do mnie z puszką benzyny i zapalkami, a oczy mojej matki robią się szerokie. To pierwsza prawdziwa reakcja, jaką u niej widzę.

Podchodzę do niej.

– Mamo, kochałem cię najdłużej, jak mogłem. Długo po tym, jak przestałaś zasługiwać na miłość. Nie nienawidzę cię teraz. Nie. Ale mam dosyć trucizn w moim życiu, wliczając w to ciebie. Przepiszę ci firmę ojca. Dam ci pieniądze, które miał w banku, jego ciężarówkę i warsztat. Ale nie daję ci tego domu. Dzisiaj pozbywam się każdego złego wspomnienia, które jest związane z tym miejscem.

Bełkocze, a potem przestaje, widzi mój wyraz twarzy.

– Mówisz poważnie.

– Śmiertelnie poważnie.

Bez słowa więcej wytrząsam benzynę z puszki na ganek i polewam nią ściany.

Patrzę na matkę.

– Może będziesz chciała wrócić.

Robi krok w tył, a potem następny.

Zatrzymuję się.

– Wiem, że prawdopodobnie nie zobaczę cię już nigdy więcej



po tym, jak dzisiaj wyjedziesz. I dobrze mi z tym. Nie mogę sobie poradzić z całą trucizną mojego dzieciństwa. Jeśli kiedyś będziesz chciała mieć ze mną prawdziwe relacje, jak matka z synem, wtedy mnie znajdziesz. Do tego czasu sam się sobą zajmę.

Odwracam się, a moja mama biegnie do auta, nie mówiąc już nic więcej. Odjeżdża, nie patrząc za siebie, a ja nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że już nigdy jej nie zobaczę.

To naprawdę boli, ale przełykam gorzką pigułkę, bo wiem, że muszę pozwolić temu odejść. Jeśli kiedykolwiek mam zapomnieć o tym, co się tu wydarzyło, to muszę to puścić.

Rzucam zapalniczkę na dom.

Ogień wybucha natychmiast i gorąco uderza w nas, starając się nas odepchnąć, prawie jakby starało się chronić siebie przed zniszczeniem. Ale to nie działa, bo rzucam kolejną zapalniczkę i następną.

Pali się szybko.

Patrzę, jak płomienie liżą niebo, a dym unosi się niczym spirala. Każde moje złe wspomnienie ucieka z nim. Jedno po drugim. Jedno po drugim.

Nie jestem niczemu winien. I nigdy już nie będę musiał patrzeć na nic ani na nikogo, kto udaje, że jest inaczej.

Nora podchodzi z tyłu i obejmuje mnie ramionami w pasie. Patrzemy, jak dom się pali. Jej chłodne ramiona przynoszą komfort, ten rodzaj komfortu, który pochodzi tylko od kogoś, kto akceptuje cię takim, jakim jesteś.

– Okej?

Przytakuję.

– Tak. A ty?

– Tak.

Patrzemy na płomienie przez chwilę. Są pomarańczowe, niebieskie i czerwone. Potem odchodzimy plażą do jedyne miejsca, które jest dla mnie jak dom.

## Rozdział 21

NORA

Nie mogę uwierzyć, że to się właśnie stało.

Brand dosłownie spalił swoją przeszłość.

To zdumiewające. Przytłaczające. Radosne.

I nic z tych rzeczy, których bym się po nim spodziewała. Jest taki zdecydowany. Kiedy przejmuje nad czymś kontrolę, to do końca. Sama myśl o tym sprawia, że czuję podekscytowanie w brzuchu.

Słyszę prysznic. Brand zmywa wodę z jeziora, popiół i prawdopodobnie złe wspomnienia też. Znam to. Zwijam się na sofie i daję mu chwilę prywatności. Zasługuje na trochę samotności po tym, co zrobił.

Nie mogę powstrzymać się od patrzenia na małe drewniane pudełko, gdy leżę bez ruchu.

Fascynuje mnie. Hebanowe drewno z mozaiką z kości słoniowej. Czarno-białe. Zastanawiam się, czy jego ojciec zrobił to celowo... Czy zestawiał czerń i biel jako analogię do życia? Życie nie jest czarno-białe.

Nie mogę się powstrzymać, podnoszę pudełko i obracam w dłoniach. Potrząsam nim delikatnie.

Ze środka dochodzi ciężki brzęczący dźwięk. Duży ciężar. Trudno jest zgadnąć, co tak nienawistny człowiek jakim był Joe Killien, włożył do pudełka.

Dostaję gęsiej skórki, gdy przypominam sobie horrory, w których jako wiadomości wysyłano części ciała albo gorsze rzeczy. Szybko odkładam pudełko.

Z pewnością Joe nie włożył tam żadnej części ciała, ale nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć, co znajduje się w środku.

– Też jestem ciekaw – mówi z korytarza Brand.

Odwracam się, a on stoi z ręcznikiem przewiniętym w pasie. Badałam pudełko tak zapamiętałam, że nawet nie usłyszałam, kiedy przestała lecieć woda pod prysznicem.

Robi kilka kroków do pokoju, a jego silne łydki napinają się z każdym ruchem. Każdy ruch, który wykonuje, jest gibki i opanowany. Podnosi pudełko i przewraca je w swoich dużych dłoniach.

– Chcę wiedzieć, ale jeszcze nie dam mu tej satysfakcji – mówi w końcu, zwracając się do mnie. – Czy to ma sens? Wiem, że umarł i nigdy się nie dowie, czy spojrzałem do środka. Ale ja będę wiedział.

– Więc nie masz zamiaru zobaczyć? – pytam cicho, lekko niedowierzając. Bo wiem, że nigdy nie miałabym takiej silnej woli. Musiałabym wiedzieć. Nawet jeśli to, co jest w środku, zabiłoby mnie albo wzbudziło poczucie winy lub nienawiść. Ale to po prostu kolejna rzecz, którą różnimy się z Brandem od siebie. On ma silną wolę, a ja nie.

Brand wzrusza ramionami i odkłada pudełko na bok.

– Nie wiem. Może... Ale widzisz, zajęło mi lata, żeby dotrzeć do miejsca, w którym nie obchodzi mnie, co on myśli albo mówi. Myślę, że to coś wrodzonego... Potrzebujesz akceptacji swoich rodziców. Na dobre czy na złe musisz wiedzieć, że spełniłeś ich oczekiwania, że jesteś wystarczająco dobry. Ja wiem, że nigdy taki nie będę. I właśnie dlatego muszę się od tego uwolnić. To zajęło mi dużo czasu.

– Ale każdy byłby z ciebie dumny – zaczynam się sprzeciwiać, ale Brand podnosi rękę.

– Nie musisz tego robić. Znam wszystkie argumenty. Jacey kłóciła się o to samo. Gdy skończyłem West Point z wyróżnieniem, nie przyszli. Nie wysłali kartki. W ogóle tego nie uznali. Urządziłem przyjęcie z Jacey i Gabe'em. Gdy poszedłem do Rangers, również nic nie powiedzieli. Świątowałem z Jacey i Gabe'em. Ale jednocześnie nie pisałem do domu. To działało w dwie strony. Ja unikałem ich i oni mnie.

Potrząsam głową i wtrącam się, bo nie może mnie powstrzymać.

– Ale oni dali ci bardzo dobre powody, żebyś nie przyjeżdżał. Twój ojciec cię bił, a matka go nie powstrzymywała...

Brand przytakuje.

– Tak, wiem. Ale życie jest popieprzone. Ludzie się ranią. Ludzie są przerażeni, cierpią. Czasami niektórych rzeczy nie da się naprawić.

– Boisz się, że jeśli spojrzysz do pudełka, to twoje postanowienie zostanie zachwiane?

Kiwa głową.

– Tak myślę. Po prostu nie chcę zaczynać od początku i starać się im wszystko jeszcze raz wybaczyć.

Wciągam powietrze.

– A wybaczyłeś im?

Patrzy za okno.

– Nie wiem. Próbuję. Ale wydaje mi się, że przeważnie, wypieram tę myśl po to, żebym nie musiał do niej wracać.

– Czyli zaprzeczasz – mówię mu niepotrzebnie.

Uśmiecha się ponuro.

– Wiem, ale na razie bardzo dobrze mi z tym. Więc nie mam zamiaru spojrzeć do pudełka. Jeszcze nie teraz. Nie potrzebuję. Są inne rzeczy, o które muszę się martwić. Ważniejsze.

Unoszę brew.

– Takie jak?

Brand uśmiecha się szeroko.

– Lunch. Umieram z głodu.

Przewracam oczami.

– Ty zawsze jesteś głodny.

– Lunch w The Hill? – pyta, a jego oczy błyszczą.

Przytakuje. – To randka – mówi do mnie i znika w korytarzu, żeby się przebrać.

To randka.

Randka z Brandem Killienem.

Och. Jak wszystko w życiu może się obrócić. Nigdy nie wiesz, co się stanie.

Zaczესuję nisko włosy w kucyka i w ciągu dwudziestu minut idziemy z Brandem do The Hill.

Razem.

Wzięłam go pod ramię. Maria spogląda w górę znad kasy, a jej twarz jaśnieje jak fajerwerki, gdy widzi Branda.

Spieszy do niego. Całuje w policzki i mamrocze czułe słówka po włosku. Brand uśmiecha się i przytula ją, a ona prowadzi nas do stolika przy oknie.

– Dajcie mi znać, jeśli będziecie czegoś potrzebować – mówi do niego, zanim odejdzie, krzątając się. – Przyniosę wam specjalny deser.

Spoglądam na Branda znad menu.

– Naprawdę cię lubi.

– Jest bardzo lojalna. Nie zapomina, gdy ktoś coś dla niej zrobił. A ja tylko przewiozłem rzeczy jej córki.

– I przyszedłeś pomóc przyciąć jej krzaki i zrobić dużo innych rzeczy po śmierci jej męża – dodaję.

Spogląda na mnie, zaskoczony. Wzruszam ramionami.

– Powiedziała mi ostatnim razem. Zrobiłeś dla niej dużo.

– Tak jak Gabe i Maddy, i nawet Jacey – mówi zwyczajnie Brand. – Maria to dobry człowiek. Tak jak Tony.

Przestajemy mówić, żeby zdecydować, co zjeść, i oddajemy nasze menu przy zamówieniu.

Brand patrzy przez okno.

– Zawsze zapominam, jak bardzo lubię to małe miasteczko – rozważa nieobecnie. – Zawsze kojarzyłem je z brzydotą ze względu na moich rodziców, ale spędziłem tu też dobry czas. Przez większość wakacji przebywałem u Vincentów. Też byli dobrymi ludźmi. Ich babcia była dla mnie jak matka, której nigdy nie miałem.

Jest coś w tym stwierdzeniu i łagodności w jego spojrzeniu, co sprawia, że moje serce podskakuje.

– Cieszę się, że ich miałeś – mówię szczerze. – Brzmi, jakby wypełniali pustkę w twoim życiu.

I, Boże, tak bardzo żałuję, że nie mogłam mu pomóc. Byłam tu każdego lata. Tylko że byłam cztery lata młodsza i wtedy... cóż, różnica była tak ogromna jak ocean.

Brand przytakuje.

– Tak. Ich babcia dużo mnie nauczyła. Była skarbnicą dobrych porad. Nadal jest. Jest w domu opieki w Chicago.

Biorę łyk wody.

– Jakich porad? Obawiam się, że dorastałam bez wielu z nich. Mój ojciec jest skupiony na interesach, a mama... ona skupia się na pozorach, które mają pokazywać, że wszystko jest normalne w domu Greene'ów. Nie miałam w swoim otoczeniu żadnego mędrca.

Brand spogląda na mnie.

– Cóż, babcia nauczyła mnie wszystkiego, co wiem o kobietach.

To z pewnością przykuwa moją uwagę.

– I? Co to takiego?

Uśmiecha się.

– Lista jest zbyt długa. Nigdy nie wahała się dzielić opinią. Sentyment, jaki pojawia się na jego twarzy na jej wspomnienie, ogrzewa moje serce. Mówi się, że charakter mężczyzny poznaje się po tym, jaki jest w stosunku do swojej matki. Ale wiem, że gdybym zobaczyła Branda z jego „babcia”, to wiedziałabym o nim wszystko, co potrzebuję.

– Cóż, podziel się czymś – nakłaniam go. – Pamiętaj, że nie dostawałam wiele porad. Może mogłabym jakieś od ciebie pożyczyć.

Chichocze.

– No, nie jestem pewien, jak bardzo będą dla ciebie pomocne. Dużo porad było o kobietach... o tym, co powinienem o nich wiedzieć.

Czekam.

Wzdycha.

– Okej. Mówiła, że kobiety nie zawsze wiedzą, czego chcą, ale prawie zawsze wiedzą, czego nie chcą. Czasami muszą się chwilę zastanowić, aby wyeliminować niektóre rzeczy.

Zastanawiam się na tym i przytakuję.

– Cóż, miała rację. Coś jeszcze?

– Raz, kiedy mieliśmy około szesnastu lat, Gabe i ja

poszliśmy z nią na plażę. Widocznie gapiłem się na jakąś dziewczynę w bikini. Babcia uderzyła mnie za to w tył głowy i powiedziała, że kobiety to nie „chodzące waginy”. Potem dostałem wykład o tym, że kobiety to coś więcej niż tylko seks. To była najbardziej upokarzająca dyskusja w moim życiu.

Chichoczę na samą myśl o tym.

– Gabe też miał pogawędkę?

Brand przytakuje.

– Tak. Chciał umrzeć. Siedzieliśmy tam na plaży, przed Bogiem i wszystkimi, wliczając gorące dziewczyny w bikini, i jego babcia mówiła o seksie.

Znowu chichoczę.

– Fantastyczna kobieta.

– O tak – mówi Brand stanowczo.

– Miała jeszcze jakieś inne cenne porady? Czy wszystkie o kobietach?

Przewraca oczami.

– Och, zaufaj mi, jeśli chodzi o nastolatka, to wszystko kręci się wokół kobiet.

Patrzę na niego zabawnie. Uśmiecha się ironicznie.

– Żałuję, że nie przywiązywałem wtedy większej wagi do rzeczy, o których mi mówiła – przyznaje. – Była naprawdę mądrą kobietą, a ja, ponieważ byłem głupim dzieciakiem, nie zapamiętałem wszystkiego, co mówiła. Ale jest coś, co powiedziała mi raz. Po tym jak jakaś dziewczyna złamała mi serce. Te słowa utknęły we mnie.

Czekam.

Nic nie mówi.

– I...? – ponaglam go.

– Cóż, ta dziewczyna oszukała mnie. Była naprawdę szurnięta. I doszedłem do wniosku, że kobiety nie są tego warte, że sprawiają więcej kłopotów.

– Wiem, że mogłeś tak czasami pomyśleć – przytakuję. – I co powiedziała babcia?

– Powiedziała... „Brand, najlepsze rzeczy w życiu są warte

największego ryzyka. Czasami latamy wysoko przed upadkiem”.

Wpatruję się w niego, na uśmiech, który rozlewa się na jego ustach, i jeszcze trochę bardziej zakochuję się w tym dużym, silnym mężczyźnie, który żywi taki sentyment do swojej adopcyjnej babci.

Znajomość z nim bardzo różni się od szaleńczej nastoletniej miłości do niego.

Jest w nim o wiele więcej, niż mogłabym kiedykolwiek przypuszczać.

– To piękne – mówię mu zwyczajnie. – Masz rację. Była bardzo mądra.

Brand przytakuje.

– Zawsze była bezpośrednia. Ostrzegła mnie też przed swoją wnuczką.

Moja ręka zastyga na szklance.

– Co? – tylko tak udaje mi się spytać.

Brand chichocze.

– Była bardzo spostrzegawcza. Wiedziała, że byłem zakochany w Jacey od długiego czasu. Więc wzięła mnie na bok i bardzo bezpośrednio powiedziała mi, że Jacey nie jest gotowa na chłopaka takiego jak ja. I że może nigdy nie będzie... Bo Jacey potrzebowała kogoś, kto mógłby ją poskromić. Najpierw się obraziłem, bo myślałem, że uważa, że nie jestem w stanie tego zrobić.

Dla mnie to też tak zabrzmiało i zaczęłam się zastanawiać, czy babcia w ogóle wiedziała coś o Brandzie.

– Co w takim razie miała na myśli? – pytam z ciekawością.

– Powiedziała, że mam słabość do Jacey i że nigdy nie będę w stanie dać jej twardej miłości, która mogłaby ją naprawić.

Powiedziała, że jestem typem faceta, który przyjdzie na ratunek, kiedy się go potrzebuje i że nie byłoby to dla mnie sprawiedliwe, gdybym był z Jacey, bo zawsze bym ją ratował. Powiedziała, że potrzebuję kogoś bardziej liczącego się z innymi, kogoś pozbieranego w sobie.

Przełykam ciężko ślinę.



– Myślę, że twoja babcia była naprawdę mądra. Znała cię na wylot.

Ale ja nie jestem pozbierana w sobie.

Brand wzrusza ramionami.

– Tego nie wiem. Ale miała rację co do Jacey. Ocalałem ją setki razy przez lata. Gdybym był z nią, pewnie byłoby tego więcej. Więc babcia miała rację.

Kelner przynosi nasze jedzenie. Gdy jem parujący makaron, zaczynam się nad tym zastanawiać.

Brand naprawdę jest tym typem faceta, który przychodzi dziewczynom na ratunek. A Bóg jeden wie, że moje życie jest takie popieprzone. Gdyby był ze mną, ciągle czułby potrzebę ratowania mnie.

Gdy Maria powiedziała mi o Jacey pierwszy raz, poczułam się taka wszechmocna i osądzająca. Ale jednak wiem, że jutro muszę spotkać się z wujkiem, który ma zamiar grozić mi i Brandowi. A ja nadal chcę być z Brandem.

Więc chcę Branda, bez względu na koszt tego związku.

Więc naprawdę, gdy o tym mówimy, jestem tak samo samolubna jak Jacey.

## Rozdział 22

### BRAND

Rozmawianie o Jacey sprawia, że czuję się niekomfortowo. Nie dlatego, że nadal ją kocham, bo tak nie jest. Nie w ten sposób.

Ale dlatego, że widzę, jak reaguje na to Nora. To ją rozstraja. A to ostatnia rzecz, jakiej chcę. Jest podenerwowana od czasu kolacji u jej rodziców. Nie chcę jeszcze bardziej jej irytować.

– Jacey jest teraz szczęśliwą żoną – przypominam jej, kończąc lasagne. – I już jej nie chcę.

– Wiem – odpowiada Nora. – I przykro mi. To nawet nie moja sprawa. To twoje osobiste decyzje, z kim chcesz być, a z kim nie.

Odkładam widelec i patrzę badawczo na Norę.

– Od kiedy?

Przez cały czas, który spędziliśmy w chatce, zachowywała się wprost przeciwnie.

Wzrusza ramionami.

– Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie mam prawa dyktować ci czegokolwiek. To wszystko.

Mrużę oczy. To nowość. Dziwne.

– Czy to nie ty mówiłaś, że kula została wystrzelona i nie ma już powrotu?

Coś delikatnego przebiega w oczach Nory, ale zakrywa to.

– Tak, mówiłam. Ale czasami jestem samolubna. W każdym razie, co chciałbyś robić dziś po południu?

Niezdarnie zmienia temat i teraz to ja jestem podenerwowany.

Co, do cholery?

Wzruszam ramionami, próbując sprawiać wrażenie, że o to nie dbam.

– Nie wiem. Chcesz popływać?

Próbuję rozweselić nastrój, ale Nora przewraca oczami.

– Nie przesadzajmy.

Unoszę brew.

– Dlaczego? Na początku sama kąpałaś się nago. Może powinniśmy razem. Zapewniam cię, że to będzie całkowicie inne doświadczenie.

Twarz Nory rozjaśnia się i znowu jest szczęśliwa.

– Jasne – zgadza się. – Jestem pewna, że to będzie coś zupełnie innego.

Płacę rachunek i wracamy do domku.

Nora patrzy na mnie, gdy wchodzimy do środka.

– Jest środek dnia.

– No i?

Uśmiecha się szeroko.

– Nic. Po prostu taka uwaga. – Zsuwa szorty, a potem koszulkę. Następnie zrzuca biustonosz i majtki na kanapę.

Zatrzymuję się bez ruchu i wpatruje we mnie.

– Widzę, że się jeszcze nie rozebrałaś. Boisz się?

Ściągam koszulkę.

– Nie. Dekoncentrujesz mnie.

Rzucam spodenki i bieliznę pod jej stopy.

– Zróbmy to.

Chwytam ją za rękę i wyciągam z domku. Staram się nie dać się rozpraszać jej sutkom. W każdym razie nie teraz.

Gdy dochodzimy do brzegu, Nora rozciąga się, unosząc ręce w górę i wyginając się w moim kierunku.

Udaję, że nie widzę, chociaż mój kutas oczywiście to zauważa i jest w gotowości.

Bez zbędnego wstępu porywam ją, wskakuję do wody i wrzucam Norę bezceremonialnie.

Wynurza się spod powierzchni, dławiąc się i piszcząc.

– Nie to miałam na myśli, gdy chciałam się kąpać z tobą nago – krzyczy, goniąc mnie w wodzie. Odpływam szybko, daleko od niej.

Jak kot i mysz.

Jest na tyle szybka, że łapie mnie, gdy trochę zwalniam.

Rzuca się na mnie z wody, mocno łapiąc mnie za ramiona, i podtapia dla zabawy.

Wypływam dynamicznie na powierzchnię i całuję ją mocno.

Najpierw jest zaskoczona, a potem przywiera do mnie, zanurzając język w moich ustach. Owija mnie w pasie nogami. Czują ją. Jej środek wciśnięty w mój brzuch.

Natychmiast twardnieję.

Trzymając Norę owiniętą wokół siebie, podpływam kilka metrów w stronę lądu, tam gdzie moje stopy mogą dotknąć ziemi.

I wtedy nic mnie nie powstrzymuje.

Przesuwam językiem po jej szyi w miejscu, gdzie się wygina. Szczypię jej ucho, a gdy Nora odgina się do tyłu, ssę jej sutki, wciągając je do buzi i bawiąc się nimi, dopóki nie stają się ostrymi punktami.

Chwyta mnie za szyję i wbija paznokcie w moją skórę, a zimna woda w jeziorze chłodzi nasze ciała.

Chociaż oboje rozgrzewamy siebie.

Nora sięga w dół i pieści mnie pod wodą. Bawi się moją twardością, zamieniając ją w stal. Mógłbym przeciąć nią szkło i Nora o tym wie. Uśmiecha się, zanurzając głowę i liżąc moje sutki.

Odwzajemnia się.

Ale ja jestem szybszy i wsuwam palce między jej nogi, prosto w nią.

Pomimo wody, Nora ocieka swoją wilgocią.

Dla mnie.

– Może pójdziemy do środka – mruczę przy jej szyi.

Przytakuje.

– Tak. Pływanie na golasa jest przereklamowane.

Jest zarumieniona, prawie ma zadyszkę, co sprawia, że czuję się usatysfakcjonowany.

Zrobiłem to.

Podnoszę ją i zanoszę do domu.

– Mogę sama chodzić, wiesz przecież – mówi do mnie ze śmiechem w niebieskich oczach.

– Ale jesteś za wolna – odpowiadam. – Mam misję do

wykonania.

Śmieje się, a ja niosę ją w kierunku domu.

Nagle staję osłupiały.

Bo widzę, jak Jacey siedzi na ganku, czekając na nas.

Wygląda na zmęczoną, ale mimo wszystko nadal tam jest.

Prawdziwa. Patrzy, jak idziemy z Norą takimi, jak nas matka natura stworzyła.

Nora wciąga powietrze.

– Czy to...?

– Tak, to jest Jacey.

Wije się w moich ramionach, ale przytrzymuję ją mocniej.

– Gdy cię niosę jesteś bardziej schowana – zauważam.

– Ale ty nie – odpowiada.

Wzruszam ramionami. Nie można nic na to zaradzić. Oboje jesteśmy nadzy, ale przynajmniej moje ramiona owinięte wokół Nory zapewniają jej trochę okrycia.

Jacey wstaje, gdy podchodzimy. W jej oczach widać śmiech. I zmieszanie. Widzę, jak uważnie patrzy na Norę, próbując dojść do tego, kto to.

– Brand! – woła. – Widzę, że masz się coraz lepiej... i że w ogóle niepotrzebnie się martwiłam.

– To dlatego tu jesteś? – odpowiadam. – Bo się martwiłaś? Mogłaś zadzwonić.

Uśmiecha się szeroko i schodzi z ganku. Oczy ma utkwione we mnie i nawet nie spogląda poniżej mojego pasa.

– Wiedziałam, że gdybym zadzwoniła, to powiedziałbyś mi, żebym nie przyjeżdżała. Musiałam się upewnić, że wszystko z tobą w porządku.

– Jest okej – mówię do niej, nie zatrzymując się. Robię podwójne kroki, zmierzając do domu.

– Jesteś także nagi – woła za mną. – Wiesz?

Smarkacz.

Uśmiecham się szeroko. Nora spogląda na mnie.

– W porządku, że tu jestem, czy...?

– Oczywiście – zapewniam ją. W jej oczach pojawia się

okropne zwątpienie, które muszę zdławić. – W porządku.

Ubieramy się szybko i dołączamy do Jacey, która siedzi przy kuchennym stole i czeka na nas, przesuwając ręką po drewnianym blacie.

– Tęskniłam za tym domkiem – duma. – Wiążę z nim szczęśliwe wspomnienia.

A ja tworzę właśnie kolejne, ale nie mówię o tym.

– Jacey, to jest Nora Greene. Nora, to Jacey Vincent. To znaczy Kinkaide.

Nora wyciąga rękę, ale Jacey mija ją i przytula.

– Miło cię poznać. Tak bardzo miło – wylewa z siebie Jacey.  
– Mam wrażenie, że cię znam, ale to niemożliwe, prawda?

– Jej rodzice mają posiadłość Greene – wtrącam z pomocą, a oczy Jacey rozszerzają się.

– Och, to mała Nora Greene! Znałam cię. Byłam kelnerką w The Hill. Pamiętam, jak przychodziłaś czasami z rodzicami. Ty... ech... wyrosłaś.

To dość taktowny sposób, żeby nie wspominać faktu, że Nora była naga na plaży Jacey.

Nora uśmiecha się z wdziękiem, z lekkim rumieńcem na bladych policzkach.

– Miło cię poznać, Jacey. Tyle o tobie słyszałam.

W jej głosie wyczuwalna jest cierpka nuta. Zastanawiam się nad tym. Czy ona jest zazdrosna?

Jacey patrzy na mnie łagodnymi brązowymi oczami.

– Nie mogłam nie zauważyć, jadąc tu, że dom twoich rodziców wygląda, jakby się spalił.

Na jej twarzy pojawia się znaczący wyraz, bo zna mnie bardzo dobrze.

Przytakuje.

– Tak. Był mały problem z zapalkami i benzyną. Widocznie kiedy oblewasz coś benzyną i rzucasz na to zapalki, to zaczyna się palić.

Unosi brew.

– Czy już po problemie?

Przytakuję.

– Wszystko w porządku.

– Dobrze.

Jacey ziewa szeroko, mocno zaciskając usta ręką.

– Boże, przepraszam. Jestem taka zmęczona po locie. Dom jest nadal na planie w Anglii i nie mógł przyjechać. A ja chciałam pobyć tu kilka dni, żeby się tobą zająć. Ale podróż mnie zabija. Pójdę się zdrzemnąć na kilka godzin, a potem nadrobimy zaległości, okej?

– Oczywiście – mówię jej. – Śpij, ile potrzebujesz. Możesz zostać w swoim starym pokoju. Nora i tak śpi ze mną.

Jacey uśmiecha się znacząco.

– No jasne. Zobaczymy się za kilka godzin.

Idzie korytarzem, ale woła jeszcze przez ramię.

– Nie myśl, że nie jestem wściekła za to, że sam nie zadzwoniłeś. Skopię ci tyłek, gdy się obudzę.

– Już się boję! – krzyczę do jej pleców.

Trzask drzwi jej sypialni jest jej jedyną odpowiedzią. Patrzą na Norę i widzę, że ona wpatruje się we mnie. Nie mogę odgadnąć wyrazu jej twarzy.

– Przykro mi, że nam przerwała – szepczę jej we włosy, przyciągając blisko. – Ale wynagrodzę ci to dzisiaj wieczorem.

Kiwa głową, nadal nic nie mówiąc. Jej wymowna cisza mnie uderza.

Jacey śpi od kilku godzin i w zasadzie to nie słyszę, żeby się kręciła jeszcze długo po tym, jak kładziemy się z Norą do łóżka.

Leżę w ciemności, nasłuchując ruchów Jacey w salonie, i rozmyślam nad moją sytuacją.

Jeszcze rok temu oddałbym wszystko, żeby Jacey zobaczyła mnie takiego... jakim jestem. Dojrzałego, zakochanego w niej mężczyznę.

Ale rzeczy się zmieniły i teraz czuję tylko rozdrażnienie jej przyjazdem, który wzbudził w Norze wątpliwości.

Bo widziałem zwątpienie w oczach Nory. Widziałem, że kwestionuje moje uczucia do Jacey i że te wątpliwości sprawiły, że

zwątpiła w uczucia, które do niej żywię, i moje intencje względem jej.

Spędzimy z Jacey kilka dni, ale mam zamiar porozmawiać z Norą. Wiem, że chciała mnie tylko na lato, ale nie odetnę się od tego. Babcia miała rację... gdy otwieram się przed kimś, to już całkowicie.

To lato mi nie wystarczy.



## Rozdział 23

NORA

Budzi mnie śmiech. Jestem sama w łóżku.

Branda nie ma. A gdy patrzę przez okna łazienki, wiem już dlaczego. Siedzi w słońcu przy piknikowym stole i je śniadanie z Jacey.

Czuję w brzuchu lekkie ukłucie zazdrości i staram się go pozbyć. Brand nie jest moją własnością. Nie należy do mnie. Ale śpi ze mną co noc, trzyma mocno całymi nocami. Nie mam powodu do zazdrości.

Tak przynajmniej sobie mówię.

Jednak jest mi trudno. Jacey cały czas trzyma dłoń na jego ramieniu. Śmieją się z żartów, których nie znam. Jest między nimi zażyłość, która wynika z wieloletniej znajomości. Prawdziwej znajomości. Ciężko jest nie być o to zazdrosnym.

Nawet jeśli, z drugiej strony, Jacey nie przystawia się do niego. Może kiedyś to robiła, ale teraz nie ma między nimi żadnego seksualnego napięcia.

Zakładam na siebie ciuchy i przeczesuję włosy szczotką, a potem dołączam do nich z filiżanką kawy.

– Nie wiedziałam, jak mocną lubisz kawę – mówi Jacey, patrząc na mnie w trakcie ich rozmowy. – Dlatego zrobiłam po prostu łagodną. Mam nadzieję, że ci smakuje.

– Jest idealna – zapewniam ją. Spoglądam na stolik, nie mogąc się zdecydować, z której strony usiąść. Jacey rozwiązuje ten problem, poklepując ławkę obok siebie.

– Chodź, opowiesz mi o sobie – mówi śpiewającym, radosnym głosem. – Muszę wiedzieć wszystko o dziewczynie, która zaintrygowała Branda.

Brand wzdycha głośno, ale nie próbuje odwozić jej od tego pomysłu, więc siadam obok niej.

Rozmawiamy przez godzinę.

Gdzie mieszkasz?

Czym się zajmujesz?

Gdzie chodziłaś do szkoły?

Cały czas myślę o tym, że chciałabym siedzieć obok Branda zamiast Jacey, ale uśmiecham się grzecznie, gawędzę z nią i gram w jej grę. Bo to gra. Wiemy to obie.

Zachowuje się przyjacielsko i radośnie, ale pyta także w imieniu Branda. Stara się znaleźć moje motywy, chcąc zdecydować, czy jestem dla niego wystarczająco dobra.

Ale nie ma do tego prawa.

Zraniła go więcej razy, niż ktokolwiek inny by mógł.

Ale przyklejam uśmiech i odpowiadam na każde jej pytanie.

Sama nawet zadaję jej kilka.

Jak to jest być żoną Dominica Kinkaide'a?

Gdzie mieszkasz teraz, gdy nie jesteś z nim na planie?

Tęsknisz za Angel Bay?

Odpowiada na moje pytania z tego samego powodu, dla którego ja odpowiadałam na jej.

Przedstawienie dla Branda.

Wtedy właśnie mój telefon wibruje w kieszeni i ukazuje się imię Williama, które przypomina mi, że muszę się dziś uporać z większymi problemami niż Jacey.

„Nie spóźnij się”.

To cała jego wiadomość. Spoglądam na zegarek. Jest już dwunasta trzydzieści. Świadomość, że będę musiała wkrótce iść, sprawia, że czuję się nieswojo. Ale mówię sobie, że to głupie. Brand jest lojalny.

Ale nie jest mój.

To niezaprzeczalny fakt. Nie należy do nikogo.

Przełykam ślinę, patrząc na ich oboje.

– Przepraszam, ale zostałam wezwana dziś do pracy. Muszę jechać do Chicago. Ale wrócę wieczorem.

Wstaję, żeby wejść do domu, ignorując bardzo zaniepokojone spojrzenie Branda. Zanim dochodzę do drzwi, łapie mnie silną ręką za łokieć.

– Czy wszystko w porządku? – pyta szybko, a jego niebieskie

oczy szukają odpowiedzi w moich. Szczerej odpowiedzi.  
Zakładam maskę.

– Tak.

Kłamstwo.

Unosi brew i wzdycha.

– W porządku. Mój ojciec chce po prostu dać mi jakieś dokumenty, żebym mogła się z nimi zapoznać przez lato. Chce, żebym była przygotowana na jesień.

Kłamstwo.

Ale brzmię tak przekonująco, że Brand w końcu odpuszcza.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą?

Tak.

Ale potrząsam głową.

– Oczywiście, że nie. Masz towarzystwo. Zostań z Jacey i nadróbcie zaległości. Będę w domu wieczorem.

W domu.

Guz formuje mi się w gardle, bo to nie jest mój dom. To ich dom... Jacey i Branda. To tu dorastali. Nigdy nie będę częścią tego.

– Jeśli jesteś pewna... – Głos Branda słabnie, a ja całuję go mocno w usta. Kątem oka widzę, że Jacey patrzy na nas, a to daje mi dużą satysfakcję.

– Jestem. Wrócę wieczorem

Wchodzę do domu zamaszystym krokiem i chwytam torebkę. Nie odwracam się, dopóki nie jestem na drodze.

Podróż do Chicago wydaje się trwać wiecznie, mimo że to tylko godzina. Przemykam się w swoim jaguarze przez niedzielny popołudniowy ruch uliczny i zanim zaparkuję samochód w garażu Greene Corp, jestem kłębkim nerwów.

Drżą mi palce, serce wali jak szalone, a dłonie się pocą.

Drażni mnie, że Brand i Jacey zostali sami, ale ja spotykam się sam na sam z Williamem. A to jest jeszcze bardziej drażniące. Z resztą także niebezpieczne.

Przełykam ślinę, wjeżdżając windą na dwudzieste piętro.

Oddycham ciężko, gdy wychodzę z windy, a moje obcasy

skrzypią na wypolerowanej podłodze.

Gdy stoję przed drzwiami sali konferencyjnej, biorę głęboki wdech i staram się uspokoić. Wiem, że on już tam jest. Czuję w powietrzu jego wodę kolońską. Coś gęstego i mdłego. Coś jak stary człowiek.

Smród przywołuje złe wspomnienia... drapanie, gryzienie i penetracja.

Krztuszę się, chwytając się ściany.

Potrafię to zrobić.

Potrafię to zrobić.

Teraz ja dzwonię dzwonkiem.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka pewna siebie.

William czeka na dalekim końcu olbrzymiego konferencyjnego stołu.

– Wejdz, moja droga – woła. Nawet jego głos brzmi jak u starego człowieka, cienki i wąły. Przełykam obrzydzenie i podchodzę do niego. Patrzę na niego ostrożnie, gdy stoję przy stole.

Uśmiecha się.

– Czy to było takie trudne? Naprawdę, moja droga, spotkanie ze mną nie musi tak wyglądać.

– Wiem, jak wyglądają spotkania z tobą – udaje mi się odgryźć. – Dlaczego chciałeś się ze mną dzisiaj widzieć? Przejdźmy do sedna.

William przytakuje, zadowolony.

– Taka z ciebie dobra Greene, Noro. Gotowa robić to, czego wymaga sytuacja.

Wykręca mnie w żołądku.

– Czego chcesz? – zmuszam się do pytania. Zaciskam palcami brzeg stołu tak mocno, że już ich nie czuję.

William odchyła się w swoim krześle.

– Chcę opowiedzieć ci trochę o twoim chłopaku, oczywiście. Jesteś taka młoda i niedoświadczona... Wiem, że pewnie nie przejrzałaś jego historii. Prawda?

Przewracam oczami.

– To mi chcesz powiedzieć? Nie muszę przeglądać jego historii. Znam go. Jest zasłużonym żołnierzem Rangers, bohaterem, który ocalił moje życie. To wszystko, co potrzebuję wiedzieć.

William chichocze. Cienki, fałszywy dźwięk w cichym pokoju.

– Och, kochanie, jesteś taka naiwna. Twój chłopak jest żołnierzem Rangers, ale wątpię, żeby powiedział ci dlaczego.

Z głosu Williama wynika, że nie spodoba mi się to, co zaraz usłyszę. Chciałabym zatkać uszy i nie słuchać, ale muszę wiedzieć.

William nie da mi wyboru.

Nic nie mówię, a on kontynuuje.

– Branden Killien zaatakował swojego ojca zaraz po tym, jak skończył liceum – mówi William z satysfakcją, a jego przygaszone oczy błyszczą. – Jego rodzice wnieśli oskarżenie, a sędzia zawiesił wyrok pod warunkiem, że Brand zgodzi się wstąpić do wojska.

Jestem zdumiona.

Nie jestem zła na Branda, bo szczerze mówiąc, po tym, co usłyszałam o jego ojcu, i widząc, jak zachowuje się jego matka, nie winię go. Właściwie to podziwiam go, że tak długo czekał. Ale jestem zaskoczona, że nie wspominał mi o tym.

William delektuje się wyrazem mojej twarzy.

– Widzę, że ci o tym nie powiedział – mówi radośnie. – Wiem dlaczego. Myśli, że sprawa jest przedawniona, więc nie musi się martwić mówieniem ci prawdy. Ale widzisz, moja droga, dla mnie nic nie jest przedawnione. Mam kontakty wszędzie. Co sprowadza nas do głównego punktu tego spotkania.

Przestaje mówić, a ja czekam. Gdy patrzę na niego, powieka nawet mi nie drgnie.

Pieprz się, potworze.

– Jestem pewien, że Brand nie chciałby, żeby wyszło na jaw, że służył dla tego kraju tylko z powodu napaści i pobicia. Jego firma dobrze prosperuje przede wszystkim dlatego, że razem ze współnikami mają odznaczenia wojskowe. Ale kontakty, które mam w Pentagonie... nie byłiby szczęśliwi, gdyby wiedzieli, że

robią interesy z oszustem.

Odchylam gwałtownie głowę.

– Brand nie jest oszustem – wypluwam słowa. – Nikt by tak nigdy o nim nie pomyślał.

William przytakuje, szczęśliwy z powodu mojej reakcji.

– Uwierzą w to, jeśli im tak powiem. Wycofali by się publicznie z interesów, ogłaszając swoje powody... że Branden jest oszustem i przestępcą, jeśli tak im powiem. A kiedy to się stanie, jego firma zbankrutuje. Będzie zrujnowany i zostanie z niczym.

Oddech opuszcza w pędzie moje ciało. Staram się tego nie okazywać.

– Nie zrobią tak – mówię, próbując wyczuć blef. – Jego firma robi dobrą robotę. Nie miałoby powodu.

William uderza palcami w stół tak, jakbyśmy odbywali zwyczajną, przyjacielską rozmowę.

– Moja droga – mówi bardzo słodki tonem. – Zrobią wszystko, o co bym ich poprosił. Tak ważny jestem w Waszyngtonie.

Wpatruję się w niego, a on mruży oczy, wstając i podchodząc do mnie.

Muszę walczyć ze sobą, żeby się nie poruszyć, żeby stać na ziemi.

– Nie uciekniesz ode mnie.

Robi kolejny krok w moim kierunku, a potem jeszcze jeden.

– Zawsze dostaję to, czego chcę.

Zatrzymuje się zaraz przede mną, na tyle blisko, że muszę wdychać jego wodę kolońską i cuchnący, stary oddech.

– Poproś mnie, Nora.

Podnoszę wzrok, żeby spotkać się z jego spojrzeniem. Jego oczy są tak samo zimne, jak wyblakłe i stare.

Zaciskam usta. Nie chcę tego zrobić.

– Poproś. Mnie.

Chwyta moją rękę i ściska ją, pchając do siebie jej delikatne kości. Zaciskam zęby w bólu.

On ściska mocniej.

– Czego chcesz? – pytam w końcu, żeby puścił uścisk.

– Ciebie.

Walczę z nagłą potrzebą zwymiotowania.

– On wchodzi mi w drogę – mówi uprzejmie William, uwalniając moją rękę. – Chcę, żebyś opuściła jego domek i pojechała ze mną na wycieczkę do Abu Zabi. Powiedzmy, że to biznesowy wyjazd, ale zapewniam cię, że nie jedziemy tam w interesach.

Jego ręka wcina się i łapie mnie między nogami, a paznokcie wbijają się w mój delikatny środek, wgrzyzając się we mnie. Lubi ból. Wiem to. Doświadczyłam tego już przedtem. Lubi zadawać ból.

Robię krok w tył, wyszarpując się od niego, od jego diabelskiego dotyku.

– Nie chcesz mnie. Chciałeś moją mamę, ale nie mogłeś jej mieć. Nie jestem nią.

Pomarszczone usta Williama przybierają kształt cynicznego uśmiešku.

– Bystra z ciebie dziewczynka. To mogło się zacząć w ten sposób. Chciałem cię, ponieważ twoja matka musiała patrzeć, jak na ciebie poluję i nie mogła nic z tym zrobić. Jest taką bezradną pizdą. Ale teraz chcę ciebie. Twoja matka jest stara.

Tak jak ty. Przelykam kwas, który mam na języku.

– A co jeśli odmówię?

William unosi krzaczastą brew, tak jakby wiedział, że nie śmiałabym.

– Gdybyś odmówiła, to byłaby z ciebie głupiutka dziewczynka. Zrujnowałbym twojego mięśniaka, a potem ciebie. Ale nie myśl nawet przez minutę, że przynajmniej mielibyście siebie... bo kiedy już z nim skończę, to nigdy nie będzie ciebie chciał. Myślisz, że naprawdę chciałby kogoś, kto dobrowolnie wchodzi w kazirodczy romans ze swoim własnym wujkiem i komu bardzo się to podoba?

Gorycz wzbiera w moim gardle, gdy wyciąga paczkę zdjęć i

rzuca ją przez stół.

Jestem na nich. Obciążam swojego własnemu wujkowi.

Zdjęcie zostało zrobione pod takim kątem, że nie można zobaczyć, że ręce mam związane z tyłu. Na zdjęciu widać mój tatuaż, unikatowy znak. Odwrócona kotwica i słowa. *Fluctuat nec mergitur*. To muszę być ja.

I to mój wujek. Jego pomarszczona ręka z tyłu mojej głowy, która zmusza mnie do wzięcia go jeszcze bardziej do gardła... I jego unikatowy sygnet na palcu.

Wujek uśmiecha się z przyjemnością, wciskając zdjęcia do tylnie kieszeni.

– Jest ich jeszcze więcej. Dużo zdjęć, na których mnie pieprzysz, ty mała dziwko – mówi do mnie, a każde słowo jest jak lód. – I nie obchodzi mnie, że to może wyjść... byłaś pełnoletnia i jeśli ktokolwiek spyta mnie o to, powiem po prostu, że jesteś napaloną suką, która uganiała się za mną od lat, a ja oddałem ci się, gdy byłem pijany. Jeśli spojrzysz na zdjęcia, to z pewnością zobaczysz, że podobało ci się.

Nie podobało.

Nie podobało mi się. Staralam się przez to przejść. Nie umrzeć tam w środku.

Ale on ma rację. Tego nie widać na zdjęciach. Mój makijaż wygląda na rozmazany pod wpływem namiętności, a nie przez łzy. Nie można zobaczyć moich związanych z tyłu rąk ani śladów po uderzeniach biczem wujka.

Nie widać nic... oprócz dziewczyny uprawiającej seks ze swoim wujkiem.

William wpatruje się we mnie pewny, że mu ulegnę.

– Nawet jeśli Brand nadal będzie cię chciał po tym, jak go zrujnuję – mówi spokojnie – to na pewno nie zechce cię, jak zobaczy, jaka pojebana z ciebie dziwka.

Rzeczywistość mnie miażdży. Brzydka i gorąca.

Nikt normalny nie chciałby mnie po obejrzeniu tych zdjęć.

Ale nie mogę pozwolić, żeby Brand wszystko stracił... nie przeze mnie. Pracował zbyt ciężko, żeby zapomnieć swoją



obrzydliwą przeszłość. To nie byłoby sprawiedliwe, gdyby teraz wszystko stracił.

– Masz czas do jutra do północy, żeby wyjechać z domku – mówi zadowolony. – Spotkamy się w twoim mieszkaniu w Kalifornii. Wiem, że je zatrzymałaś, mimo że ojciec kazał ci je sprzedać. Nieważne. Przyda nam się. Zrobimy z niego dobry użytek przed wylotem do Abu Zabi.

Nie mogę opanować mdłości.

Przechylałam się na bok i wymiotuję. Wiele razy. Opróżniłam żołądek, potem wstaję, ocierając usta ręką.

– Widzę, że umowa stoi – przytakuje William. – Dobrze. Do zobaczenia w Kalifornii, kochanie.

Odwraca się i zaczyna wychodzić, ale zatrzymuję go.

– Co z ciebie za potwór? – szepczę. – Jestem twoją krewną. Trzymałaś mnie na rękach, gdy byłam mała. To ty jesteś przestępcą, a nie Brand.

William śmieje się, ale ten śmiech jest brzydki i stwardniały.

– Nora, oboje wiemy, że próbowałaś mnie uwieść, odkąd byłaś mała. Te kostiumy kąpielowe, które nosiłaś... zawsze odchodziłaś ode mnie w taki sposób, żeby pokazać mi swój mały tyłek.

Żółć wzbiera znowu.

– Miałam mały tyłek, bo byłam dzieckiem – wypluwam do niego. – Nigdy nie próbowałam cię uwieść. Jesteś chorym zboczeńcem, który ugania się za dziećmi.

William patrzy na mnie niewinnie.

– Nigdy nie uganiałem się za dziećmi – broni się. – Nic mnie z tobą nie łączyło, dopóki nie stałaś się dorosła, kochanie. A to nie przestępstwo.

– Nie, ale obrzydliwa zniewaga – mówię mu, cały czas starając się opanować mdłości.

– Zależy dla kogo – mówi William bez trudu. – Masz czas do jutra do północy, żeby wyjechać do Kalifornii. Nie spóźnij się.

Odwraca się i zamasyżuje wychodzi z sali, a ja nadal czuję jego paznokcie wbijające się w moją waginę. Pędzę do łazienki i

biore garść papierowych ręczników, zanurzając je pod wrzącą wodą. Nie mogę wziąć prysznicza, więc to teraz najlepsza rzecz. Zamykam się w toalecie i wycieram, i wycieram, i wycieram, próbując zetrzeć odciski jego palców.

Wkrótce zdaję sobie sprawę, że szlocham w stercie ręczników.

Mam jeszcze tylko jedną noc z Brandem. Do północy.

Nie mam śmiałości sprzeciwić się Williamowi.

Zrujnuje wszystko, co mam.

Porwie mój cały świat na strzępy. Ale nie dbam o to.

Jedyne, co mnie obchodzi, to Brand.

Nie mogę mu pozwolić skrzywdzić Branda.

Spoglądam na zegarek.

Czas ucieka.

Najgorsze się właśnie zaczęło.

## Rozdział 24

### BRAND

Patrzę na Jacey.  
– Co powiedziałaś?  
Przetyka gryz kanapki.  
– Pytałam, co robisz z tą dziewczyną.  
Przewracam oczami.  
– To w sumie już nie twoja sprawa. Gdy wydarzy się coś, co będę czuł, że muszę ci opowiedzieć, to dowiesz się od razu.  
– Innymi słowami – patrzy gniewnie – nigdy.  
Uśmiecham się szeroko.  
Bierze kolejnego gryza.  
– Jest urocza. Przyznaję. Ale nie za bardzo pasuje do twojego typu. Jest trochę... spięta.  
Potrząsam głową i patrzę na jezioro, przypominając sobie, jak Nora płynęła ze mną do boi.  
– Tak myślisz?  
Jacey przytakuje.  
– Pochodzi też ze snobistycznej rodziny. Więc to nie twój typ.  
Kończę kanapkę i wkładam talerz do zlewu.  
– Bez obrazy, Jacey. Przez lata wyplakiwałaś mi się na ramieniu nad mężczyznami, ale nigdy nie słuchałaś, co mam do powiedzenia o kobietach. Nie wiesz, jaki jest mój typ.  
Przestaje żuć i wpatruje się we mnie.  
– Ani razu?  
Potrząsam głową.  
– Ani razu. Zawsze to ja słuchałem ciebie.  
– Boże, byłam suką – mamrocze. – Powinnam przeprosić?  
Przewracam oczami.  
– E, nie. Teraz to nic nie da. Po prostu wiem, co robię. I jeśli będę chciał twojej porady, to o nią poproszę. I dzięki za użyczenie mi waszego domku, żebym mógł dojść do siebie.

Patrzy pochmurnie, ale dobrodusznie.

– Tak to nazywasz? Dochodzenie do siebie? Sam z piękną dziewczyną w domku?

Przytakuję.

– To moja opowieść.

– I trzymasz się jej. Rozumiem.

Droczy my się ze sobą przez chwilę. Jacey opowiada o swoim życiu w Anglii, a ja mówię jej o tym, jak jej brat żyje w Connecticut.

– To miłe – mówi w końcu, nachylając się, żeby mnie przytulić. – Czuję, jakby rzeczy wracały na swoje miejsce. W końcu. Przepraszam, że najpierw wszystko spieprzyłam.

– W porządku – mówię jej, odwzajemniając uścisk. – Serio. Zanim Jacey się odsuwa, Nora otwiera drzwi.

Oczywiście. W momencie gdy Jacey nadal mnie obejmuje.

Super.

Wyraz twarzy Nory jest oziębły.

Natychmiast odsuwam się od Jacey i wyciągam w kierunku Nory.

– Hej, kochanie – witam ją. – Właśnie nadrabialiśmy zaległości z Jacey.

Nora powoli przytakuje. Nie uśmiecha się.

– Widzę.

Jacey przenosi spojrzenie z Nory na mnie.

– Och, muszę iść do The Hill i zobaczyć się z Marią. Wrócę później. Rano mam samolot i muszę się wyspać.

Żadne z nas nie odpowiada, więc Jacey wyślizguje się z pokoju.

Patrzę na Norę.

– To nie było to, na co wyglądało.

– Nie? – Nora unosi brew.

– Nie – potrząsam głową. – Przytulaliśmy się jak dwoje przyjaciół.

Nora wpatruje się we mnie przez moment dużymi i smutnymi oczami. Potem kiwa głową, a pochmurny wyraz znika z jej twarzy.

– Okej.  
– Okej? Tak po prostu?  
Przytakuje.  
– Tak po prostu. Ufam ci. No i są lepsze sposoby na spędzanie czasu niż podejrzewanie cię.  
– Kochanie, zawsze znajdzie się czas, żeby porozmawiać o problemach. Jeśli jest ci z czymś źle, to musisz mi o tym powiedzieć. W taki sposób ludzie rozwiązują problemy. Mamy dużo czasu. Możemy sobie na to pozwolić.  
Patrzy na mnie smutno przez minutę. Martwię się. Co się z nią dzieje?  
Ale zaraz uśmiecha się.  
– Masz rację. Ale jest w porządku. Jacey to dawna przyjaciółka. Jest w porządku.  
Jest w porządku. Dwa najbardziej niebezpieczne słowa w kobiecym leksykonie. Jestem pewien. Ale nie mam innego wyboru. Muszę je zaakceptować. Więc przytakuję.  
– Dobrze. A teraz... Mamy chatkę na wieczór znowu tylko dla siebie. Jak chciałabyś spędzić ten czas?  
Nora uśmiecha się, wolny uśmiech, który w końcu dociera do jej oczu. Podchodzi do mnie.  
– Mam pewien pomysł.

## NORA

Muszę nim nasiąknąć. Każdą jego częścią. Tak bardzo jak to możliwe. Mam tak mało czasu, żeby go wchłonąć, zapamiętać i zabrać jego dobroć, którą uczynię swoją.

Przesuwa rękoma po moich biodrach, a ja podnoszę je, dając mu dostęp do mojego najbardziej wrażliwego miejsca. Kiedy to robi, zapominam o tym, jak wcześniej paznokcie Williama się tam wbijały. Brand przysłania to wspomnienie. Wymazuje je, wyplenia.

Skręcam rękoma prześcieradło, jęcząc jego imię, gdy mnie pieści.

Uczyń mnie dobrą, Brand.

Całuje mnie w szyję, w usta, policzki, a potem opiera swoje

czoło na moim i wpatrując się w moje oczy, wchodzi we mnie powoli, gładko i głęboko.

Celowo.

Wciągam powietrze, a potem oddycham z nim. Dyszymy powoli, gdy wsuwa się we mnie i wysuwa. Raz za razem.

– Chcę cię widzieć – mówi ochryple przy mojej szyi. A potem pociąga i przewraca mnie tak, że znajduję się na nim. Jego ręce chwytają moje piersi, ściskając tę wrażliwą część mojego ciała. – Tak lepiej – wzdycha. Przesuwając ręce wzdłuż moich bioder, podziwia je. Potem patrzy na moje piersi i nachylając się ku nim, ssie je, nawadniając językiem i zwijając moje sutki między zębami. Przez cały ten czas kołyszę się na jego twardości, wysuwając go i wsuwając. Delektuję się wilgotnym ciepłem i nieugiętą sztywnością.

Napełnij mnie, Brand.

Wsuwa się i wysuwa. Szybko i szybciej i w końcu odrzucam głowę i wyginam się na nim w łuk wstrząsana od orgazmu. Drzę i drzę, a moje mięśnie zaciskają się na nim.

Uśmiecha się.

– Moja kolej.

Zaczyna ruszać się we mnie znowu, ale nagle wysuwa się i przewraca mnie ponownie. Tym razem jestem twarzą do łóżka, a Brand pieprzy mnie od tyłu. Podciąga mnie rękoma w górę ku sobie i wyciąga się, żeby mnie pieścić.

Znowu dochodzę, zanim on wydaje ostateczny jęk ulgi.

Opadam na łóżko, bezwładna i zaspokojona, i smutna.

To wszystko, co mam. Muszę to zapamiętać. Muszę go zapamiętać, zapamiętać jego twarz, jego zapach, jego dłonie.

Unoszę jego rękę i przesuwam po jego palcach, a on przyciąga mnie do piersi drugim ramieniem.

Cisza między nami jest ogromna, naładowana i ważna. Nie wiem dlaczego. Wtedy dochodzi do mnie... gdy on patrzy na mnie. Wyraz w jego oczach jest inny.

Ponieważ mnie kocha.

Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem.

Wtulam się w niego nosem. Moja twarz w jego szyi. Staram się rozproszyc to ciepło, miękkość i uczucie dobra po całym moim ciele.

– Jestem taka zmęczona – mówię mu z nadzieją, że nie wypowie tych słów. Nie mogę ich usłyszeć. Nie, jeśli muszę go zostawić. To byłoby niemożliwe. Potworne.

Proszę, nic nie mów.

Śmieje się i ta chwila mija.

– Wymęczyłem cię. Prześpij się i zrobimy to jeszcze raz. Ale to on zasypia.

Patrzę na niego. Oddycha. Jego ramiona obejmują mnie. Chroni mnie nawet, gdy śpi.

Czuję ukłucie w sercu. Ściska mnie w środku.

Spoglądam na zegarek.

Jedenasta w nocy.

Jesteśmy w sypialni od kilku godzin. Kochaliśmy się raz za razem, bo tak właśnie chciałam spędzić moją ostatnią noc z nim. To właśnie z tymi wspomnieniami będę od teraz żyć.

Wysuwam się z łóżka tak delikatnie, jak tylko potrafię, i siadam przy biurku pod oknem. Piszę szybko wiadomość. Jest krótka, ale nie wiem, co jeszcze powiedzieć... Nie wiem, co powiedzieć, żeby go nie zranić. Składam liścik i piszę na nim imię Branda. Opieram go przy lampie tak, żeby go zauważył.

Patrzę na niego jeszcze raz. Wchłaniam go. Zapamiętuję jego silną twarz, wyrzeźbioną szczękę, wcięcie w policzku. Chciałabym jeszcze raz spojrzeć w jego oczy... niebieskie, koloru oceanu. Patrzyłam w nie setki razy.

Oczy, które mówią, że mnie kochają, nawet jeśli on nie wypowiedział jeszcze tych słów. Wiem, że mnie kocha. Widziałam to dzisiaj.

I to musi wystarczyć.

Schylam się i muskam jego czoło najdelikatniejszym z pocałunków. Wysuwam się w pokoju.

Wiem, że Jacey jeszcze nie wróciła, więc szybko biorę swoje rzeczy z jej pokoju, wypychając nimi torbę. Idę cicho przez

kuchnię, gdy otwierają się tylne drzwi i wchodzi Jacey.

Jest zaskoczona, że mnie widzi, i zaczyna się witać, ale nagle dostrzega torbę, którą trzymam w ręce. Jej oczy robią się szerokie.

– Czy ty... odchodzisz?

Przełykam ciężko ślinę, a potem przytakuję. Ruch jest bolesny jak skalpel albo miecz.

– I Brand nie wie – mówi Jacey słabym głosem.

Wpatruję się w nią, nie odpowiadając.

Robię krok przy niej, a ona chwyta mnie za łokieć.

– Nie wiem, czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie, ale nie widziałam go tak szczęśliwego od długiego czasu. Właściwie, to nigdy nie był taki szczęśliwy. To go zabije. Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego go zostawiasz.

Patrzę na nią, prosto w jej oczy.

– Ty go zostawiłaś.

– Ale my nie byliśmy nigdy razem – zaznacza. – Ty... ja... nieważne. To nie moja sprawa.

– Jacey?

Odwraca się po cichu, bo nie potrzeba słów. Wszystko jest zawarte w jej lodowatym spojrzeniu.

– Czasami rzeczy nie są takie, na jakie wyglądają. Czy możesz... po prostu... zaopiekować się nim!

Jacey kiwa głową lakonicznie. Jeden raz. I robię najcięższą rzecz w swoim życiu.

Odjeżdżam od Brandena Killiena.

Szlocham przez całą drogę na lotnisko.



## Rozdział 25

### BRAND

Łóżko jest puste, gdy się budzę. Mija minuta, zanim zdam sobie sprawę, że Nora już wstała. Przeciagam się i czekam, aż wróci, ale gdy mija dłuższa chwila, dochodzi do mnie, że nie przyjdzie.

Musi być na zewnątrz i rozmawiać z Jacey.

Potrząsam głową, wstając z łóżka. Co za popieprzona sytuacja. Ale jaka cudowna noc.

Gdy sięgam po spodenki, widzę papier.

Złożony. Ma wypisane moje imię i stoi oparty na biurku. Czuję, jak mój żołądek opada niczym kawałek ołowiu. Na stopy. Na podłogę.

To nie może być nic dobrego.

Nie chcę tego otwierać, ale jednocześnie czuję, że muszę.

Tracę czucie w ciele, gdy czytam liścik.

*Brand,*

*to było o wiele więcej, niż prosiłam. Przepraszam. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.*

*Nora.*

Nie miała tego na myśli.

Nie może.

Ale jednak. Odeszła. A ma swoim miejscu zostawiła tylko list.

Zwijam papier w kulkę i rzucam do kosza na śmieci i zanim mogę opanować mój gniew, rozwalam pięścią ścianę. Od uderzenia robi się dziura w płycie gipsowej. Małe kawałki gipsu rozlatują się po podłodze.

Nie mija dużo czasu, gdy wbiega Jacey.

– Jezu – wzdycha, patrząc na moją zakrwawioną dłoń i dziurę w ścianie. – Pójdę po ściereczkę.

Znika i wraca za minutę. Zmusza mnie, żebym usiadł na łóżka, i przyciska mokrą ściereczkę do mojej dłoni.

– Zapłacę za to – mamroczę.  
– Ściana mnie nie obchodzi – mówi do mnie. – Martwię cię o ciebie. Dasz sobie radę?

Warczę i odwracam wzrok.

– Oczywiście. To nie jest pierwszy raz, gdy nie jestem dla kogoś wystarczająco dobry.

Jacey wciąga powietrze i patrzy na mnie szerokimi niebieskimi oczami, w których widać ból.

– Przepraszam – mamroczę. – Nie jestem wściekły na ciebie. Jestem po prostu... kurwa.

Jacey pociera moje plecy. Kładzie rękę na moim ramieniu.

– Nie wiem, co powiedzieć. Przykro mi, Brand.

– To bzdura – mówię do niej i wstaję. – To nie ma sensu.

Ale dla mnie staje się jasne.

Nikt ze mną nie zostaje. Nigdy. Nieważne, jak dobry jestem. Jak silny się staję, jaką pracę wykonuję... nigdy nie jest wystarczająco dobrze.

Dla nikogo.

– Pieprzyć to.

Wychodzę zamaszystym krokiem z pokoju z zamiarem pójścia gdziekolwiek, żeby pozbyć się tego gówna z głowy.

Moje myśli kłębią się... mój ojciec, który mnie bił, matka, która mnie nienawdziła, Jacey, która mnie nie chciała... A teraz Nora. To wszystko krwawi. Nie mogę odróżnić tych emocji.

Jestem po prostu nie dość dobry.

Gdy idę przez salon, natykam się spojrzeniem na pieprzone drewniane pudełko. Podnoszę je, mocno chwytając. Symbolizuje jedną porażkę więcej.

Jacey podąża moim śladem i wpatruje się we mnie.

– Co to?

– Nie byłem wystarczająco dobry, żeby ocalić moją małą siostrę – mówię jej ostrym głosem. Słowa są bolesne. – Wiedziałaś?

Jacey potrząsa głową, a jej oczy robią się szerokie.

– Nie wiedziałam, że miałaś siostrę – odpowiada łagodnie.

Przytakuje.

– Tak. Miałem. Utopiła się, gdy miałem sześć lat. I nie byłem wystarczająco dobry, żeby ją powstrzymać. Przynajmniej to zawsze mówił mi mój stary... gdy bił mnie do nieprzytomności co noc. Te siniaki, które miałem, gdy byłem dzieckiem? To właśnie przez niego. Bo nie byłem odpowiednio dobry.

Jacey jest nadal kompletnie zmrożona.

– Nasza babcia wezwała pomoc społeczną – mówi mi. – Przyszli i wypytywali twojego ojca, ale nie mogli znaleźć wystarczających dowodów, żeby cię zabrać.

Oczywiście, że nie. Też to niewyraźnie pamiętam. Pewnego lata, gdy miałem dwanaście lat, wróciłem do domu, żeby się przebrać. Byli tam ci ludzie, dziwni ludzie w eleganckich kostiumach. Zadawali dużo pytań. Ojciec wpatrywał się we mnie znacząco i odpowiadałem im tak, jak by tego oczekiwał.

Dzieci są lojalne do końca.

Zgadnij, co? To jest koniec.

Chwytam pudełko, wpatrując się w zawile ozdoby, w sposób, w jaki sprytnie ukrywa swoją zawartość. Mocno i szybko rzucam nim przez pokój. Uderza o ścianę i spada w kawałkach na podłogę.

Nie robię żadnego ruchu w jego stronę, żeby zobaczyć, co jest w środku.

Jacey najpierw wpatruje się w rozwalone pudełko, a potem we mnie.

– Nie wiem, co stało się twojej siostrze – mówi łagodnie. – Ale wiem, że cokolwiek to było, ty nie jesteś temu winien.

Nie mogę się powstrzymać. Wszystko wzbiera we mnie i czuję, jak się topię. Siadam na krześle bezwładnie i wszystko ze mnie wychodzi. Wszystko.

Lunatykująca siostra. Jak zamykaliśmy ją dla jej bezpieczeństwa. Jak moja matka znalazła jej wyrzucone na brzeg ciało. Jej krzyki wstrząsnęły domem. Jak ojciec bił mnie co noc, gdy wracał z baru. Zadzwoń dzwonkiem, Brand. Jak podniósł na mnie rękę, gdy skończyłem liceum, i jak nadeszła moja kolej, żeby go pobić. Jak waliłem go pięścią i waliłem, aż moja matka

zadzwoiła na policj. Jak sędzia zawiesił mój wyrok, gdy usłyszał, że przyjęto mnie do West Point, ale tylko pod warunkiem, że wstąpię później do armii. Jak bardzo mi to pasowało, bo taki właśnie miałem plan. I jak matka nienawidzi mnie teraz.

Wszystko wyszło ze mnie.

Wszystko.

Jacey trzyma mnie za rękę, a łzy płyną jej strumieniami po twarzy. Słucha, jak daję upust wszystkiemu, co we mnie wezbrało, jak wyżalam się i przeklinam. Lata zniesmaczenia i goryczy przelatują przeze mnie. Pozbywam się wszystkich żalów.

Wszystkich.

Żalów.

Nawet tych, które związane są z nią.

– Wykorzystywałeś mnie przez lata – mówię jej w złości. – A ja ci pozwalałem. To moja wina. Zawsze myślałem, że nie jestem odpowiednio dobry... To coś, co mam mocno w sobie zakorzenione. Więc zawsze czułem, że na to zasługuję. Żeby ciągle przyjmować ciosy. Ale wiesz co? Pieprzyć to. Nie zasługuję na to.

Jacey ściska moją rękę mocniej.

– Nie, nie zasługujesz na to, Brand. I zawsze byłeś wystarczająco dobry. Zawsze. To ja nie byłam dość dobra dla ciebie. Twój ojciec był dupkiem. Twoja matka jest tak samo zła. Spieprzyli ci życie, ale ty jesteś silniejszy niż oni. Naprawdę. Jesteś dobry, silny i lojalny... i miałeś w sobie więcej z męczyzny w wieku sześciu lat niż twój ojciec kiedykolwiek. Musisz o tym wiedzieć, Brand. Musisz.

W końcu mam dość płaczu. Jestem bezwładny, zmęczony i wyczerpany.

Przytakuję.

– Tak. Wiem to. Spędziłem całe życie, starając się być odpowiednio dobrym. Myślę, że nadszedł czas, żebym po prostu... był sobą.

Jacey przytakuje i trzyma mnie, a ja zamykam oczy na minutę.

– Nie zasłużyłem na to, żeby Nora zostawiła mnie w środku

nocy bez słowa. Pieprzyć ją.

Otwieram gwałtownie oczy, a Jacey patrzy na mnie. Jej twarz jest blada.

– Idę pod prysznic – mówię jej i wstaję.

Jednak minutę później woła mnie Jacey.

– Tak? – opowiadam.

– Popatrzyłam do pudełka.

Jej słowa są proste, a ich ton spokojny.

Nagle chcę wiedzieć. Co, do cholery, miał do powiedzenia mój ojciec? Co mógł mieć mi do powiedzenia?

Idę zamasyżuje do salonu, w którym Jacey stoi nad pozostałościami po roztrzaskanym pudełku. Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Jej twarz jest blada, a oczy ogromne.

Z jej palców zwisa stary zamek od drzwi sypialni mojej siostry.

Schodzi z niego farba. Jest stary i zardzewiały, ale jestem z nim tak zżyty jak z własną ręką. Jeśli zamknę oczy, nadal słyszę dźwięk, który wydawał każdej nocy, zanim szedłem spać.

Jeśli zamknę oczy i wyobrażę sobie ten dźwięk, to zauważam coś... coś, o czym celowo nie myślałem przez te wszystkie lata, ale coś, o czym wiedziałem od momentu tej nocy, w której umarła moja siostra.

Tej nocy nie słyszałem dźwięku przekręcanego zamka.

Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

Jacey wpatruje się we mnie.

Ja patrzę na zamek.

– Wiedziałem, że mój ojciec nie przekręcił zamka w drzwiach Alison tej nocy – mówię w końcu. – Wiedziałem. Czekałem, aż wyjdzie do baru, i wymuskałem się schodami po przekąskę, coś słodkiego. Miałem przekręcić zamek w drodze powrotnej, ale zapomniałem. Przeszedłem tuż obok niego, ale zapomniałem. Tej nocy leżałem w łóżku, patrząc przez okno. Wpatrywałem się w srebrną kulę unoszącą się na wodzie.

Przestaję mówić, a cisza robi się coraz cięższa. Jacey czeka.

– To nie była kula – mówię wyraźnie. – To była moja siostra.

Oczy Jacey rozszerzają się jeszcze trochę, ale nic nie mówi.

– Więc przez cały ten czas moi rodzice mieli rację. Myślę, że to dlatego zawsze czułem, że zasługuję na to, co robi mi mój ojciec – przyznaję słowami bez wyrazu. – Wiedziałem, że jej drzwi nie są zamknięte i zapomniałem cokolwiek z tym zrobić. Ona nie żyje. I jest w tym tyle samo mojej winy, co wszystkich dookoła.

Wina, którą nosiłem całe moje życie, staje się teraz ciężarem, ogromnym ciężarem. Staje się żelaznym kamieniem u mojej szyi.

Spoglądam na Jacey.

– Więc teraz wiesz. Wszyscy cały czas mieli rację. Nie jestem po prostu wystarczająco dobry.

Łzy spływają po twarzy Jacey. Upuszcza zamek, który upada na podłogę z ciężkim hukiem. Jacey gwałtownie zanurza twarz w mojej piersi i płacze. Ale tym razem nie szuka pocieszenia. Tym razem to ona pociesza mnie.

– Brand, jesteś niesamowity. Tak bardzo niesamowity. Miałeś sześć lat. Nie mogłeś wiedzieć w żaden sposób, że twoja siostra wstanie z łóżka tej nocy. To nie ty byłeś odpowiedzialny za to, żeby drzwi były zamknięte, tylko twoi rodzice. Ludzie są beznadziejni, bo zawsze muszą znaleźć kogoś, kogo mogą obwinić za całe gówno... z wyjątkiem siebie samych. Nosiłeś tę winę zbyt długo... a to nie twój ciężar. On należy do twojego ojca. I sądzę... może... w ten sposób chciał to powiedzieć.

Spoglądam na nią, jak ociera łzy.

– Patrz – wskazuje drżącą ręką na wnętrze drewnianej pokrywki. Widać na niej kunsztownie napisane wyraźne słowa.

„To ja”.

– Myślę, że w końcu cię uwolnił.

Cisza domu jest ogromna i pełna czci.

Wina mojego ojca nie jest już moim ciężarem.

Ponieważ szopa mojego ojca znajduje się kilkaset metrów od jego domu, to nie spaliła się podczas pożaru.

Tego ranka stoję w wejściu do niej, rozglądając się badawczo. Staram się nie myśleć o wielkiej dziurze, którą zostawiła po sobie Nora.

Odeszła.

Nie mogę w to uwierzyć. I czuję to w całym sobie. Każda komórka w moim ciele jest w szoku. Każdy molekuł krzyczy z bólu.

Pieprzyć to.

Robię kilka kroków do środka. Podnoszę niedokończone prace w drewnie. Odeszła, bo jej nie wystarczałem. Nie jestem dostatecznie dobry.

Stare uczucia niedowartościowania uderzają we mnie. Raz za razem. A ja ryczę, roztrzaskując drewno, które trzymam w ręce, o stół.

Pieprzyć ją.

Zaczynam zbierać wszystkie niedokończone projekty mojego ojca i przenosić przez warsztat, układając je schludnie w rogu. Wyrzucę je później. Muszę zrobić kilka kolejek, bo mój ojciec zostawił po sobie tony projektów. Ale potrzebuję czegokolwiek, żeby zająć swoje ręce, czegoś, co powstrzyma mnie od wybijania dziur w ścianach.

Zatrzymuję się i przypominam sobie, jak mój ojciec krzątał się tutaj godzinami. Byłem wdzięczny za dźwięk pił, bo to oznaczało, że prawdopodobnie nie pójdzie do baru. A jeśli nie szedł do baru i nie upijał się, to nie musiałem bać się jego gniewu.

Gdy sięgam po kolejną garść drewna, zerkam na czerwone metalowe pudełko, które wystaje spod ławki. Schylam się i wyciągam je, spodziewając się znaleźć w nim narzędzia.

Ale pudełko jest pełne stert papierów. Gazety, listy z West Point, wycinki. Wszystko dotyczy mnie. Ojciec zbierał o mnie informacje przez wszystkie te lata. Wiedział, że ukończyłem West Point, że zaciągnąłem się do Rangers i że zostałem wysłany do Afganistanu. Wiedział nawet, że zostałem odznaczony Purpurowym Sercem. Był zbyt dumny, żeby się ze mną skontaktować, ale obchodziło go moje życie.

Na minutę moje serce mięknie.

Życie naprawdę nie jest czarno-białe.

Pieprzyć życie. To mściwa suka.

Odrzucam pudełko, podchodzę do lodówki w rogu i wyciągam piwo. Po moim ojcu zostały przynajmniej dwie skrzynki. Chłodne i gotowe dla mnie. Po namyśle odwracam się i biorę jeszcze dwa. A potem idę do krzesła przy jego biurku. Kładę nogi na blacie i odchylam się na krzesło, otwierając pierwszą puszkę. Dwie kolejne czekają na mnie w rzędku.

Tak, nie ma jeszcze nawet południa.

Pieprzę to.

Jest tu gorąco jak w piekle, ale to też mnie nie obchodzi. Po prostu gapię się przez okno i wychylam jedno zimne piwo.

Nie obchodzi mnie zbiór wycinków mojego ojca, pieprzone pudełko ani to, że w końcu uwolnił mnie od swojej winy.

Jedyne, co mnie obchodzi, to Nora.

Dlaczego, do cholery, dałem się w to wciągnąć? Wiedziałem od początku, że Nora chce mnie tylko na lato. Że potrzebowała mnie tylko do spełnienia jakiejś głupiej, pieprzonej fantazji z liceum. Wiedziałem to.

Ale dałem się wciągnąć.

Bo jestem cholernie głupi, a ona sprawiała, że czułem się dobrze.

Cóż, pieprzyć to. Nie czuję się teraz najlepiej.

Zgniatam puszkę i rzucam ją na bok, biorąc drugie piwo.

Otwieram je z trzaskiem.

– Masz zamiar tu siedzieć i pić cały dzień?

Słyszę głos Jacey zza swoich pleców. Biorę łyk.

– Taki jest plan.

Obchodzi mnie łagodnie, przysiadając na brzegu biurka.

Nadal ma na sobie szorty i japonki.

– Nie miałaś rano lotu? – pytam ją, biorąc kolejny długi łyk.

Potrzęsa głową.

– Miałam, ale nie zostawię cię teraz.

Patrzę na nią.

– Och, och. Wsiadaj do tego samolotu, Vincent. Poradzę sobie.

– Nie. Opiekowałeś się mną przez pięć milionów moich



rozstań. Mogę zająć się tobą z powodu jednego.

Wychylam piwo i sięgam po trzecie.

– Nie. Naprawdę nie chcę, żebyś tu była, Jace. Kocham cię i w ogóle, ale muszę zostać sam. Będę zachowywał się jak kretyn przez kolejne kilka dni. Nie powinnaś tu zostawać.

Zaczyna protestować, mówić mi, jaką była suką, i bla bla bla, ale przerywam jej, unosząc na nią spojrzenie.

– Naprawdę, Jacey. Doceniam to, ale wracaj do męża. Muszę być sam.

Otwiera usta i zamyka je. Patrzy na mnie przez dłuższy czas, a potem zaczyna kiwać głową.

– Tak sądzę. Jeśli tego chcesz. – Robi kilka kroków w kierunku drzwi, ale obraca się. – Brand, jedną z najlepszych w tobie rzeczy jest twoje serce. Mogłeś okazać się kretynem z powodu twojego gównianego dzieciństwa, ale poradziłeś sobie z tym. Stałeś się najlepszym człowiekiem, jakiego znam. Nie pozwól niczemu tego zmienić. Proszę.

Prycham, unosząc trzecią puszkę do ust.

– Nieważne, Jace. Spójrz, gdzie to mnie zaprowadziło. Mili chłopcy przegrywają. Za każdym. Pieprzonym. Razem.

Odwracam się do niej plecami, spoglądając za okno. Wypijam kolejne piwo. W tym tempie zrobię dzisiaj pewnie całą skrzynkę. No i w porządku.

Słyszę za sobą Jacey. Waha się, próbując się zdecydować, co mi powiedzieć. Wkurwia mnie to.

– Po prostu idź, Jacey – mówię jej stanowczo. – Szczerze. Bezpiecznej podróży.

Podbiega do mnie, rzucając mi się na szyję i mocno przytulając. Jej ręce zaciskają się na moim gardle i muszę je odepchnąć, żeby oddychać.

– Co do cholery?

Spogląda na mnie wilgotnymi oczami.

– Przykro mi, że cię zraniła, Brand. To do dupy. Nie wiem, dlaczego odeszła, ale ty zasługujesz na szczęście.

Odwracam wzrok.

– Taaa. Ale wiesz, co mówią...

– A co mówią?

Z wejścia dochodzi nas głos. Francuski akcent.

Jezu. Czy ludzie nigdy tu nie pukają?

Camille Greene stoi elegancko w szopie. Nie pasuje do tego kurzu i trocin tak samo jak Maxwell do ganku.

Przenosi wzrok z Jacey na mnie. Z zaciekawieniem w niebieskich oczach patrzy, jak Jacey wisi u mojej szyi. Ale nic więcej nie mówi.

– Nieważne, co mówią – mamroczę i delikatnie odpycham Jacey z kolan. Patrząc na nią stanowczo. – Wracaj do Anglii, do męża. Poradzę sobie.

Przytakuje.

– Ale zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebował.

Robi krok, potem drugi i odwraca się.

– Muszę jeszcze powiedzieć jedną rzecz. Nie znam jej dobrze, ale Nora nie wyglądała jak ktoś, kto chce odejść, Brand. Nie wiem dlaczego miałyby odchodzić, ale to nie był jej wybór.

Szarpię głową.

– Dlaczego tak mówisz?

Jacey potrząsa głową.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. To było w jej spojrzeniu.

W jej spojrzeniu. Boże. Tylko kobieta mogłaby powiedzieć coś takiego.

Jacey odwraca się i mija Camille, która wchodzi do szopy.

– Nie chciałam cię nachodzić – mówi z elegancją. –

Przepraszam.

– Skąd wiedziałaś, że mnie tu znajdziesz? – pytam ją z ciekawością.

Wzrusza swoimi smukłymi ramionami.

– Nie było cię w tamtej chatce. Wiedziałam, że tu jest dom twoich rodziców. Więc przyszłam.

Patrząc na nią, na jej jedwabny kostium i idealnie uczesane włosy, jej klejnoty. Jej kosztowny gust.

– Dlaczego? – pytam surowo, tak jak się czuję.

– Bo zgadzam się z twoją przyjaciółką. Moja córka uciekła i nie sędzę, żeby tego chciała. I potrzebuję twojej pomocy, żeby ją tu sprowadzić.

Przez jedną sekundę czuję, jak wzbiera we mnie nadzieja, ale wtedy pryham i odwracam się, bo przypominam sobie, dlaczego Nora uciekła.

– Nora uciekła ode mnie – odpowiadam chłodno, wstając i podchodząc znowu do lodówki. Biorę kolejne trzy piwa i wracam.  
– Bo nie jestem tym, czego chce, i nie chciała być tu już dłużej. Więc niezbyt wiele tu pomogę.

Camille podchodzi do mnie i kładzie rękę na moim ramieniu. Jest smukła i chłodna, a ja patrzę na nią. Na jej twarzy widzę ból i zmartwienie. Widzę stąd, że jest zmęczona. Tak jakby nie spała.

– Nora wysłała mi wiadomość w środku nocy – kontynuuje Camille, bo ja nie mówię ani słowa. – Była bardzo dziwna. Wiem, że wiesz, że z naszą rodziną nie jest dobrze. Czuję, że mogę ci zaufać... że mogę ci o tym powiedzieć.

Robi duży wdech.

– Powiedziałam Norze, że jeśli William kiedykolwiek ją skrzywdzi, to ma przyjść do mnie, a nie do ojca. Bo ona nie wie o pewnych rzeczach. Maxwell nie jest... cóż, teraz to nieważne. Ale ważne, że do mnie napisała. Oto wiadomość.

Wyciąga telefon z torebki, odnajduje SMS i wręcza mi.

„Mamo,

miałaś rację. William to potwór. Ale mam zamiar coś z tym zrobić. Możesz nie zobaczyć mnie przez jakiś czas. Ale kocham cię. Nie martw się. Tak czy inaczej, wszystko skończy się dobrze”.

Te słowa, tak proste i oficjalne, przecinają mnie na wylot, a dreszcz przebiega mi po plecach. To w ogóle do Nory niepodobne. ... chyba że jest zdesperowana. A tak właśnie brzmi.

Co, do cholery, przegapiłem?

– Co ma na myśli, mówiąc, że coś z tym zrobi? – pyta mnie szeptem Camille. Marszczy czoło i zaciska palce na moim ramieniu. – Co ona ma zamiar zrobić?

Potrząsam głową powoli z boku na bok, starając się

zrozumieć te słowa.

– Nawet nie wiem, co się stało. Poszła wczoraj do pracy... Powiedziała, że musi spotkać się z ojcem, który miał jej dać jakieś dokumenty. Gdy wróciła, zachowywała się dziwnie.

Mój głos słabnie, a Camille właśnie potrząsa głową.

– Nie spotkała się wczoraj z Maxwellem. Był cały dzień w domu.

Patrzemy na siebie, a Camille już wyciąga telefon.

Wybiera numer i czeka.

– Halo? Darleen? Tu Camille. Kochanie, nie mogę dodzwonić się do Williama. Jest w podróży?

Przestaje mówić.

– Wylatuje do Dubaju z San Francisco? Firmowym samolotem?

Pauza.

– Okej. Jest jedynym pasażerem na liście?

Kolejna pauza. Nasze spojrzenia spotykają się.

– Okej. Cóż, w takim razie zadzwonię do Nory. Dziękuję, Darleen.

Rozłącza się i widzę, że jej palec drży.

– Co się dzieje?

Spogląda na mnie ponownie.

– William i Nora lecą służbowym samolotem do Dubaju dziś wieczorem. Mieli wylecieć po południu, ale były jakieś opóźnienia na lotnisku. Coś z rozkładem lotów. Nieważne. Ważne jest, że Nora leci z Williamem. Nie ma powodu, dla którego miałyby to zrobić, chyba że on ją do tego zmusił.

Mój żołądek opada, a włosy jeżą mi się na karku, gdy przypomnę sobie, jak William patrzył na Norę podczas przyjęcia, jak rozbierał ją wzrokiem. Nadal przyprawia mnie to o dreszcze.

Camille kładzie mi rękę na ramieniu.

– Proszę, wiem, że zależy ci na Norze. Wiem, bo to widzę. Nie zostawiła cię z własnej woli. Czuję to. Wiem to. William to zły człowiek. Nora jest... czuje się uziemiona w życiu, bezradna. Ale wiem o czymś, co może ją uwolnić. Proszę. Nie odbierze telefonu.

Pomożesz mi dostać się do niej? Czuję, że planuje coś...  
przerażającego.

Sformułowanie w jej wiadomości jest dziwne. „Tak czy  
inaczej, wszystko skończy się dobrze”.

Tak albo jak?

Przytakuję.

– Okej. Pomogę. Ale San Francisco to duże miasto. Raczej  
nie będziemy wiedzieć, gdzie będą aż do czasu lotu.

Camille potrząsa głową.

– Wiem dokładnie, gdzie będą. San Francisco leży o  
trzydzieści minut drogi od mieszkania Nory. Zatrzymała je, mimo  
że ojciec kazał jej je sprzedać. Powiedziała mi, że potrzebuje  
własnego miejsca. Miejsca, gdzie może być sama. Nie ma żadnego  
dobrego powodu, dla którego Nora zabierałaby do swojego  
mieszkania Williama. Ale wiem, że to zrobi, mimo że go nie cierpi.  
Mimo że się go boi. Darleen powiedziała mi, że William jest już w  
Kalifornii. O wiele za wcześnie przed ich odlotem. Więc co on  
planuje robić aż do wieczora?

Camille mówi szybko głosem chłodnym i przerażonym.

I wiem, że ma rację. Musimy się tam dostać. Nora nigdy nie  
zgodziłaby się zostać sam na sam z Williamem.

Ukrywała coś przez ten tydzień. Była niecierpliwa, nerwowa  
i niespokojna. Nie wiedziałem dlaczego.

Poczucie pilności naciska na mnie i mój instynkt budzi się z  
wrzaskiem do życia mimo odurzenia piwem. Dzieje się coś bardzo  
złego, a ona powiedziała tylko, że jest w porządku.

Instynkt podpowiadał mi dobrze. Nie jest w porządku.

Kłamała.

Wyciągam telefon i próbuję się do niej dodzwonić, ale cały  
czas zgłasza się poczta.

– Noro, oddzwon, kiedy to odsłuchasz. To ważne.

Patrzę na Camille.

– Chodźmy.

Przytakuje i bierze mnie za rękę.

– Greene Corp ma jeszcze jeden samolot w O-Hare. Możemy

go użyć.

Serce wali mi o żebra, gdy pędzimy drogą w mercedesie Camille. Adrenalina przepływa przeze mnie i zdaję sobie z czegoś sprawę, zdumiony.

Powodem, dla którego jestem tak zdruzgotany odejściem Nory... jest to, że ją kocham.

Muszę jej to powiedzieć, gdy do niej dotrzemy. Bez względu na to, czy będzie chciała zostać, czy odejść. Musi wiedzieć, a ja muszę wypowiedzieć te słowa.

## Rozdział 26

NORA

Mrozi mi krew w żyłach, gdy otwieram drzwi do mojego mieszkania i rozglądam się.

Wszystko jest na swoim miejscu. Dokładnie tak, jak kiedy pakowałam się do Angel Bay kilka tygodni temu.

W mieszkaniu jest nadal przytulnie, schludnie i czysto. Niezbyt wymyślnie, ale dla mnie idealnie. Właśnie tego potrzebowałam, gdy szłam na studia. Mogłabym mieszkać tu na zawsze.

Nie zamykam drzwi wejściowych na zamek. Kładę torbę przy kuchennym stole i opadam na krzesło, chowając głowę w rękach.

Wszystko się zmieniło w tak krótkim czasie.

Kilka tygodni temu dokładnie wiedziałam, jak wyglądać będzie moje życie, i nawet jeśli tego nienawidziłam, to z rezygnacją byłam na nie zdecydowana. W końcu jestem Greene. Robię, co, do cholery, należy.

Ale potem... pojawił się Brand i wszystko się zmieniło.

Nie mogę tak dalej.

Nie mogę.

Jestem zdeterminowana i już się nie boję. Mój ojciec ma ze mną przypieczętowany kontrakt, który wiąże mnie z nim na dwadzieścia lat. William ma informacje na temat Branda, które mogą go zrujnować... i zrujnuje go, jeśli nie będę mu posłuszna.

Jest tylko jedno, co mogę zrobić, żeby przetrwać.

Muszę zająć się Williamem, a potem uciec.

Schowam się tam, gdzie mój ojciec mnie nie znajdzie.

To wszystko, co jestem w stanie zrobić.

Nagle czuję, że obejmuje mnie dziwny spokój i mam wrażenie, że oglądam wszystko z daleka, z zewnątrz mojego ciała.

To nie jestem ja. To nie jest moje życie.

Wkrótce będzie po wszystkim.

W ten lub inny sposób.  
Podnoszę się i spokojnie idę do sypialni.  
Stając na palcach, sięgam do górnej półki mojej szafki i  
wyciągam stamtąd pudełko.  
Wewnątrz błyszczy w świetle srebrny 9 mm.  
Nigdy nie przypuszczałam, że będę miała jaja, żeby go użyć.  
Nigdy nie myślałam, że będę w stanie.  
Ale, och, wszystko się zmieniło.  
Przeciągam palcem po zimnym metalu, zanim wyciągam  
pistolet z pudełka i naładuję go.  
Bardzo, bardzo spokojnie rozbieram się i siadam na łóżku  
tylko w czarnym staniku i majtkach. Podkulam nogi i czekam na  
środku łóżka.  
Wkrótce będzie po wszystkim.  
W ten lub inny sposób.  
Patrzę przez okno na ocean. Rozbija się o brzeg, a żaglówki i  
deski do wiosłowania unoszą się na falach. Ludzie na nich są  
beztroszy i szczęśliwi. Są normalni.  
A ja jestem splamiona, wynaturzona i zużyta.  
Ale to wszystko się dzisiaj skończy.



## Rozdział 27

### BRAND

Wpatruję się w skrzydła samolotu, gdy schodzimy w dół wśród chmur, w kierunku ziemi.

Nie mogę skupić się na niczym oprócz twarzy Nory ostatniej nocy.

Jej oczy były tak szerokie, gdy patrzyła na mnie w ciemności. Gdy w nią wszedłem, westchnęła delikatnie i wyszeptała przy mojej szyi.

„Uczyń mnie dobrą, Brand”.

Wypowiedziała te słowa tak cicho, że nawet nie przypuszczałem, że chciała coś powiedzieć.

Ale teraz te słowa skręcają się w moim sercu.

„Uczyń mnie dobrą”.

Bo uważa, że nie jest dobra. Myśli, że jest zużyta.

Nic niewarta.

Ze względu na to, co zrobił jej ten pieprzony dupek.

„Uczyń mnie dobrą, Brand”.

Zaciskam zęby i przekręcam na siedzeniu. Muszę się do niej dostać. Natychmiast.

Ona jest całym dobrem na świecie. Tylko jeszcze tego nie wie.

Zniszczę go, jeśli jej dotknał.

Będzie błagał o litość.

Ale nie dam mu jej.

## Rozdział 28

### NORA

Siedzę wyprostowana i sztywna jak struna.

Zegar tyka. Mijają minuty.

Sekundy.

Chwile.

Miałam za mało czasu z Brandem tego lata. To wszystko minęło tak szybko. A teraz, gdy go zostawiłam, sekundy trwają tak długo. Są jak brzytwa na mojej skórze, która przesuwa się boleśnie i koszmarne wolno.

Mogę to zrobić.

Jestem odważna.

Jestem odważna.

Jestem cholernie odważna.

„Bycie odważnym nie oznacza, że się nie boisz, Nora. To znaczy bać się, ale robić coś mimo strachu”.

Samo wspomnienie głosu Branda, jego słów, sprawia, że się uśmiecham, ogrzewa moje serce i utwierdza mnie w mojej decyzji.

Jak William śmiał mu grozić?

Mogłam tchórzyc bez końca, gdy groził mnie, ale nie Brandowi.

Tu właśnie spieprzyli sprawę.

Drzwi wejściowe otwierają się. Słyszę zatrzask i przekręcaną gałkę. Unoszę podbródek.

Jestem cholernie odważna.

Jestem cholernie odważna.

Sięgam pod brzeg materaca. Moje palce wyciągają się i czują. Zimny metal jest tym, czego szukają. Jest tam... w zasięgu ręki. Czeka ukryty.

Wszystko się dzisiaj skończy.

W drzwiach do sypialni pojawia się wypolerowany mokasyn. Unoszę spojrzenie na nogi i do pasa, w górę do piersi i w końcu na twarz, z której patrzą na mnie surowe, brązowe oczy.

– Nora – mówi mój ojciec, na którego ręce wisi aparat. –  
Widzę, że jesteś gotowa.

Mierzy mnie wzrokiem. Całą mnie. Moje nagie nogi, piersi  
wylewające się ze stanika, nagą skórę, ręce i twarz. Wszystko jest  
na widoku.

Mój ojciec i wujek.

Rzeczywistość, w której się znajduję, napiera na mnie.

Jestem splamiona.

Jestem zużyta.

Ale to wszystko kończy się dzisiaj.

Jeszcze tylko jeden raz.

Jeszcze.

Jeden.

Raz.

Rozluźniam zaciśnięte zęby i kładę się na łóżku, rozkładając  
nogi, tak jak lubią.

– Greene robi, co trzeba – mówię chłodno ojcu. – Ty mnie  
tego nauczyłeś.

Ojciec przytakuje ze spojrzeniem utkwionym między moimi  
nogami. Robi zdjęcie. Potem dwa i trzy.

– Zaczynacie beze mnie?

Wchodzi William. Ubranie ściągnął pewnie w salonie i jest w  
samej bieliźnie. Jest blady, pomarszczony i zwiotczały. Wykręca  
mnie w żołądku, ale ignoruję to.

Jestem cholernie odważna.

– Ściągnij biustonosz dla wujka, Nora – mówi mój ojciec ze  
wzrokiem drapieżcy. – Wiesz, co lubi.

Robi kolejne zdjęcie. Znowu. Potem znowu.

Tak jak ostatnim razem, mój ojciec stoi w rogu za aparatem,  
pieszcząc się, podczas gdy jego brat obściskuje mnie. I tak jak  
ostatnio, jest ostrożny, żeby nie być na zdjęciach. On tylko je robi  
po to, żeby William mógł sobie przy nich później trzepać.

William wczołguje się na łóżko na czworaka, a jego biały  
zwiotczały penis zwisa nad pościelą. Odpycham nogi, z dala od  
jego skóry, nie chcąc go dotknąć.

Zaciskam mocno oczy, przygotowując się.

Zrobię to.

Jestem cholernie odważna.

– Otwórz oczy, Nora – mówi mi do ucha William. Od jego cuchnącego oddechu robi mi się gorąco na twarzy. – Chcę cię zobaczyć, kiedy będę cię pieprzył.

Porusza się nade mną, unosząc się i ustawiając w pozycji, a ja sięgam na bok, pod brzeg materaca. Moje palce zaciskają się na zimnej stali.

I wtedy otwieram oczy.

I wtedy też mój oddech zastyga na ustach.

Wpadając przez drzwi z piekielną furią w oczach, nadchodzi mój mściwy anioł.

## Rozdział 29

### BRAND

Opanowuje mnie gniew. Jest jak chmura, jak tarcza, gdy wchodzę z rykiem do pokoju.

Pięścią wymierzam cios w twarz Maxwella Greene'a, trzaskając nim o ścianę. Szybkim ruchem kopię butem jego chuja, miażdżąc go. Zostawiam go skomlącego na podłodze.

Jednym skokiem chwytam Williama za szyję i wyszarpuję z łóżka, roztrzaskując jego twarz o ścianę. Bardziej i bardziej, i jeszcze bardziej.

Nic nie widzę, nie słyszę i nie czuję.

Po prostu jestem.

Jestem rozwścieczony.

Jestem jak robot zaprogramowany na zemstę i chronienie tego, co należy do niego. Walę Williama, dopóki jego twarz nie zamienia się w wilgotną masę. Gniew pulsuje mi w żyłach, przepychając złość przez serce i napędzając mnie.

– Brand!

Głos Nory przedziera się przez chmurę i zatrzymuję się w połowie uderzenia, z pięścią zastygłą w powietrzu. Odwracam się, a ona czeka przygotowana na łóżku, trochę zabłąkana, piękna i niepokojąca, ze srebrnym pistoletem wymierzonym w pierś Williama.

– Odsuń się – mówi do mnie spokojnie, głosem opanowanym i łagodnym.

Puszczam Williama i wycofuję się ze spojrzeniem utkwionym w jej twarzy.

William leży nieprzytomny na podłodze. Krew cieknie mu strużką z ust i bulgoce w nosie. Maxwell jęczy za nim z rękoma ściskającymi jego zmiażdżone krocze.

– Nora – mówię łagodnie, wpatrując się tylko w nią. Widzę w jej spojrzeniu, że naprawdę chce to zrobić. Nie chce go tylko okaleczyć.

Chce go zabić.

– Nora, wiem, że cierpisz. To, co zrobili, jest nie do pomyślenia, ale nie chcę, żebyś splamiła sobie ręce ich krwią. Nie wiesz, jak to jest. Nie zasługujesz na to, żeby wiedzieć. Nie skrzywdzą cię teraz, Nora. Wezwiemy policję. Będzie po wszystkim.

Nora mierzy pistoletem w pierś Williama, ale patrzy na mnie dużymi niebieskimi oczami.

I zimnymi.

– Brand, nie rozumiesz – mówi zwyczajnie. – Nie mogę od nich uciec. William cię zniszczy. Wie o twojej przeszłości... o ataku na ojca i jak za sprawą sędziego zaciągnąłeś się do wojska. Wykorzysta to, żeby zniszczyć twoją firmę, bo zna ludzi w Waszyngtonie. A mój ojciec...

Przemawiam, starając się najlepiej, jak potrafię, pozostać spokojnym, żeby odwieść ją od tego pomysłu.

– Nora, oni nie mogą mnie zrujnować. Zawsze miałem być w Rangers. O tym marzyłem, odkąd byłem dzieckiem. Chciałem chronić ludzi przed złem, takim jak mój ojciec. Sędzia o tym wiedział. Widział, jak wygląda sytuacja, i dał mi wybrać. Nora, oni nie mogą mnie skrzywdzić.

Ale ona jest niewzruszona, a jej głos jest pełen pogardy.

– Nie widzisz? Nieważne, jaka jest prawda. William ma znajomości w Pentagonie, gdzie uwierzą mu we wszystko, co im powie. Jeśli będzie chciał cię zniszczyć, to zrobi to. A to nie wszystko. Podpisałam kontrakt, który wiąże mnie z ojcem na dwadzieścia lat. Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę. Muszę zakończyć to dzisiaj, Brand. Dzisiaj jest koniec.

Na dźwięk jej zrezygnowanego głosu serce podskakuje mi do gardła. Szczególnie kiedy widzę jej trzęsącą się rękę. Ona to robi.

Naprawdę. Chcę rzucić się i wyrwać jej broń, ale zbyt się boję, że może się zranić, kiedy będzie mi się opierać. Nie mogę tego zaryzykować.

Patrzę na nią ostrożnie, rozważając różne opcje, ale wtedy wchodzi Camille. Jej zaszokowana i nieruchoma twarz w końcu

porusza się, żeby przemówić.

– Moje kochanie – nuci, przesuając się w kierunku łóżka. – Jest tyle rzeczy, o których musisz wiedzieć. Proszę... odłóż broń. Oni nie mogą cię już skrzywdzić. Nie mogą.

Nora potrząsa głową.

– Odsuń się, *maman*.

Ale Camille odmawia.

– Nora, musisz o czymś wiedzieć... o czymś, czego nigdy nie miałam odwagi ci powiedzieć. Spójrz na mnie.

Nora zatrzymuje się, ale nie patrzy na mamę. Celuje bronią w Williama.

– Po prostu mi powiedz.

Camille przemawia szczerym głosem.

– Nora, nie jesteś córką Maxwella. Twój kontrakt zostanie unieważniony. Zresztą nigdy nie był ważny.

Ta wiadomość sprawia, że Nora nieruchomieje. Coś w końcu odwraca jej uwagę. Patrzy na mamę zmieszana.

– Nie jego? – Patrzy na dwójkę zakrwawionych mężczyzn. – Co masz na myśli?

Za jej zakłopotaniem czai się niewielki odcień nadziei.

Camille patrzy na nią z miłością, strachem i obawą.

– Nie jesteś Greene. Maxwell Greene nie jest twoim ojcem. A to oznacza, że kontrakt, który podpisałaś i w którym widniejesz jako jego córka, jest nieważny. On nie może cię zatrzymać przy sobie. Nie może cię już do niczego zmusić.

Oczy Nory napęniają się łzami, a usta drżą.

– To niemożliwe. Jak...

Camille potrząsa głową.

– Porozmawiamy o tym, jak już odłożysz broń, kochanie. Proszę. Po prostu oddaj Brandowi broń. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Będzie dobrze.

Każda sekunda wydaje się rokiem, gdy patrzę, jak ręka Nory drży, gdy zaciska broń i w końcu kieruje spojrzenie na matkę. Zimny, pusty wyraz zniknął z jej twarzy, a zamiast tego jej oczy napęniają się nadzieją.

– Jeśli mówisz prawdę... w takim razie... oni nie są...  
William nie jest... moim wujkiem i...  
Łza przedziera się przez powiekę i spływa w dół jej policzka.  
– Nie jestem...  
Odzywam się.  
– Nie jesteś zużyta, Nora – mówię jej cicho. – Nigdy nie  
byłaś. To, co ci zrobili, było chore i złe. I wyślemy ich do  
więzienia, bo zasługują na to, żeby tam zgnić.  
Broń trzęsie się i opada z jej boku. W końcu mogę  
bezpiecznie podejść do przodu, obejmując dłonią lufę, i ostrożnie  
zabrać ją z jej ręki.  
Opada na mnie, tonąc w moich ramionach z głową opartą o  
moją pierś.  
– Słyszę twoje serce – mówi powoli. Wiem, co robi. Robiłem  
tak tysiące razy w walkach. Usuwa się z całego zdarzenia. Ludzie  
robią to, żeby przeżyć, żeby odgrodzić się od obrzydliwości i nie  
pozwolić im się przytłoczyć.  
– Bije dla ciebie – odpowiadam, przytrzymując ją blisko. –  
Tylko dla ciebie.  
Odwracam się do Camille, żeby powiedzieć jej, że ma  
zadzwoić po policję, ale ona właśnie rozmawia przez telefon,  
mówi szybko, chodząc tam i z powrotem, kiedy ustala coś z  
dyspozytorem. Patrzę w dół i widzę, że ma zakrwawione buty.  
Nora spogląda na mnie zamglonymi, odległymi i  
nieobecnyymi oczami.  
– Stoisz przy murze, żeby chronić to, co należy do ciebie. –  
Jej słowa są proste.  
Przytakuję.  
– Ty jesteś moja.  
Zamyka oczy i spoczywa na moich ramionach.  
Kiedy przyjeżdżają sanitariusze, nie pozwalam im jej wziąć.  
Sam niosę ją do karetki.



## Rozdział 30

NORA

Boję się obudzić. Boję się, że kiedy się obudzę, to wszystko okaże się snem, i że tak naprawdę się nie skończy. Nie uwolnię się.

Ale otwieram oczy i widzę Branda przy moim szpitalnym łóżku.

Jego uśmiech jest najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałam.

– Hej – mówi ochryple głosem pozbawionym snu. – Witamy z powrotem.

Spoglądam w dół na swoją ręką, którą obejmuje, i patrzę na zegarek. Spałam prawie dwadzieścia cztery godziny.

Mrugam oczami, zmieszana.

– Lekarze dali ci środek uspokajający – wyjaśnia Brand, widząc mój pytający wzrok. – Dużo przeszłaś i musiałaś się porządnie wyspać, zanim do siebie dojdiesz.

– Byłeś tu cały czas. – Brzmi to raczej jak stwierdzenie niż pytanie. Bo już wiem. Czuję go przy sobie.

Przytakuje.

– Tak.

Patrzę na niego.

– Ocaliłeś mnie.

To się działo naprawdę.

Mruży oczy.

– Byłaś zdeterminowana ocalić siebie. Broń... Jezu, Nora.

Na sekundę zamyka oczy, a potem znowu je otwiera.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego mi nie zaufałaś?

Potrząsam głową, zaciskając jego rękę.

– Nie chodziło o zaufanie. Chodziło o... upokorzenie, uwięzienie i bezradność. Nie potrafię ci wyjaśnić, co się czuje, kiedy wie się, że twój własny ojciec i wujek... wykorzystali mnie... Byłam dla ciebie zbyt splamiona, Brand. Zbyt zbrukana. Nie mogłeś być z kimś takim jak ja.

Nie daję rady kontynuować. Brand zaciska moją dłoń, unosząc mój podbródek, żebym na niego spojrzała.

– Nie jesteś splamiona. Ani zużyta. Zmusili cię. Nie miałaś wyboru. Ale teraz to oni nie będą mieć wyboru. Idą do więzienia. Nigdy cię już nie skrzywdzą. A to nie był twój ojciec ani twój wujek.

Tak jakby wiedział... Wie, że to wielka różnica. Tak, ale nadal zostałam zgwałcona. Ale przynajmniej nie przez własnych krewnych.

– Kim ja jestem? – pytam go łagodnie, wpatrując się w jego niebieskie, niebieskie oczy. – Jeśli nie Greene, to kim?

Potrzęsa głową.

– Nie wiem. Twoja mama zaraz tu wróci. Właśnie wyszła po kawę. Ona zna odpowiedzi na wszystkie twoje pytania, Nora. Ale ja mogę powiedzieć ci jedno. Dla mnie nie ma znaczenia, kim jesteś. Bo już wiem. Jesteś piękna, inteligentna i odważna. I kocham cię. Kocham cię całą bez względu na twoje nazwisko.

Wciągam powietrze i zaczynają lecieć mi łzy, spływając gorącymi strumieniami po twarzy i skapując na mój szpitalny szlafrok.

– Ja cię też kocham – wykrztuszam z siebie, przyciskając do niego twarz i mocno zaciskając oczy.

To nie może dziać się naprawdę.

Nie może.

Ale dzieje się.

Brand Killien mnie kocha.

Głaszcze mnie po plecach, przesuwał ręką po łopatkach. Ujmuje moją twarz w swoje ręce i patrzy w moje oczy.

– Nie zatoniesz, Nora – mówi do mnie stanowczo. – Byłaś rzucona przez fale, ale nie zatoniesz. Nieważne, co się będzie działo.

Mój tatuaż. *Fluctuat nec mergitur*. Wie, co znaczy. Uśmiecham się przez łzy i przytakuję.

Nie zatonę. Na pewno.

– *Ma belle fille* – mówi łagodnie mama, stojąc w drzwiach.

Patrzę w górę, ale Brand mnie nie puszcza. Zostaję przyciśnięta do jego piersi, bo nie chcę być nigdzie indziej. Nie zatonę, bo Brand jest moją kotwicą. Trzyma mnie mocno.

– Możesz mi wyjaśnić? – pytam zwyczajnie. Mama przytakuje, odkładając kawę i opadając na krzesło przy łóżku.

– To bardzo proste, naprawdę – mówi smutno. – Twój ojciec... Maxwell był wynaturzony od długiego czasu. On i William... są zboczoną, nienawistną parą. Zdałam sobie z tego sprawę wkrótce po ślubie. Ale przyjechałam z Francji, rozumiesz. I po tym, jak urodził się twój brat, Maxwell wiedział, że zatrzyma mnie przy sobie bez względu na cokolwiek. Wiedziałałam, co robili razem w Williamem... ale nie mogłam tego powstrzymać i nie mogłam wyjechać, bo Maxwell zagroził mi rozwodem, ekstradycją i tym, że odbierze mi Nate'a. To była... tortura.

Łza ześlizguje się po jej delikatnym policzku i mimo że powinnam być wściekła na nią za utajenie tego wszystkiego przede mną, to nie mogę się do tego zmusić. Ona też cierpiała.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Mama opuszcza wzrok.

– Ponieważ dopóki byłaś niepełnoletnia, musiałaś być ze swoim ojcem. Jeśli odesłałby mnie do Francji, to zostałaśby tu z nim sama. Nie mogłam na to pozwolić. A bałam się, że gdybym ci powiedziała, to próbowałabyś uciec od niego na własną rękę. A on nigdy nie pozwoliłby na to bez walki. Nie po tym, jak przygotowywał cię tyle czasu do bycia Greene. Zbyt się bałam tego, co mógłby zrobić.

– Kto jest moim ojcem? – pytam prosto.

Spogląda na mnie i uśmiecha przez łzy.

– Nie zgadniesz? Naprawdę nigdy niczego nie podejrzewałaś?

Zamykam oczy i przebiegam pamięcią przez moje dzieciństwo i jedna twarz pojawia się w nim częściej niż inne.

Silna ręka podsadzająca mnie na konia, silne ramiona niosące mnie przez ogrody, dzielenie się lunchem, błyszczące niebieskie oczy, które pozdrowiały mnie każdego dnia... i zawsze to ciepło.

Zawsze był szczęśliwy, kiedy mnie widział, zawsze szczęśliwy, gdy był przy mnie.

– Julian – biorę wdech.

Brand przekrzywia głowę pytająco.

– Nasz ogrodnik – przypominam mu szybko. – Ale był kimś więcej niż tylko ogrodnikiem. Zajmował się naszym domem, koźmi i mną...

Odwracam się do mamy.

– Ale jak... i... nie rozumiem.

Mama się uśmiecha.

– Julian pochodzi stamtąd, skąd ja – mówi mi. – Mówiłam ci, że jest Francuzem. Kochałam go, gdy byłam młoda, ale potem stałam się dzika i beztroska. Pojechałam do Ameryki, żeby przeżyć przygodę. Wtedy poznałam i poślubiłam Maxwella... Potrzebował normalnej rodziny, żeby ukryć swoje zbroczenie. Nie wiedziałam o tym jednak na początku. Nie byliśmy długo małżeństwem, gdy to odkryłam. Ale byłam uwięziona. I Julian przyjechał, żeby mnie ocalić. Nie mogłam wyjechać, zostawić Nate'a. Więc Julian został ze mną. Zawsze ze mną. I wtedy, oczywiście, ty się urodziłaś. Wtedy miał jeszcze jeden powód, żeby zostać.

Jej głos odpływa i patrzy przez okno zatracona we wspomnieniach.

– Ale teraz... możesz wyjechać – zauważam.

Przytakuje.

– Mogę. Mogę zrobić, co mi się podoba, bo Maxwell jest w więzieniu. Już dzwoniłam do prawnika. Rozwodzę się z nim natychmiast. Wszystko będzie dobrze, Nora. W końcu.

Czuję, że Brand wpatruje się we mnie i spoglądam w górę w jego niebieskie oczy, które kocham.

Wszystko będzie dobrze.

## Rozdział 31

NORA

Przywieram do Branda, owijając się wokół jego silnego pasa, gdy pędzimy wzdłuż autostrady, która otacza jezioro, na rowerze jego dziadka.

Wiatr zdmuchuje moje włosy do tyłu i niesie ze sobą zapach jeziora, wody i słońca, Branda. I nie ma innego miejsca, w którym wolałabym być.

– Gotowa, żeby zatrzymać się na lunch? – Brand woła za siebie.

– Jasne – odpowiadam mu do ucha.

Zjeżdża na bok. W to samo miejsce, w które przywiozłam go tyle tygodni temu. Jeszcze kiedy utykał i zanim był naprawdę mój.

Zsuwamy się z roweru, zdejmujemy kaski, a on wyciąga kanapki z torby z tyłu.

Gdy jemy przy stole piknikowym, zarzucam mu nogi na kolana, a on patrzy na mnie w zamyśleniu, otwierając szeroko oczy.

– Powiedz mi jeszcze raz, co powiedziałaś wczoraj Maxwellowi – mówi do mnie. – Kiedy zawołał cię z więzienia i poprosił, żebyś okazała łagodność, zainterweniowała w jego sprawie u prokuratora?

Robię wdech i wydech. Uśmiecham się. Bo było mi z tym cholerni dobrze.

– Powiedziałam mu, że więzienie czeka na niego. I że słyszałam, że życie w więzieniu jest trudne dla takich cweli jak on, więc to dobrze, że jest Greene. Będzie mógł zrobić, co trzeba.

Brand uśmiecha się uśmiechem pełnym dumy i humoru, i smutku.

– Gnojek z ciebie – mówi mi z dumą. – Przypomnij mi, żeby nigdy z tobą nie zadzierać.

– Nie zapominaj o tym – odpowiadam, pozbywając się wszelkich myśli o Maxwellu i Williamie. Teraz skupiam się tylko

na przyszłości. – Co masz zamiar zrobić z domem swoich rodziców? W sensie teraz, kiedy już po wszystkim.

Wzrusza ramionami.

– Myślę, że po prostu sprzedam ziemię. Nie chcę jej.

Rozumiem dlaczego. Odkąd kilka tygodni temu przepisał wszystko matce, ta nawet się z nim nie skontaktowała.

– A co z tobą? – pyta delikatnie Brand, wyciągając dużą dłoń, żeby założyć mi rozdmuchane przez wiatr włosy za ucho. – Twoja mama dostanie całe Greene Corp. Powiedziała, że podzieli to wszystko między ciebie i Nate’a... Będziesz bardzo bogata, Noro. Na własną rękę. Nie będziesz pracowała dla ojca ani dla nikogo innego. Możesz robić, co tylko chcesz.

Przytakuję wolno, wpatrując się w jezioro.

– Wiem. To szalone uczucie. Odkąd pamiętam, zawsze mówiono mi, czego chcę: dorosnąć, być dobrą Greene i przewodzić zespołem prawniczym w firmie. Ale teraz sama mogę dojść do tego, czego chcę. Mogę wykorzystać swoje studia albo pieniądze Maxwella, żeby studiować coś jeszcze, żebym w końcu mogła robić to, co chcę. Albo możemy podróżować dookoła świata. Możliwości są nieskończone.

Odwracam się z powrotem, żeby spojrzeć na niego, a on wpatruje się we mnie w zamyśleniu.

Skupiam uwagę na wcięciu w jego podbródku. Tym cudownym, zachwycającym i seksownym wcięciu. Wyciągam się i umieszczam w nim swój kciuk, który pasuje tu doskonale.

– Pasujemy do siebie – mówię mu. Przewraca oczami i chwyta moją rękę w swoją.

– Na więcej sposobów niż tylko ten jeden – odpowiada.

Rumienię się na to skojarzenie, gdy przypominam sobie, jak doskonale pasował we mnie ostatniej nocy, gdy kołysaliśmy się razem wielokrotnie.

Pasujemy do siebie.

– Przepraszam, że nie było mnie przy tobie, gdy otwierałeś pudełko – mówię mu nagle, bo znowu ogarnia mnie poczucie winy. Minęły dwa tygodnie, a ja nadal czuję się okropnie dlatego,

że go zostawiłam. Że sprawiłam, że czuł się niewystarczająco dobry, podczas gdy jest lepszy od wszystkich innych ludzi.

Wzrusza ramionami.

– W porządku. Naprawdę.

Sięgam do kieszeni jego kurtki, gdzie wiem, że znajdę zamek. Nosi go tam od tygodni. Wyciągam go i patrzę na niego, przewracając go w dłoniach.

– Cieszę się, że w końcu przyznał się do winy – mówię prosto. – Zaslugujesz na to.

Brand znowu wzrusza ramionami, patrząc ostrożnie przez wodę.

– Myślę, że w końcu mogę szczerze powiedzieć, że już mnie to nie obchodzi. Jestem wolny. Zawsze będę tęsknić za siostrą, ale jej śmierć nie była moją winą. Wiem to.

– Cieszę się, że to widzisz – mówię mu. I mam to na myśli. Jestem tak szalenie szczęśliwa. Wiem, jak to jest dźwigać winę za coś, czego nie można było kontrolować. Nie chcę tego dla Branda.

Przytulam się do jego boku, przejmując jego ciepło i tonąc w nim.

– Opowiedz mi o niej.

– O Alison?

Przytakuję.

– Cóż, miała tylko cztery lata. Ale była energiczna i szczęśliwa cały czas. Chodziła za mną wszędzie. I jestem pewien, że czasami, jako sześciolatek, traciłem do niej cierpliwość, ale kochałem ją naprawdę. Cały czas tęsknię za siostrą, którą mogłaby teraz być, i zawsze się zastanawiam, jaka by była.

Mój żołądek zaciska się na myśl o tym wszystkim. Na myśl o tym, że Alison zasłużyła na to, żeby dorosnąć, a Brand na siostrę, która byłaby jego najlepszym przyjacielem, z którą mógłby porozmawiać o dziewczynach i zwierzać się, i droczyć.

Nie miał tego.

Ale dostał mnie. Wiem, że to nie to samo. Ale będę jego przyjacielem i powiernikiem. Nigdy już go nie zostawię.

Brand zabiera zamek z moich rąk i wstaje. Wpatruje się daleko w jezioro. Wiem, na co patrzy. Jest stąd idealny widok na boję, pieprzoną, zwietrzałą boję, która dręczyła go przez większość życia.

Idealnie mocnymi krokami Brand maszeruje ścieżką do plaży i zatrzymuje się, gdy jego palce docierają do wody. Jednym szybkim ruchem ciska zamek do jeziora, który z idealną precyzją uderza w dzwonek na boi, zanim wpadnie do wody i natychmiast zatoni pod jej powierzchnią.

Przez chwilę dźwięk dzwonka odbija się echem na plaży, dręczący i upiorny.

Brand wspina się na wzgórze i staje naprzeciw mnie z dziwnym uśmiechem na twarzy.

– Zadzwońłem pieprzonym dzwonkiem.

Uśmiecham się i potrząsam głową.

– Tak, zadzwoniłeś.

I nagle powietrze naokoło nas robi się lżejsze. Wiem dlaczego.

Bo to zniknęło.

Wszystko... wina, nienawiść, gorycz... wszystko to zniknęło.

Wciskam się w ramiona Branda, delektując się tym, jak mnie obejmuje i trzyma mocno, tym, że wszystko na świecie jest dobrze, kiedy jestem tutaj, i świadomością, że mnie kocha.

Tym, że jest mój.

„Stoję przy murze, aby chronić, co moje”.

Jestem jego, a on jest mój.

Tak właśnie miało być.

Będziemy chronić siebie na zawsze, przez resztę naszego życia.

Bez względu na wszystko.

**BRAND**

Jeździmy z Norą starym triumphem przez długie godziny. Podoba mi się to. Cieszę się, wiedząc, że mój dziadek jeździł



kiedyś tym rowerem. Podoba mi się sposób, w jaki Nora obejmuje mnie, ufając mi, że ją ochronię. Cieszę się wiatrem, słońcem i niebem, które jest ogromne i jest wszędzie.

Jedziemy kilka godzin, zanim w końcu docieramy do domu, do małej chatki Gabe'a. Gdy szykujemy się do łóżka, spoglądam na Norę.

Stoi przy oknie skąpana w srebrnym świetle księżycy i wiem, że jest wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłem. Jest czymś więcej, niż przypuszczałem, że na to zasługuję.

Jest piękna.

I jest moja.

Spoglądając w górę, przyłapuje mnie, jak na nią patrzę, i uśmiecha się.

– Co?

Potrząsam głową i odkrywam narzutę na łóżku.

– Nic.

Wchodzimy do łóżka, padając sobie w ramiona. Robimy to od tygodni. To tak jakby odwrócenie się do siebie w ciemności powstrzymało całe ohydztwo. Ale wiecie co?

Powstrzymuje. Naprawdę.

Nora głaszcze moją twarz, przesuwając palcami po policzka, aż jej opuszek palca nie natrafi na wcięcie w moim podbródku.

„Pasujemy, Brand”.

– Musimy wrócić do rzeczywistości – mówi mi z żalem. – Muszę poznać Juliana już jako mojego ojca. A ty musisz zdecydować, co zrobić z domem twoich rodziców i potem musimy ustalić, gdzie chcemy mieszkać.

Patrzę na nią w ciemności.

– Raczej powinniśmy najpierw zdecydować o tym, zanim zaczniemy robić inne rzeczy.

Uśmiecha się ironicznie.

– Bystrzacha z siebie. Dobrze. Gdzie chcesz mieszkać?

Jestem cicho przez minutę i zastanawiając się nad tym, dochodzę do wniosku, że wszystko mi jedno.

– Nieważne, gdzie będziemy mieszkać – mówię jej szczerze.

– Chcę tylko być z tobą. Możemy mieszkać w Kalifornii nad oceanem, na wsi we Francji, w Chicago albo w Nowym Jorku... nie ma to znaczenia. Chcę tylko, żebyś była ze mną.

Nora wpatruje się we mnie, a jej pełne wargi drżą.

– Zgadzą się – odpowiada łagodnie. – Ty jesteś moim domem, Brand.

W moim gardle formuje się gruda, którą staram się przełknąć, gdy pomyślę o wszystkich pieprzonych zdarzeniach, które miały miejsce w ciągu ostatnich kilku lat.

– To zabawne, jak układa się życie – rozważam na głos. – Dwa lata temu myślałem, że mój świat się kończy, że nic nie będzie już w porządku. Ale wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. Wszystkie te pokręcone ścieżki mojego życia zaprowadziły mnie tam, gdzie było mi przeznaczone... czyli tutaj.

– Razem ze mną. – Nora wzdycha z zadowoleniem, zwijając się bliżej.

– Tak – przytakuję. – Z tobą.

– Zanim upadniemy, wznosimy się, Brand – przypomina mi łagodnie, śledząc tatuaż na moim przedramieniu. – Twoja babcia miała rację.

– Miała rację co do wielu rzeczy – odpowiadam, przesuwając ją i unosząc się nad nią. Nora unosi brew.

– Takich jak?

– Cóż, musisz chwycić życie za jaja i potrząsnąć nim tak mocno, jak to możliwe.

Chichocze i podnosi się, żeby pocałować mnie w policzek.

– Twoja babcia to powiedziała?

Przytakuję.

– Tak. Polubiłabyś ją.

– Musimy ją odwiedzić.

– Tak – zgadzam się. – Musimy. Ona też cię polubi.

– Z czym jeszcze miała rację?

Wpatruję się w oczy Nory długo i intensywnie.

– Cóż, było jeszcze coś. Najlepsze rzeczy w życiu są warte czekania.

Nora wzdycha drżącym oddechem i kładzie głowę na mojej piersi, zamykając oczy.

Po minucie znowu je otwiera.

– Nadal słyszę twoje serce.

Uśmiecham się przez noc.

– Mam nadzieję. Jest twoje.

Nora chwyta moją twarz i przyciąga do swojej, całując mnie tak mocno, jak jeszcze nikt mnie nigdy nie całował. Miętko i silnie, a potem jeszcze silniej.

Jej ręka przesuwa się po mojej piersi, biodrach i w dół, gdzie jestem twardy dla niej.

– Uczyń mnie swoją, Brand. – Bierze oddech.

Uśmiecham się.

– Z przyjemnością.

## Epilog

BRAND

*Rok później*

Spotykamy się z Gabe'em przy wejściu do domu opieki. Jego twarz jest ściągnięta i ponura.

– Stary, przykro mi, że musieliśmy cię ściągnąć z waszej podróży poślubnej, ale wszyscy wiedzieliśmy, że już czas...

Potrząsam głową i ściskam mocno jego rękę.

– W porządku. Byłbym wściekły, gdybyście nie zadzwonili.

Nora idzie koło mnie, trzymając smukłą rękę na moich plecach. Gdy dostaliśmy telefon, nawet się nie zawahała. Po prostu zaczęła pakować nasze rzeczy.

– Musimy jechać, Brand – powiedziała.

Nigdy nie kochałem jej bardziej.

Lecieliśmy bez przerwy nocą, a gdy wylądowaliśmy, z ulgą dowiedzieliśmy się, że nie jest jeszcze za późno. Babcia jeszcze żyła.

– Czeka, żeby z tobą porozmawiać – mówi mi Gabe, gdy idziemy korytarzami. Pachnie tu lekami i maścią przeciwbólową. I pikowanymi kołdrami.

Przytakuję.

– Nie dziwi mnie to. Babcia zawsze robiła wszystko po swojemu. I umrze tak, jak będzie chciała.

– O, tak! – przytakuje Gabe.

Jestem zaskoczony, że w gardle nadal czuję ucisk. Nie jestem w stanie nic przez niego przełknąć, odkąd dostaliśmy telefon i wskoczyliśmy do samolotu. Sama myśl, że świat straci taką wspaniałą osobę, jest bolesna.

Biorę głęboki oddech, stając twarzą przed jej drzwiami. Wpatruję się w tabliczkę z jej imieniem.

Helen Vincent.

Nie ma sensu przedłużać. To niczego nie zmieni. Ona umrze bez względu na to, czy będę przy niej, czy nie.

Ale muszę tam być. Tak jak ona była przy mnie przez te wszystkie lata.

Wchodzimy do pokoju. Jacey siedzi obok łóżka, trzymając babcię za jej pomarszczoną rękę. Oczy babci są zamknięte, ale otwiera je i uśmiecha się do mnie zmęczona, kiedy słyszy mój głos.

– Długo ci to zajęło – narzeka dobrodusznie. Wszyscy się śmieją. Śmieją się przez łzy, bo staje się nad wyraz wiadome, że ta silna kobieta już osłabła. Jej ciało jest wiotkie, a uśmiech pozbawiony życia.

To już niedługo.

Czuję, jak chłód przebiega mi po plecach, gdy siadam na łóżku i biorę rękę, którą Jacey przed chwilą puściła. Babcia była otoczona miłością. Wiem to. I wiem, że już czas. Jest gotowa, żeby zaznać spoczynku.

– Znasz mnie – odpowiadam w końcu. – Zawsze się spóźniam.

– Nie za dużo – mówi babcia, ściskając mnie swoją małą ręką. – Teraz masz żonę, która cię przypilnuje.

Znowu zamyka oczy. Patrząc, jak jej pierś opada i unosi się pod kołdrą. Jest taka mała i krucha. Ciężko uwierzyć, że kiedyś była dla mnie duża. Jest teraz jak dziecko.

Zerkamy na siebie z Jacey przez pokój.

To już niedługo, mówi bezgłośnie. Przytakuję. Wiem. Jacey wygląda na tak samo zmęczoną jak Gabe. Tak jakby nie spali od kilku dni.

Dominic, który jest tu, żeby wesprzeć Jacey w tym trudnym momencie, śpi na krześle przy oknie. Nora też przyjechała tu, żeby być ze mną.

Wszystko jest tak, jak być powinno.

– Gdzie Maddy? – pytam Gabe'a. Kiwa głową w kierunku drzwi.

– Wzięła Eliego na dwór, żeby się wybiegał. Zaraz wróci.

Słyszając to, babcia otwiera oczy.

– Ten chłopiec wygląda dokładnie tak jak ty, Gabrielu – mówi zachrypniętym głosem. – Będzie jeszcze bardziej uparty jako zapłata za to, jaki byłeś ty.

Gabe uśmiecha się i przytrzymuje kubek z wodą przy jej buzi, wpychając jej rurkę do ust.

Babcia spogląda na mnie w górę.

– Możesz w to uwierzyć? Traktują mnie tu jak inwalidę.

Wszyscy się śmiejemy, a ona bierze kubek i pociąga łyk. Oddaje go i układa się na kocach, krzyżując dłonie na piersi.

– Tak bardzo chciałam zobaczyć każdego – mówi szeptem.

Czuję ucisk w piersi. Poklepuję babcię po rękę, nie do końca pewny, co powinienem zrobić.

– Chciałam zobaczyć twoją twarz, zanim zasnę, Branden – mówi dalej. – Jesteś tak samo mój jak tych dwoje.

Ucisk w piersi jest jeszcze silniejszy.

Schylam się i ocieram swoje usta w pocałunku o jej czoło. Pachnie lawendą i słońcem. Tak jak zawsze.

– Ty też jesteś moja – mówię do niej łamiącym się głosem. – Babciu, chciałem ci podziękować... za wszystko. Za to, że zawsze się mną opiekowałaś, za wszystkie rady... za to, że dałaś mi dom.

Uśmiecha się teraz znowu, ale nie otwiera oczu.

– Nora jest teraz twoim domem – mówi do mnie cicho. Tak cicho, że muszę się schylić, żeby ją usłyszeć. – Lecisz, Branden. W końcu lecisz.

Muszę się odwrócić. Dosłownie. Znaleźć siłę, żeby nie płakać jak dziecko tutaj przed wszystkimi i Bogiem. Ale spoglądam do góry i widzę, że oczy Gabe'a też są wilgotnie, a Jacey cicho łka.

Nagle jednak oczy babci szeroko się otwierają i wpatruje się w jedno miejsce na ścianie ponad naszymi głowami. W ogromnym skupieniu i zachwycie.

– Olen! – wykrzykuje i wyciąga ramiona. – Zaczekaj na mnie. Nie odchodź.

Patrzę w osłupieniu, jak babcia uśmiecha się do kogoś, kogo

my nie widzimy. Westchnienie wydobywa się z jej ust, tak jakby w końcu znalazła się gdzieś, gdzie bardzo chciała być.

Jakby w końcu była w domu.

I wtedy... odwraca się do mnie z błyskiem w spojrzeniu, które jest szczęśliwe i dalekie.

– Twoja siostra tu jest, Branden. Widzę ją. Jest cała i zdrowa. Nie martw się. Zajmę się nią.

I nagle bez żadnego patosu i fanfar najmądrzejsza i najłagodniejsza kobieta, jaką znał świat, zamyka oczy.

Odeszła.

Wydaje się, że świat zamarzł. A ja chowam gwałtownie twarz w dłoniach i płaczę. Czuję się porzucony. Słyszę, że wszyscy łkają. Nora kładzie mi ręce na plecach i słyszę głos Gabe'a przebijający się przez moją rozpacz.

– Brand?

Patrzę na niego czerwonymi oczami.

– Nigdy nie mówiłem babci o twojej siostrze.

Cały pokój nieruchomieje, totalnie zamiera. Wszyscy czekają na moją odpowiedź.

– Ani ja.

Nora wzdycha ciężko, a jej spojrzenie spotyka się z moim. Dziwny spokój sączy się przeze mnie, jak ciepły koc.

Jak tarcza.

Uśmiecham się i przyciągam blisko swoją żonę. Spoglądam za okno, widzę, że słońce przedziera się przez chmury, świecąc całemu światu, tak jakby anioły śpiewały na powitanie babci.

Wszystko jest dobrze.

## Podziękowania

*Mój zespół jest najlepszy na świecie. Słowa nie wystarczą, żeby im podziękować. Będę musiała mieć po prostu nadzieję, że oni wiedzą, jak bardzo ich doceniam. Ale jako marna próba:*

*Mojej agentce, Catherine Drayton – jest mądra, zacięta, szykowna i wspaniała.*

*Mojej wydawcy, K.P. Simmon, jest ognista, ostra, lojalna i działa jak dynamo.*

*Mojemu krytykowi i najlepszej przyjaciółce, Michelle Leighton, jest niesamowita i cudowna... codziennie.*

*Chcę podziękować tym trzem paniom za wytrzymywanie ze mną, trzymanie za rękę, gdy tego potrzebowałam, i za kopy w tyłek też. Dziękuję Wam.*

*Chcę także podziękować Shannon Briggs, koleżance z liceum, która jest teraz rehabilitantką. Jej wiedza okazała się niezbędna do tego, aby uraz i leczenie kolana były wiarygodne i realistyczne. Dziękuję, Shannon, za odpowiedzi na moje wszystkie pytania i cierpliwość do mnie.*

*Jak zwykle dziękuję mojej rodzinie za tolerancję podczas pisania. Życie z pisarzem nie jest rzeczą łatwą... Zawsze śnimy, wpatrujemy się gdzieś w przestrzeń, interesujemy się życiem innych ludzi. Są czasy, w których moja rodzina je tylko na wynos, ogląda mnie przez kilka dni w tych samych ciuchach. Są dni, kiedy zapominam się umyć. Dziękuję za to, że kochacie mnie mimo wszystko.*

*Dziękuję szczególnym paniom, które zdecydowały się na oznaczenie BRANDed. Każda z was jest niesamowita: Jennifer Poole, Lori Smith, Katie Anderson, Alyssa Matthews, Anna Marie Mondro, Eleanor Noach, Nayab Haych, Momo Xiong, Jenn Bernando, Neda Amini, Fran Owen, Danielle LeFave, Margay Justice, Kristy Louise, Melissa Arthur, Danielle Schaaf, Chelsea Cochran, Jennifer Harried, Lana K, Ashley Amsbaugh, Monica Pulliam, Rosemarie McKenzie, Valerie Fink, Jammie Cook, Jacquelyn Lane, Jocelyn Roberts, Roxy Kade i Fern Curry.*



*Dziękuję za wszystko, co zrobiliście. Jesteście niesamowite.*

*Dziękuję wspaniałym blogerom, którzy czytali moją pracę i dzielili się nią. Wieści o książce najlepiej rozchodzą się drogą mówioną. Czuję się zaszczycona, że poświęcaliście swój czas na czytanie mojej powieści i kłaniam się nisko za to, że pokochaliście książkę tak bardzo, że zdecydowaliście się nią podzielić. Dziękuję Wam. Dziękuję moim czytelnikom. Jesteście niesamowici i jesteście jedynym powodem, dla którego piszę. Dziękuję za to, że kochacie moje opowieści i bohaterów. Dziękuję*

## Od Autorki

Poza tymi, których wymieniłam w podziękowaniach, muszę także podziękować dwojgu ludziom, których już ze mną nie ma: moim dziadkom.

Olen i Helen. Wykorzystałam ich osoby w książce jako mały hołd dla niech. Byli najmądrzejszymi, najbardziej życzliwymi i niezwykłymi ludźmi, jakich kiedykolwiek miałam zaszczyt spotkać. Mój dziadek był mądry, silny i lojalny. Służył w wojsku podczas II wojny światowej. Moja babcia była mądra, silna i zdumiewająca... Gdy chłopcy byli na wojnie, chodziła do fabryki Cessna i budowała dla nich samoloty. Raz mi powiedziała, że dobry nitownik potrafi rozmawiać, żuć gumę i mocować nity jednocześnie.

Nauczyli mnie wielu, wielu dobrych rzeczy. Jest ich zbyt dużo, żeby podzielić się nimi wszystkimi, ale tu kilka z nich:

„Pieniądze szczęścia nie dają”. To najprawdziwsza prawda. Pieniądze powodują problemy. Szczęście dostaje się, jeśli samemu je się znajdzie – wewnątrz siebie, rodziny i własnego życia. Jeśli nie jesteś szczęśliwy, zmień to. Tylko ty możesz tego dokonać. Bądź silny i zdrowy, a szczęście samo do ciebie przyjdzie.

„Nie kładźcie się spać w niezgodzie”. A jeśli nadal jesteście na siebie źli, to przynajmniej powiedzcie sobie dobranoc... tak, żebyście oboje wiedzieli, że nadal tkwicie w tym razem. Byli małżeństwem przed długi czas. Najszczęśliwszym, jakie kiedykolwiek widziałam. Muszę wierzyć, że wiedzieli, o czym mówią.

„Nikt nie jest lepszy od ciebie”. Ktoś może mieć ważniejszą pracę niż ty, ale nikt nie jest lepszy. Mój dziadek podzielił się tą myślą kiedyś ze mną i nigdy jej nie zapomniałam. Tak byłam wychowywana i tak staram się traktować każdego. Nie jestem lepsza od nikogo i nikt nie jest lepszy ode mnie.

„To też przeminie, kochanie”. To było ulubione powiedzenie mojej babci. Gdy byłam młodsza, słyszałam je chyba z tysiące razy. Gdy stało się coś złego i wychodziłam z siebie ze

zmartwienia, babcia klepała mnie w dłoń i mówiła „To też przeminie, kochanie. Zawsze mija”. I wiecie, co? Miała rację. Zawsze mija. Dzisiaj zawsze zamienia się w jutro i problemy w końcu znikają.

W tej serii chodziło o przewycięzanie trudności. Zawsze jest jakieś wyzwanie, z którym trzeba się zmierzyć, czasami małe, a czasem większe. Ale to właśnie te rysy w życiu czynią je interesującym. To właśnie te rany zblizniają się, żeby uczynić nas silniejszymi.

Z tą wiedzą nie bójcie się żyć. Nie bójcie się porażek. Nie bójcie się iść przez życie pełną parą. Jeśli odniesiecie porażkę, to w porządku. Zawróćcie i spróbujcie jeszcze raz. Bądźcie silni i zacięci. Kochajcie siebie i innych i pozwólcie im się kochać.

Miłość jest najważniejszą rzeczą. Bardziej cenną, potężną i wytrzymałą niż cokolwiek innego na świecie. Przeprowadzi cię przez to, przez co nic innego by nie potrafiło.

Mówiłam o tym w *Jeśli zostaniesz* i powtórzę tutaj... najważniejsza rzecz, jakiej nauczyli mnie dziadkowie, to ta, że miłość nigdy nie ponosi porażki.

Polegajcie na niej.

